

SZYLLER



Martwe
dziwki idą
do nieba

Martwe dziwki ida do nieba

Donat Szyller

SuperNOWA (2006)



Donat

SZYLLER

Martwe

dziwki idą

do nieba

WARSZAWA 2006

Marcie, za wszystko

Opracowanie graficzne Tomasz Piorunowski

Redakcja Danuta Górską

Copyright © by Donat Szyller, Warszawa 2006

ISBN 83-7054-187-9

Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA sp. z o.o.

Biuro Handlowe

ul. Nowowiejska 10/12

00-653 Warszawa

e-mail: redakcja@supernowa.pl

Redaktor naczelny Mirosław Kowalski

Druk i oprawa: WZDZ - Drukarnia LEGA, Opole

Spis treści

Śpij, słodkie kochanie...

8

I

8

II

9

III

11

IV

11

V

12

VI

13

VII

15

VIII

17

IX

X

19

XI

21

XII

23

XIII

24

XIV

25

XV

25

XVI

26

XVII

28

XVIII

29

XIX

30

XX

31

XXI

32

XXII

33

XXIII

34

XXIV

35

XXV

35

XVI

38

XXVII

39

XXVIII

40

XXIX

41

XXX

43

XXXI

43

XXXII

44

XXXIII

45

XXXIV

46

XXXV

47

Martwe

dziwki

idą

do

nieba

48

I

48

II

49

III

50

IV

51

V

52

VI

52

VII

53

VIII

54

IX

55

X

56

XI

58

XII

58

XIII

60

XIV

XV

6

63

XVI

64

XVII

66

XVIII

XIX

67

69

XX

71

XXI

72

XXII

74

XXIII

XXIV

74

XXV

76

XXVI

Wola

I

78

II

80

III

84

IV

86

V

88

VI

90

VII

93

VIII

95

IX

95

X

96

XI

97

XII

99

Wieje

znad

Innsmouth

I

103

II

105

III

108

IV

110

V

111

VI

115

VII

117

VIII

118

IX

121

X

XI

125

XII

127

XIII

130

XIV

132

XV

134

XVI

137

XVII

137

Kompania

Straceńców

139

I

139

II

140

III

141

IV

145

V

147

VI

149

VII

154

VIII

156

IX

158

X

161

XI

166

XII

174

XIII

174

XIV

175

XV

176

Dopóki śmierć nas nie połączy

177

I

177

II

179

III

182

IV

185

V

185

VI

189

VII

194

VIII

195

IX

197

X

200

XI

202

XII

205

XIII

206

Śpij, słodkie kochanie...

Słońce wstawało nad Zaświatem. Jasne promienie wydobywały z mroku kontury strzelistych, gotyckich katedr i trójkątnych piramid. Oświetlały ogromne wulkaniczne kratery i gęste lasy, przetykane gdzieśgdzie szklanymi i łysymi górami.

Opromieniały wysokie białe zamki i chatki na kurzych nóżkach.

Taki właśnie był Zaświat, zamieszkały przez wiele ras i stworzeń. Z wyjątkiem Ludzi. Bo w siebie Ludzie wierzyli. Nie wierzyli natomiast w elfy, anioły, diabły, wampiry, gobliny, duchy... Słowem, nie wierzyli we wszystkich mieszkańców Zaświatu. Już nie.

A Zaświat istniał.

I właśnie wschodziło nad nim słońce.

Raymond otworzył oczy. Kaszlnął, chrząknął i przeciągnął się. Jak co rano.

Obudziłem się. Znowu - przemknęła mu przez głowę błyskotliwa myśl.

Wprawdzie budził się codziennie, ale wciąż nie mógł się przyzwyczaić. I codziennie, zaraz po przebudzeniu, irytowała go świadomość istnienia. Istnienie.

Ciągle i bez żadnej przerwy. Był w końcu nieśmiertelny. Jak każdy diabeł.

Raymond Chwościk, czart trzeciej kategorii.

No właśnie, trzeciej. Jego pradziadek grał kiedyś w przeciwnej drużynie, ale nawrócił się.

I po co? - Chwościk zastanawiał się nad tym średnio co wtorek. Tego dnia wypadała środa, ale on nie należał do diabłów sztywno trzymających się tradycji. - I po co mu to było?

Gdyby przodek Raymonda nie zmienił wyznania, jego prawnuk byłby teraz aniołem o pełnych kwalifikacjach, z drzewem genealogicznym sięgającym Stworzenia.

A tak - czart trzeciej kategorii...

- Ale przynajmniej nie muszę nosić tych kretyńskich skrzydełek. - Raymond przeciągnął się, godząc się z przymusem istnienia w tej, a nie innej formie. - I z rogami podobno mi do twarzy...

Postanowił wstać. Lewym kopytem odgarnął z podłogi puste kartony po mleku -

niechlubną pozostałość po nocnym pijaństwie.

Mleko, jego największa słabość.

Jak wszystkie diabły, Raymond nigdy nie potrafił upić się alkoholem. Jednak biały płyn dostarczał mu niezapomnianych wrażeń. Przynajmniej do momentu, w którym tracił przytomność.

Przeciągnął się ponownie i zerknął na stojący w rogu zabytkowy zegar z kukułką.

Oczywiście zegar nie działał.

- Kukuła! - wrzasnął czart. - Która godzina?

Cisza. Mógł się tego spodziewać. Kukułka też wczoraj pochłała i spała teraz w najlepsze.

- Kukuła! - Diabeł uderzył w ściankę czasomierza.

Małe drzwiczki w zegarze uchyliły się nieco.

- Czego się drzesz? - sapnęła z wyrzutem kukułka.

- Gadaj, która godzina. - Raymond wyszczerzył zęby. A miał co szczerzyć.

- Siódma zero cztery - pisnął ptaszek, szybko chowając się do zegara. Po chwili jednak wychylił się z powrotem. - Właściwie to dziesiąta zero osiem.

Tak to już jest z tymi kukułkami z przeceny.

Raymond zmarszczył brwi. Pod czaszką kołatało mu niejasne przeczucie, że o dziesiątej zero osiem miał być w zupełnie innym miejscu. Tylko w którym?

II

Oczywiście spóźnił się. Samochód stał jak zwykle w warsztacie, a na bilet do Teleportu Miejskiego Raymond nie miał pieniędzy. Czasem jeździł na gapę, lecz ostatnio Urząd Komunikacyjny zatrudnił na stanowiskach kontrolerów silną ekipę trolli. Od tamtego czasu liczba gapowiczów drastycznie się zmniejszyła. A trolle nie były już głodne.

Raymond wolał nie ryzykować i pojechał tramwajem. Konnym. Dlatego się spóźnił. Po niespełna godzinie jazdy rozklekotana, zatłoczona drynda podjechała pod bramę Wiecznego Uniwersytetu. Raymond z wprawą prześlizgnął się między ramionami niesamowicie tłustej nimfy a grupką ubranych w kolorowe dresy goblinów i wyskoczył na chodnik. Tramwaj odjechał, przeraźliwie dzwoniąc, a on przekroczył
bramę szacownej Uczelni.

Wieczny Uniwersytet otwierał swe podwoje przed wszystkimi, niezależnie od płci, rasy czy wyznania. Z jednym małym wyjątkiem - nie wpuszczano nań koboldów.

Oficjalnym powodem była ich znana niechęć do koegzystencji z innymi rasami.

Jednak w kręgach zbliżonych do uniwersyteckich, krążyła plotka o rektorze, prysznicu i dwóch pijanych koboldach, którzy pomylili drzwi. Podobno rektor Dagon do dziś dostaje ataku paniki na widok mydła...

Tak czy inaczej pod złoconym napisem: „Wiedza dla wszystkich”, zdobiącym bramę Uniwersytetu, pojawił się dopisek: „Wszystkich oprócz tych cholernych, śmierdzących koboldów”. Dopisek również jest pozłacany.

W dawnych czasach, zanim Raymond oddał się oszałamiającej karierze prywatnego detektywa, uczęszczał z rzadka na Uniwersytet. Ze studenckich czasów pozostała mu niedokończona praca magisterska, kilku znajomych i wciąż nie spłacone długi.

Odganiając od siebie Demony Przeszłości, trudniące się obecnie handlem obnośnym, skierował się w stronę wysokiego, nadpalonego z wierzchu budynku.

Mieściła się tam Katedra Alchemii Stosowanej.

Raymond nigdy nie był asem w tej dziedzinie. W studenckich latach nie wychodziły mu nawet tak podstawowe ćwiczenia, jak zamiana ołowiu w złoto. Raz wprawdzie udało się mu zmienić ołów w małą fioletową jaszczurkę, a zaraz potem w jakąś dziwną szarą rzecz, jednak profesor Trismegistos nie zaliczył mu ćwiczenia.

Może dlatego, że szara rzecz próbowała wygryźć mu oczy?

Wbiegł po krętych schodach i z rozmachem pchnął drzwi do sali. Zawsze lubił efektowne wejścia. Drzwi wróciły i z równie efektownym rozmachem grzmotnęły go w miejsce, które jeszcze przed chwilą było jego nosem. I oczywiście, jak to miały w zwyczaju, zachichotały złośliwie. Raymond, mrużąc swoje ulubione przekleństwa, wkroczył do sali, trzymając się za puchnący w zastraszającym tempie organ powonienia.

III

Nie przyszedł tu bez powodu. Przyszedł po pieniądze. Osiem dni temu profesor Hermes Trismegistos pojawił się w jego biurze i nieśmiało wybąkał zdanie stare jak Zaświat.

- Wydaje mi się, że zdradza mnie żona...

Jak powszechnie wiadomo, żony zdradzały, zdradzają i będą zdradzać, a nieszczęśliwi rogacze wynajmują prywatnych detektywów. Oni zaś dostarczają dowody. Rogacze kupują pistolety, a potem strzelają do niewiernych żon, ich kochanków i do siebie. W dowolnej kolejności. Z rzadka też wchodzi na wysoki budynek i strzelają do wszystkich naokoło. Ale to już nie jest zmartwienie prywatnych detektywów.

Raymond poświęcił przeszło tydzień na obserwowanie życia osobistego pani Trismegistosowej i jedynym wnioskiem, do jakiego doszedł, było to, że nie ma czego obserwować. Żona profesora mieściła się w pierwszej dziesiątce najnudniejszych i najbardziej bezbarwnych osób pod słońcem. Zaraz po rzeczniku prasowym rządu. I na pewno nie znalazłby się nikt, z kim mogłaby zdradzić męża. No, może oprócz wspomnianego rzecznika, ale on był poza podejrzeniami - był bezpłciową kupą niebieskiej galarety. Dosłownie. Cóż, profesor sobie dzisiaj nie postrzela.

Zazdrosny mąż właśnie kończył wykład.

- ...do spreparowania rzeczonoego eliksiru potrzebne są oczywiście odpowiednie przygotowania. Trzy uncje krwi dziewiczej dostaniecie bez problemu w każdym przedszkolu. Włosy doppelgangerów sztuk cztery również uzyskacie bez trudu. Nieco kłopotu mogą sprawić gałki oczne młodego gnoma...

Wypowiedź wykładowcy zakłócił tupot nówek Zbysia Berbelucha, będącego w trakcie panicznego biegu do drzwi. Berbeluch dopadł ich, po czym głośno i niecenzuralnie wyraził swoje zdanie na temat doboru co niektórych składników.

Gwoli wyjaśnienia - Berbeluch był gnomem i naprawdę wiedział, co mówi. Niektórzy prymusi zrobią wszystko, aby zdobyć niezbędny komponent.

I nie może być mowy o składnikach zastępczych.

IV

- Chłódnicą i przednią szyba. To będzie razem... zaraz... tak, sto dwadzieścia oboli.

Raymond z ciężkim sercem odliczył należność. Stary, czterodrzwiowy ford mocno ucierpiał podczas ostatniego zlecenia. Chłopcy z gangu Nietoperza taktownie dali diabłu do zrozumienia, iż nie życzą sobie, żeby za nimi jeździł. Naprawa samochodu pochłonęła prawie wszystkie pieniądze od profesora. Jednak wóz był Raymondowi niezbędny. W końcu stanowił element jego image'u. Podobnie jak stary, wytarty prochowiec, luźna marynarka i wysłużony kapelusz. Raymond niezbyt lubił ten styl, ale zacytani w Chandlerze klienci oczekiwali, że detektyw będzie wymięty, cyniczny i przystojny. I tylko wtedy traktowali go poważnie. Z tego właśnie powodu Raymond wyglądał, jak wyglądał.

- Proszę, oto kluczyki. - Mechanik uśmiechnął się pod nosem. - Usunęliśmy też prawie wszystkie dziury po kulach. Wózek jak nowy.

Diabeł bez przekonania podziękował i zapuścił silnik. Działał. Detektyw odetchnął z ulgą, włączył radio i przy wtórze piosenki „Złoty Pierścionek” w wykonaniu niejakiego Saurona wyjechał na ulicę.

V

Pół godziny później wspinał się na schody prowadzące do biura. Jego własnego, ciemnego i niewielkiego biura, spełniającego jednocześnie funkcję sypialni, jadalni i tysiąca innych, potrzebnych w danej chwili miejsc. Jak zwykle, do domu wracał w niewesołym nastroju. Koniecznie musiał znaleźć następne zlecenie albo znowu przeprosi się z karmą dla psów. W dodatku ceny mleka nieustannie rosły. Cholerna inflacja.

Był już przy drzwiach, gdy dobiegł go cichy dzwonek telefonu. Miły, obiecujący dźwięk, brzęczący jak mamona... Raymond szybko sforsował drzwi biura i eleganckim szczupakiem rzucił się do aparatu.

Chwilę później, gdy otrząsnął się już z zamroczenia po zderzeniu z szafą, drżącą ręką sięgnął po słuchawkę.

- Potrzebuję pańskiej pomocy. Spotkajmy się za pół godziny w knajpie „Sen Konduktora”. Proszę...

Jej głos przywodził na myśl srebrne wody górskiego strumienia. Miękki, delikatny, lecz zabarwiony wyraźną nutą zdenerwowania.

- Spokojnie. Proszę opowiedzieć wszystko po kolei. - Raymond włożył do ust wymiętego papierosa.

Odpowiedziała mu cisza. Cisza przetykana niewyraźnym ulicznym gwarem, zbieranym przez porzuconą słuchawkę gdzieś w odległej budce telefonicznej.

Diabeł zapalił i zamyślił się. Nie wiedzieć czemu, poczuł sympatię do tajemniczej kobiety. Kobiety, z którą zamienił tylko jedno zdanie. Kobiety o głosie miękkim jak jedwabna wyściółka w kojcu dla niemowląt o wrażliwej skórze. Bardzo wrażliwej i bardzo podatnej na odparzenia.

VI

„Sen Konduktora” z pewnością nie był lokalem wysokiej klasy. Sfatygowany wiatrak leniwie rozgarniał ramionami gęste od tytoniowego dymu powietrze. Zszarzałe ze starości ściany nachylały się ciekawie ku kilku samotnym stolikom, przy których załatwiano zwykle, ciemne sprawy bywalców takich lokali.

Raymond zabijał czas, sącząc mleko z szerokiej szklanki. Czekał.

Przy sąsiednim stoliku trzech tęgich krasnali toczyło zawzięty spór. Przekrzykiwali się nawzajem, co chwila waląc pięściami w blat.

- Mówię ci, pacanie, że to ja go ubiłem! - wołał najniższy z nich, wojowniczo wywijając widelcem.

- A gdzieżby. Tyś ubił smoka, kurdupłu? - zaryczał ten średni.

- Ja kurdupel? Ja kurdupel?! - Mały zamierzył się widelcem.

- Spokój. Obaj macie pamięć dziurawą jak rajstopy Grubej Berty. - Najstarszy, a zarazem najwyższy krasnal splunął na podłogę. - Ty, Gwałtku - wskazał zakrzywionym palcem średniego krasnala - nawet nie byłeś na tej wyprawie. A ty, Perwerku, byłeś tak pijany, że smoka widziałeś podwójnie. I walczyłeś, owszem, bardzo mężnie, ale nie z tym gadem, co trzeba. A poza tym to nawet nie był smok. Tylko wyjątkowo brzydka królowna.

- Królowna? - zaciekawiał się Gwałtek.

- Królowna. Jam ją ubił i jam nagrodę wziął.

- Nagrodę? - Perwerek z wrazenia upuścił widelec. - Nie mówiłeś o żadnej nagrodzie, Zboczku. Trza się było podzielić.

- A tam, mówiłem, nie mówiłem. W końcu nie o to spór się toczy.

- Ale kto daje nagrodę za uбиcie królowny? I to brzydkiej?

- Stowarzyszenie Smoczycch Estetów, ot kto.

Raymond uśmiechnął się pobłaźliwie. Gdy po raz kolejny unosił szklankę do ust, poczuł na sobie czyjeś natrętne spojrzenie. Powoli uniósł głowę i spojrzał w osadzone w szczurzej twarzy małe, różowawe oczka.

Facet wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać typowy, złośliwy i arogancki cwaniaczek. Chudy, niekształtny, obleczony w zbyt obszerny biały garnitur.

Wyzierający spod czarnego melonika, porośnięty szczecina pyszczyk wykrzywił się w pogardliwym grymasie. W lewej dłoni Szczurek ścisnął coś, co wyglądało jak futerał na skrzypce.

- Ty jesteś Chwościk? Idiotyczne nazwisko.

Przyciągnął sobie krzesło i usiadł naprzeciw Raymonda.

- Słuchaj, panna Mitchell nie potrzebuje już twoich usług, zrozumiano?

Raymond powolnym, wypracowanym przez lata ruchem opróżnił szklankę.

- A ty jesteś zapewne pełnomocnikiem panny Mitchell i przyszedłeś specjalnie po to, żeby mi to oznajmić? Nie ten adres. Nie jestem tu z powodu żadnej Mitchell.

- Braciszku, którego słowa nie rozumiesz? - Szczurek nachylił się w stronę rozmówcy. - Zapamiętaj, Helen dla ciebie nie istnieje. Nigdy jej nie widziałeś i nie słyszałeś o niej.

- I tu masz rację. Mówiłem już, nie ten adres.

- Słuchaj, braciszku. - Szczurek zaczął przebierać łapkami po futerał. - Powiem to naprawdę ostatni raz. To nie jest sprawa dla ciebie. Nie wiem, co tu robisz, i nie obchodzi mnie to. Teraz

grzecznie zapłacisz za mleczko, wyjdiesz stąd i pojedziesz do domu. Za krótki na to jesteś. Pewne rzeczy mogą cię przerosnąć, a wtedy... Cóż, cmentarze i tak są przepełnione.

Raymond niedbale wytrząchnął z paczki papierosa. Wetknął go pomiędzy zęby i zapalił.

- Oczywiście jako gentleman nie grozisz mi, tylko ostrzegasz?

- Oczywiście, braciszku. - Szczurek uśmiechnął się szeroko, prezentując garnitur małych, ostrych ząbków.

- I jako że żywisz do mnie głęboką i szczerą sympatię, nie chcesz, żeby spotkało mnie coś złego, wypadek na przykład, gdybym zaczął węszyć tam, gdzie nie powinienem?

- Jak najbardziej. - Ząbki Szczurka błyszczały w rosnącym ciągle uśmiechu.

- I byłoby ci pewnie bardzo przykro, gdybym zaczął interesować się panną Mitchell?

- Jasne, braciszku. Byłoby mi bardzo, bardzo przykro.

Raymond zaciągnął się głęboko papierosem.

- Sam widzisz, że nie mogę posłuchać twojego ostrzeżenia. A wiesz, dlaczego?

- Nie... nie możesz?

- Nie mogę. - Raymond wydmuchnął smugę dymu prosto w zdziwiony pyszczek. -

Ponieważ sprawianie przykrości takim dupkom jak ty to jedna z niewielu radości, jakich dostarcza mi życie.

Detektyw zdusił papierosa na blacie stołu i wstał.

- A w futerale masz oczywiście skrzypce?

- Oczywiście... Słuchaj, łapsie! Ty nie wiesz, z kim zadzieras, ty...

- Do widzenia... braciszku.

Raymond ominął stolik krasnali i nie oglądając się, wyszedł na ulicę.

VII

Diabeł zabębnił palcami o deskę rozdzielczą i zapalił silnik. Drzwi „Snu Konduktora” otworzyły się, wypuszczając na zewnątrz chudą postać. Szczurek rozejrzał się, po czym podszedł do zaparkowanego z boku starego forda. Wsiadł do środka i ruszył z kopyta.

Raymond odbił się od krawężnika i pojechał za nim.

- Podobają ci się fordy, szczurza twoja mać? - mruknął do siebie.

Faktycznie, samochód Szczurka był tej samej marki i koloru co wóz Chwościka.

Diabłu nie spodobało się to. Nie chciał mieć z tym typkim nic wspólnego, nawet jeśli podobieństwa miały się kończyć na marce samochodu.

Jechali przez skąpane w popołudniowym słońcu miasto. Szczurek prowadził

nerwowo, co chwila zmieniając pas. Raymond trzymał się nieco z tyłu. Międlił w zębach niezapalony papierosa i prowadząc jedną ręką, notował na skrawku papieru numer rejestracyjny Szczurka.

Typek wyraźnie kierował się na trasę wylotową z miasta. Okoliczne budynki zaczęły się przerzedzać, ruch na drodze zmalał. Raymond sięgał właśnie do kieszeni po zapalki, gdy nagłe uderzenie rzuciło go w przód. Diabłu udało się zapanować nad kierownicą i zerknąć we wsteczne lusterko.

Na ogonie siedziała mu potężna czarna limuzyna. Przyspieszyła i ponownie rąbnęła Raymonda w tylny zderzak. Powietrze rozdarła seria z pistoletu maszynowego.

- W mordę twoja nieochrzczona! - krzyknął Raymond, słysząc, jak tylna szyba eksploduje tysiącem kawałeczków, a koła zmieniają się w postrzępione wspomnienie po oponach.

Ford wprasował się w barierkę dzielącą pasy ruchu. Jechał jeszcze przez chwilę, szorując bokiem o ogrodzenie, po czym zatrzymał się na rozłożystym dębie, który jakiś idiota posadził tu chyba właśnie w tym celu.

Raymond opadł na fotel i przetarł zakrwawione czoło. Poprawił papierosa w ustach i zaczął szukać zapalek. Porządny nałóg to nie w kij dmuchał.

Drzwi po stronie pasażera otwarły się z hukiem, szarpnięte potężną włochatą łapą.

Chwilę potem ta sama łapa chwyciła Raymonda za kłapy i wyciągnęła z wozu. Diabeł wisiał w powietrzu, pół metra nad ziemią, na wprost ogromnej, wścieklej twarzy.

Trolle - przebiegła mu przez głowę straszna myśl.

Rzeczywiście. To były dwa wspaniałe egzemplarze rodziny *Trollus superbrutalis*, oba wbite w eleganckie wieczorowe smokingi. Miały nawet muszki i cholerne goździki w klapach. Jeden czerwony, drugi biały.

- Otwieraj bagażnik, szybko, prędko! - warknął diabeł w twarz żywy odpowiednik buldożera. Ten z czerwonym goździkiem.

- A może najpierw postawiłbyś mnie na ziemi, przyjacielu? - sapnął Raymond i zaraz tego pożałował, gdy piasnął w grunt z gracją rozmiękłego naleśnika.

Posłusznie poczołgał się do bagażnika i otworzył go.

- Ty, Marilyn, jej tu nie ma! Tu całkiem pusto jest - wyryczał zdziwiony Biały Goździk.

- Bez nazwisk, Monroe. - Czerwony ponownie chwycił Raymonda za fraki. - Gadaj mi zaraz, gdzie ona jest? Gdzie ona?

- Spokojnie, panowie. Chodzi o oponę zapasową?

Marilyn zatoczył pięścią łuk i wszechświat eksplodował.

- Zgaduję, że nie chodzi o oponę... - wystękał Raymond, trzymając się za szczękę.

Troll zamierzył się, by przywalić diabłu z drugiej strony, ot tak, dla symetrii, gdy jego potężną pięść powstrzymała równie imponująca łapa Monroe.

- Tyyy... to przecie nie ten...

- Jak nie ten! Jechalim za nim od samego baru przecież!

Oba trolle zaczęły dokładnie oglądać i obwąchiwać Raymonda. Marilyn postawił wreszcie diabła na ziemi i podrapał się w łysą głowę lufą automatu.

- Ej, ty to rzeczywiście nie ty!

- Jak on nie jest on, to gdzie jest on? - ryknął zdziwiony Monroe.

Czoła trolli zmarszczyły się w wysiłku umysłowym. Czyniły to z trudem, widać nienawykłe do tej czynności. Raymond przestał zwracać na nich uwagę i przez pełną minutę delikatnie obmacywał obolałą szczękę.

- Cholera! - ryknął wreszcie Marilyn.

- Cholera! - zawtórował mu Monroe.

Obaj wbili się szybko do limuzyny i odjechali z piskiem opon, zostawiając Raymonda w chmurce niebieskawych spalin. Diabeł splunął i poczłapał do wozu.

Przejrzał kieszenie w poszukiwaniu papierosów, lecz znalazł tylko pustą paczkę.

Spojrzał na nią, osunął się na ziemię i zaczął wyć.

VIII

Zaparkował przed domem. Był zły. Drugi raz tego dnia odwiedził warsztat samochodowy i drugi raz zostawił w nim kupę forsy. Samochód wyglądał teraz jak reklama złomowiska, a na tylnej, wstawionej naprędce szybie widniał napis:

„CMOKNIJ MNIE W WISIOREK, MISIU”, ale przynajmniej był na chodzie. Diabeł zatrzasnął wóz i wspinał się po starych, brudnych schodach. Otworzył drzwi do gabinetu i runął w głęboki fotel. Otworzył biurko mieszczące małą zgrabną lodóweczkę, którą nabył w starych, lepszych czasach, i nalał sobie solidną porcję mleka.

Zapalił papierosa. Teraz mógł pomyśleć. Delektował się dymem, machinalnie kartkując leżącą na blacie starą gazetę. Wreszcie chwycił słuchawkę telefonu i wykręcił numer.

- Trzynasty Komisariat, słucham?

- Cześć Derek. Mówi Raymond.

- Ray, bracie! Kopę lat! Co u ciebie?

- Po staremu. Słuchaj, mam prośbę, trzy nazwiska i numer rejestracyjny.

- Dalej na prywatnym, co? Nie zamierzasz wrócić do firmy?

Raymond prychnął krótko i zaciągnął się dymem.

- Do firmy? Nie w tym tysiącleciu.

- No tak... Mówiłeś, że masz sprawę?

- Taaa. Sprawdź dla mnie numer rejestracyjny... chwila...

Pogrzebał w kieszeni i wyjął świstek papieru.

- Mam. 0069-S-U-C-K.

- Dobra, co jeszcze?

- Trzy nazwiska. Zanotuj sobie: Marilyn i Monroe. Dwa duże trolle, które bardzo lubią strzelać.

Trzecie nazwisko to Mitchell. Helen Mitchell. Jak możesz, to... O

cholera!

- Co jest?

Diabeł nie odpowiadał. Jego wzrok przykuła stara gazeta leżąca na biurku. A dokładnie duży,

wytluszczony

nagłówek:

„SIOSTRZENICA

POTENTATA

FILMOWEGO GINIE W ZAMACHU BOMBOWYM”.

- W mordę kaligrafa. Chyba znalazłem tę Mitchell - wydusił do słuchawki.

- Znalazłeś? Gdzie?

- No, teraz to pewnie w kostnicy. Albo w ziemi. Zresztą posłuchaj, przeczytam ci kawałek:

... jak donosi nasz Latający Reporter, wczoraj wieczorem panna Helen Mitchell spłonęła we wraku samochodu. Policja podejrzewa zamach bombowy.

Dan T. Alighieri, wuj ofiary i jednocześnie wielki potentat filmowy, powiedział

nam: „Niech no ja dorwę tego koboldziego syna, ten goblini pomiot, tego lachmytę, który zrobił to mojej Helen, to obiecuję, że powyrywam mu wszystkie odnóża i własnoręcznie wepchnę mu je w... Jak widać, Dan T. Alighieri jest mocno poruszony tą tragedią. Policja jest na tropie.

- Jesteście na tropie, Derek?

- Co? Hmm... Ach tak. Nie wiem, szczerze mówiąc. To nie mój wydział.

- A czyj? No tak. O'Brian.

- Bingo. Ten stary sukinsyn chyba cię nie lubi, Ray.

- Nie lubi. No nic, Derek, będę kończył. Sprawdź dla mnie te rzeczy, będę wdzięczny.

- Nie ma sprawy, stary. Pogrzebię w archiwum. Słuchaj, a może zjadłbyś z nami kolację? Susan się ucieszy...

Raymond wydmuchnął cienką smugę dymu i uśmiechnął się.

- Kolacja?

- Wiesz, ludzie siedzą przy stole, jedzą i rozmawiają. To co? Sobota wieczór?

- Jeśli mnie nie zastrzelą, to przyjdę. Dzięki.

- Nie ma sprawy. To na razie, stary.

- Jasne.

Raymond odłożył słuchawkę i długo wpatrywał się w zamieszczone obok artykułu zdjęcie. Uśmiechała się z niego niespotykanej urody blondynka. Prawdziwa anielica.

W dosłownym tego słowa znaczeniu. Helen Mitchell była aniołem. Rozłożyste skrzydła i aureola. Kosmyk złotych włosów figlarnie opadał jej na czoło, a uśmiech mógł topić góry lodowe. Diabeł wstał, wziął gazetę i sprawdził datę. Rozległ się trzepot skrzydeł i na ramieniu diabła usiadła Kukuła.

- No i co?

- Widzisz? Ta babka spłonęła tydzień temu.

- No i co?

- Dziś z nią chyba rozmawiałem.

- No i co?

- To, że chyba pójde ją odwiedzić.

- No i co?

- Idź, bo jak cię palnę!

- No i... aaaaau!

Kukuła odfrunęła gubiąc kilka piórek, a Raymond już zbiegał schodami w dół.

IX

Adres Mitchell kosztował Raymonda pięć oboli. Stary Puchacz, latający reporter „Czytadła O Poranku”, sprzedał mu go bez problemów. Za kolejnego piąta powiedział mu jeszcze kilka ciekawych szczegółów.

- Przyjacielu, byłem tam, jak ją wyciągali. Mówię ci, wyglądała jak kolacja zrobiona przez moją żonę. Spalona i dymiąca. Szofer wyglądał nie lepiej. Cholerny kawałek węgla. Zdaje się, że poznali ją po naszyjniku. Wiesz, te bogate paniusie lubią mieć unikalną biżuterię. Jakiś diament, co to niby jedyny na świecie i te sprawy.

Wujek dał go jej na urodziny czy coś. Zresztą pisaliśmy o tym w zeszłym roku. To ładny kawał grosza, taki kamyk. Mógłbyś kupić całą tą zawszoną redakcję razem z cholernym naczelnym. I jeszcze by ci zostało na miły domek za miastem. Ale ty chyba nie z takich, co lubią białe domki z małym płotkiem, co? Jechała na jakąś uroczystość, mówię ci, dlatego taka wystrojona. Musiała się ostro zdziwić, jak jej ta bomba wybuchła w twarz. Znaleźli zapalnik, wiesz? Chłopaki z komendy nieźle się starają, gdy chodzi o ważniaków. Ten jej wuj, Dan T, to niezła szycha. Znasz Lulabel? Tą gwiazdeczkę? Albo Dziarskiego Jacka? To ten z wąsikami. Wszyscy są z jego stajni.

Ten gość trzyma w ręku połowę przemysłu filmowego w tym cholernym kraju. Gruba ryba, mówię ci. I jak mówię gruby, to mam na myśli naprawdę gruby. Rany, ale on jest tłusty...

Tak, Stary Puchacz zdecydowanie lubił sobie pogadać.

Raymond zaparkował przy krawężniku przed domem Helen. Całkiem przyjemna okolica. Trawniczki, chodniczki, czysto, schludnie, nikt nie biega po ulicy z siekierą.

Śliczne miejsce, żeby się w spokoju zestarzeć. Raymond otrząsnął się ze wstrętem i ruszył wysypaną białym żwirkiem alejką. Dom Mitchell był całkiem imponujący.

Właściwie był to mały pałacyk z białymi wieżyczkami, daszkiem z czerwonej dachówki i mini fosą, po której pływały łabędzie.

Drzwi były pracowicie oklejone policyjnymi plombami. Raymond rozejrzał się. O tej porze wszyscy bogaci sąsiedzi leżą już pewnie pijani jak świnki morskie. Diabeł przy pomocy scyzoryka odkleił plomby, wyjął z kieszeni saszetkę z wytrychami i pogmerał chwilę w zamku. Mechanizm ustąpił. No proszę, jak to bogactwo rozpuszcza człowieka. Spokojna okolica, kiepskie zamki w drzwiach, a w sejfie pewnie kupa forsy.

Raymond wślizgnął się do środka, zamykając za sobą drzwi.

Minął kuchnię, salon i pokoje dla gości. W łazience chwilę przyglądał się szklance z dwiema szczoteczkami do zębów. Sypialnia przywitała go kolorem burgunda i ogromnym łóżem z baldachimem. Na podłodze stał wazon z bukietem zwiędłych teraz róż. Raymond oderwał od nich ozdobny bilecik.

Bo jesteś piękna

Bo jesteś jedyna

Bo jesteś wszystkim

Co kocham i czego pragnę

Moje słodkie kochanie

O.

Raymond odłożył bilecik i podniósł z toaletki butelkę perfum. Powąchał. Kanał no. 5. Cholernie drogie i cholernie oryginalne. Otworzył szafę i chwilę przetrząsał eleganckie kreacje, by natknąć się na plastikowy pokrowiec z męską marynarką. W kieszeni znalazł kwit z pralni. Właśnie dlatego lubił pracę prywatnego detektywa. To było takie proste. Obejrzał kwit.

Pralnia Mao Zedong

Odbiorca Orfeo Whisper - Chłopskie Krocze 18

Zapłacono gotówką.

Co chłopak z najgorszej dzielnicy w mieście robi z bogatą panną? Raymond spojrzał na łóżko. No dobra, nie co robi, ale jak mu się to udało?

- Rusz się tylko i uprzyjemnij mój dzień, śmieciu! - rozległ się basowy głos za plecami Raymonda.

Diabeł odwrócił się powoli.

Cholera.

Porucznik O'Brian. Policjant stał w drzwiach i mierzył Raymondowi między oczy z broni służbowej. To był kawał starego sukinsyna. Na komendzie nazywali go OB., jako że zawsze miał „te trudne dni”.

Porucznik uniósł broń i wypalił kilkakrotnie w sufit.

- Zastanawiasz się teraz, śmieciu, czy wystrzeliłem pięć, czy sześć razy? Właściwie sam straciłem rachubę. Jak myślisz, czy została kulka dla ciebie? Powiedz, masz dzisiaj szczęście,

śmieciu?

Raymond popatrzył na sufit i policzył dziury.

- Pięć razy, O'Brian. Zresztą zawsze strzelasz pięć. Skończ te kiepskie teksty i schowaj pukawkę.

O'Brian podreptał chwilę w miejscu.

- Nie lubię cię, Chwościk. Nigdy cię nie lubiłem. Co tu robisz?

- Prowadzę dochodzenie.

- No to ciekawie się składa, bo ja również. Jak myślisz, czyje dochodzenie jest ważniejsze? Policji czy prywatnego łapsa?

- O'Brian, ja wiem, że lubisz przewagę, jaką ci daje odznaka. To chyba rekompensuje ci małego... wiesz kogo.

- Pamiętaj, że mogę odebrać ci licencję, Chwościk!

- Za żarty o Wacusiu? Ładnie to będzie wyglądało w uzasadnieniu...

- Dla kogo pracujesz?

- Tajemnica zawodowa, O'Brian. - Raymond usiadł na łóżku i zapalił. - Wiesz, że nie mogę ujawnić pracodawcy. Kto by mnie potem zatrudnił?

- Nie w sprawie o morderstwo. Tutaj musisz gadać i świetnie o tym wiesz.

- No to chyba musisz zaprowadzić mnie na komendę. Nic ci nie powiem. Bo ja też cię nie lubię, O'Brian.

XI

Gdyby wziąć woskową kukłę Jacka Nicholsona, przymocować jej do głowy cztery kule do kręgli i starą czerwoną tenisówkę, a całość posypać kawałkami mortadeli, otrzymalibyśmy coś zupełnie niepodobnego do kapitana Harrisa. Kapitan był

niedużym, bujnie owłosionym chochlikiem, a tenisówki miał zwyczaj nosić raczej na nogach. Nie oznacza to wcale, że był normalny.

- Kiedy byłem małym chłopcem, bardzo chciałem zostać tancerką - oznajmił Harris i przycupnął na parapecie.

- Kapitan pragnie oznajmić, że jeśli nie udzielisz nam wyjaśnień, zmuszeni będziemy zatrzymać cię dla dobra śledztwa - odezwał się Organiczny Tłumacz.

Niewiele osób decyduje się na używanie Tłumacza. Głównym powodem jest niezbyt przyjemny zapach wydzielany przez tę zielonkawą, najeżoną setkami macek istotę. Niebagatelnym czynnikiem są też jego rozmiary. Ten egzemplarz zajmował

większą część biura. Oczywiście dla niezrównoważonego umysłowo kapitana policji Tłumacz był koniecznością. Przekazywał to, co Harris powiedziałby, gdyby był zdrowy psychicznie. Albo przynajmniej co powiedziałby według Tłumacza.

Raymond odtrącił kilka macek i usiadł na wciśniętym w kąt krześle. Zapalił.

- Kapitanie, nie raz i nie dwa przyprowadzano mnie tutaj, pan bełkotał swoje, ja swoje i nigdy nie doszliśmy do porozumienia. Przyznam, że przynajmniej dla mnie staje się to nieco nużące.

- Frau Gruberschwester, cieszę się, mogąc kopulować z twoim wielorybem.

- Kapitan powiedział, żebyś zaczął współpracować. - Tłumacz próbował objąć Raymonda jakąś wyjątkowo przyjazną macką.

- Wie pan przecież, że nie mogę zdradzić nazwiska pracodawcy. Kto później zatrudniłby detektywa, który rozpowiada na lewo i prawo o swoich klientach?

- Skrzynie z kapustą nadlatują zza wody! - krzyknął Harris i zwinnie ukrył się pod biurkiem.

- Kapitan mówi, że mało go to interesuje.

- Pasteczka mała, starą babcie miała. Chcesz kapusty dla langusty?

- Eeerg - powiedział Tłumacz.

Trzeci powód, dla którego nie chciano używać Organicznych Tłumaczy, był taki, że istoty te były najzwyczajniej w Zaświecie wadliwe. Raymond, choć bardzo niechętnie, postanowił zrobić to, co robił zwykle, gdy miał udzielić kapitanowi wyjaśnień.

- Kułaka w oczy kole zasiane wspólnie pole! - wrzasnął wprost w jedną z macek.

- Zatrzymany... eeee... zgadza się współpracować? - Tłumacz niepewnie poruszył cielskiem.

- Wróg cię kusi coca-colą! Partia walczy z narodem o lepsze jutro! Nasz cel to socjalizm bez wypaczeń! Wzmoczona kontrola dźwignią społecznego zaufania!

Raymond wyrzucał z siebie hasła, których nauczył się kiedyś podczas krótkiego pobytu na Ziemi. Co jak co, ale zakutych łbów ziemskich polityków nie zrozumie nawet Organiczny Tłumacz. Zwłaszcza że Tłumacz jest nieco popsuty, a wzmiankowani politycy to socjopaci.

- Głodne kurczaki nasze, bo Reagan zabrał im paszę! Oczyszczyć partię z syjonistów!

Dwieście siedemdziesiąt tysięcy komunistów Śląska i Zagłębia gotowych na zew towarzysza Wiesława!

Raymond wciąż pastwił się nad Tłumaczem. Ten wydawał już z siebie tylko niezidentyfikowane

trzaski i bulgoty, a jego macki trzepotały jak ranne gołębie.

Kapitan Harris z uśmiechem wtykał sobie spinacze w lewe ucho.

- Rolniku, myj jaja!

To była ostatnia kropla. Organiczny Tłumacz stęknął, chrząknął i znieruchomiał.

Raymond westchnął. Nie lubił robić krzywdy Tłumaczowi, ale niestety zdarzały się chwile, gdy nie miał innego wyjścia. Przecież nie mógł powiedzieć, że nie pracuje właściwie dla nikogo, a sprawą zajął się dlatego, że pewna kobieta o miłym głosie zadzwoniła do niego, a pewien typek próbował go obrazić. I jeszcze dlatego, że on nie lubi, jak się go obraża i jak strzelają do niego dwa wielkie trolle. A tak poza tym sam nie wie, czemu się w to wszystko wpakował, skoro nie ma z tego nawet złamanego obola. Stanowczo nie mógł tak powiedzieć. To zepsułoby jego image. Poza tym Tłumacz niedługo dojdzie do siebie. Przez parę dni będzie po prostu obłąkany, a na Trzynastym Komisariacie to nie powinno budzić zdziwienia.

Przecisnął się obok nieruchomego zielonego cielska i podsunął kapitanowi do podpisania przepustkę. Kapitan wziął ją, powąchał i zjadł.

XII

Chłopskie Krocze stanowczo nie było miłą dzielnicą. W tej części miasta mieszkały najgorsze szumowiny: seryjni mordercy, gwałciciele, alfonsi i producenci seriali telewizyjnych.

Oczywiście czasem zdarzało się, że zamieszkali tutaj spokojni obywatele, którzy po prostu byli zbyt biedni, żeby wynająć mieszkanie w innej części miasta. Jednak musieli oni całe swe mizerne zarobki inwestować w drzwi antywłamaniowe, kraty, alarmy i strzelby samopowtarzalne. A potem umierali z głodu.

Raymond jechał Aleją Rzeźników, mijając kolorowe neony klubów porno, sklepy z amunicją i piłami mechanicznymi oraz małe, brudne spelunki nazywane przez niektórych klubami jazzowymi. Zatrzymał się przed kamienicą z numerem 18.

Sprawdził, czy rewolwer gładko wychodzi z kabury, i wysiadł.

Na zniszczonym domofonie wisiała tylko jedna tabliczka. Ładne, starannie nakreślone litery głosiły: „Nr 5. Orfeo Whisper - artysta”. Raymond wspiał się po schodach, mając nadzieję, iż jego samochód wygląda tak nędznie, że żaden porządny złodziej nie będzie nim sobie zaprzętał głowy. Na klatce schodowej nie pachniało najlepiej. Raymond pociągnął nosem. Gotowana kapusta. Czasem ma się wrażenie, że cały wszechświat przesiąknięty jest smrodem gotowanej kapusty.

Drzwi z numerem piątym były solidne i okute grubą blachą. Raymond zapukał energicznie. Jediną reakcją było uchYLENIE SIĘ sąsiednich drzwi. Siedząca w fotelu inwalidzkim siwowłosa staruszka groźnie potrząsnęła trzymaną oburącz strzelbą na słońce.

- Do kogo?

- Ja? O, tutaj chciałem, pod piątkę, szanowna pani...

- Nie ma go. - Staruszka splunęła i zatrzasnęła drzwi.

Raymond westchnął i wyjął wizytówkę. Wsunął ją w szparę pod drzwiami Orfea i zszedł do samochodu.

Pojechał do całodobowego baru oferującego tanie, niewyszukane dania na wynos.

Czekając, aż skośnooki kucharz zatłucze młotkiem jego kolację, zastanawiał się nad kolejnym krokiem. W momencie, gdy otrzymał zapakowaną potrawę, miał już opracowany genialny i błyskotliwy plan działania. Polegał on na tym, aby wrócić do domu i zalać się w pestkę.

XIII

Po raz kolejny tego dnia Raymond wspiał się po schodach prowadzących do jego biura. Zatrzymał się przed drzwiami i trzymając w uniesionej ręce ciekącą torbę z kolacją, sięgnął do klamki. Drzwi otworzyły się raptownie, a coś wielkiego i paskudnego złapało go wpół i wciągnęło do środka. Przeklinając własną nieostrożność, Raymond uderzył ciałem w ścianę, w podłogę i znów w ścianę. Nie żeby lubił to robić, po prostu nie miał wyboru. Krostowaty olbrzym miotał nim po pomieszczeniu niczym szmacianą lalką. Widocznie miał ciężkie dzieciństwo.

Po kilku kolejnych zderzeniach z murem diabeł został rzucony na krzesło.

Krostowaty stanął z tyłu i oparł mu na ramionach ciężkie łapska, którym z pewnością przydałby się mały manicure. Raymond uniósł głowę. Wcale nie był zaskoczony, widząc, kto siedzi w jego fotelu i pije jego mleko.

- Tfu, nie masz nic lepszego? - parsknął Szczurek i odstawił szklanekę. - Wy, diabły, macie naprawdę poprzestawiany gust. Raymond nie odpowiedział.

- Dobra, panie prywatny detektywie. Prosiłem, żebyś nie wtykał nosa w nie swoje gówno? Prosiłem. Posłuchałeś? Nie posłuchałeś. - Szczurek wyraźnie napawał się sytuacją. - Teraz ja i mój dobry przyjaciel Otto zajmujemy się stanem twojego zdrowia.

Znaczy, zmienimy go.

- Otto, proszę, daj mi w łeb - jęknął Raymond do Krostowatego. - Tylko niech on przestanie gadać...

- To ja tu wydaję rozkazy! - zagulgotał Szczurek. - Otto... daj mu w łeb!

Otto nie dał mu w łeb. Raymond ze zdziwieniem ujrzał, że drzwi gabinetu otwierają się z hukiem. Jeszcze bardziej zdziwiony był Szczurek, gdy zobaczył dwa wielkie trolle prujące ze swoich automatów. A już najbardziej zdziwiony był Otto, który odkrył nagle cztery krwawe dziury w swojej klatce piersiowej.

Nie czekając na dalszy rozwój wypadków, Raymond wyskoczył przez okno.

Stoczywszy nierówną walkę z grawitacją, runął w dół, by trafić w sam środek stojącego na chodniku kontenera na odpadki. Wsłuchał się w grzmiącą nad głową kanonadę i przezornie stracił przytomność.

XIV

Z błędnego stanu nieświadomości wyrwał go pulsujący ból głowy. Raymond obmacał czaszkę. Policzył ręce i nogi. Rachunek się zgadzał, więc powoli wypełził z kontenera, otrzepał ubranie i rozejrzał się dookoła. W otoczeniu dominował kolor niebieski.

Wszędzie kręcili się mundurowi. Z bramy budynku dwóch pielęgniarzy wynosiło ciało faceta znanego kiedyś jako Otto. Raymond przez chwilę rozważał dostępne opcje.

Mógł odejść, zaszyć się w jakiejś knajpie i zalać w trupa. Mógł wpełznąć z powrotem do śmietnika i zasnąć. Mógł też wejść na górę, oszacować straty i dać się przesłuchać.

Z ciężkim sercem wybrał ostatnie rozwiązanie. Był w końcu porządnym obywatelem.

No... przeważnie porządnym.

- Pocałuj swoją licencję, Chwościk! - Porucznik O'Brian miotał się po pomieszczeniu. - Pocałuj ją na do widzenia, bo nigdy już jej nie zobaczysz! Pocałuj ją w... w...

- W dupę? - podsunął usłużny mundurowy, zwijający policyjne taśmy.

Raymond westchnął i oparł się o biurko. Smutnym wzrokiem omiółł podziurawione kulami ściany, wybite okno i zakrwawiony dywan, na którym widniał biały obrys ciała.

- Pobrudziliście mi kredą cały dywan, O'Brian.

- Ja cię zaraz pobrudzę! Ołowiem! Unikasz odpowiedzi na moje pytania! Nie chcesz się przyznać do winy! Jak ja mam w takich warunkach prowadzić śledztwo?

- Nie płacz. Już mówiłem. Dwóch gości. Potem jeszcze dwóch. Zaczęli do siebie pruć jak na strzelnicy, to co miałem robić? Poprosić o dokumenty?

- Gangsterskie porachunki! Posadzę cię, Chwościk. Jesteś już na widelcu. Nie wierzę, że ich nie znałeś, nie wierzę w ani jedno twoje słowo. - Porucznik potrząsnął notatnikiem. - Twoje zeznania możesz sobie wsadzić w...

- W dupę? - podsunął mundurowy.

- Nieźle ich szkolicie - mruknął Raymond. - Złożyłem zeznania? Złożyłem. Nie podobają ci się? To albo mnie zamknij, albo odpłyn. Miałem ciężki dzień.

O'Brian wymruczał pod nosem potok przekleństw.

- Wychodzimy, chłopaki - rzucił do policjantów. - A ty, Chwościk, uważaj, bo...

- Bo mnie ugryziesz?

- Co? Gdzie ja mam cię niby gryźć?

Raymond wskazał na rezolutnego mundurowego.

- On już wie, gdzie.

Po wyjściu stróżów prawa diabeł ciężko opadł na krzesło i pociągnął spory łyk mleka wprost z kartonu. Właściwie nie skłamał, składając zeznania O'Brianowi.

Powiedział wszystko, pomijając może swoje wcześniejsze spotkanie z wesołymi chłopcami od bicia i strzelania. Bagatela. W końcu mogło mu się zapomnieć.

Oczywiście nie wspomniał też nic o całej sprawie Helen Mitchell. A sprawa zaczynała już ostro śmierdzieć. Chyba czas, żeby ktoś wpuścił do niej trochę świeżego powietrza.

XVI

Najlepsze, co można zrobić po ciężkim dniu, to pić do utraty przytomności. Ta stara prawda żyła w rodzinie Raymonda od pokoleń, więc jako posłuszny potomek diabeł

nalął sobie kolejną porcję mleka. Minęła już północ, ulice wypełniała cisza. Nocne istoty nie robią hałasu. Żyją w ciszy. Kochają i nienawidzą jak wszyscy. Jak wszyscy popełniają błędy. Jak wszyscy snują swoje małe plany. Ale nie hałasują. Nikt nie wie, dlaczego.

Raymond wychylał właśnie kolejną szklankę, gdy usłyszał ciche pukanie.

Detektyw ze znużeniem uchylił drzwi. Ciemność za nimi poruszyła się.

W progu stał szczupły, ciemnoskóry młodzieniec. Właściwie należałoby powiedzieć: czarnoskóry. I czarnooki. W miejscu, w którym zazwyczaj znajdują się białka, kłębił się nieprzenikniony mrok. Ciemne elfy już tak mają.

- Pan chyba chciał mnie widzieć - wyszeptał cicho przybysz. - Nazywam się Whisper. Orfeo Whisper.

Raymond wzdrygnął się. Teoretycznie on - diabeł - również należał do Świata Ciemności. Ale tylko teoretycznie. Świat Ciemności, wielkie mi co - jak zwykł mawiać po kilku głębszych. Banda księżycolubnych ciemnych typków. Łopot czarnych płaszczy, kiepski makijaż, poza cierpiętника, bieganie po gzymsach i takie tam. No i ta niewyszukana symbolika. Odwrócone krzyże, węże, kielichy krwi i inne badziewia.

Raymond wołał poleżeć w blasku słońca z chłodnym drinkiem w garści i gorącymi kobietami wokoło. A nie zadawać się z jakimiś tam bladymi lalami z przerośniętą szczęką.

- Wejdz i porzuć nadzieję czy jak tam mawiacie. - Detektyw wpuścił gościa do środka. - Siadaj, gdzie ci wygodnie. Może przycupniesz na parapecie?

- Nie musi pan być taki sarkastyczny. Nie jestem jednym z tych mrocznych indywiduów - wyszeptał Orfeo.

Faktycznie. W pełnym świetle przybysz nie wyglądał już tak grobowo. Spod kolorowego beretu wystawały skołtunione dredy. W jego ubiorze wyczuwało się pewną swobodę. Starał się też unikać czerni.

- Znalazłem pańską wizytówkę. Jaką to miał pan do mnie sprawę? - szepnął elf, siadając na krawędzi biurka.

- Chodzi o Helen Mitchell. Znasz ją?

- Tak, to moja... przyjaciółka. Co się stało? - W cichym szepcie dało się wyczuć niepokój.

- Też chciałbym to wiedzieć. Napijesz się? - Raymond sprawnie napełnił dwie szklanki. - Podobno zginęła tydzień temu.

Orfeo zakrztusił się. Gdyby pozwoliła mu na to jego karnacja, na pewno by zbladł.

Śmiertelnie.

- Jak... jak to?

- Masz, czytaj. - Raymond podał mu gazetę, bacznie obserwując jego reakcję.

Chłopak szybko przebiegł wzrokiem tekst.

- Nic... nic nie wiedziałem o... o tym. Nie widziałem jej już jakiś czas, ale... - dalsze słowa zakłócił szloch wydobywający się z elfiej gardzieli. Orfeo ukrył twarz w dłoniach.

- Pocieszę cię. Osobiście zawsze uważałem, że prasa kłamie. - Raymond podsunął chłopakowi szklankę. - Ona żyje. Ale chyba ma spore kłopoty.

Diabeł pociągnął długi łyk mleka i opowiedział to, czego dowiedział się dotychczas. Zaufał

temu dziwnemu, szepczącemu młodzieńcowi. Czasem trzeba zdać się na instynkt. A instynkt wyraźnie mówił mu, że ten elf nie jest złym facetem.

XVII

Kilka kartonów mleka później Orfeo był już spokojniejszy. Co prawda chwiał się i trochę bełkotał, ale poza tym jakoś się trzymał.

- Widzi pan, to było tak, jakbym złapał Boga za nogi. Cztery miesiące temu...

Grywałem wtedy w małej knajpce, takie tam brzdąkanie. Tego wieczoru, trzeciego wieczoru wiosny spotkałem ją. Siedziała przy barze, samotna. Blond anioł o najpiękniejszym uśmiechu na świecie. Blask jej błękitnych oczu podkreślał lśnienie diamentowej aureoli... I ta biel jej skrzydeł. Siedziała tam i patrzyła na mnie. Wtedy grałem tylko dla niej. Była moją Piękną Heleną. Wiedziałem to. Po występie pakowałem moją gitarę z przeświadczeniem, że od tego dnia każde inne piękno będzie mi się kojarzyć tylko z nią. I wie pan co? Podeszła do mnie. Zaczęliśmy rozmawiać.

Przełamała moje onieśmienie... Tej nocy miasto należało do nas. Spacerowaliśmy brzegiem Styksu, rzucając monety zagubionym duszom. Tańczyliśmy do rytmu rytualnych bębnow. Biegaliśmy po deszczu. I rozmawialiśmy. Rozmawialiśmy naprawdę dużo. Tak to się zaczęło.

Orfeo urwał i pociągnął kolejny łyk. Westchnął cicho i ze wzrokiem utkwionym w jakiś punkt, widoczny tylko dla niego, podjął opowieść.

- Wie pan, nie jestem zbyt bogaty. Ona tak. Było mi z tym trochę ciężko, nie mogłem dać jej wielu rzeczy. Ale ona nawet ich nie chciała. Chciała mnie.

Spacerowaliśmy po lasach, po łąkach. Zbieraliśmy kwiaty. Ona pokazała mi, ile radości można czerpać z blasku słońca, z szumu drzew. Dziwne, nie? Ja i słońce. Ale tak było. Martwiła mnie tylko jedna rzecz. Były dni, kiedy ona po prostu zniknęła.

Nigdy nie mówiła mi, co wtedy robiła, gdzie była. Nic, ani słowa. Ale akceptowałem to. Nigdy nikogo tak nie kochałem.

Odmierzany szklankami mleka czas płynął sennie. W zadymionym pokoju dwóch ledwo przytomnych facetów wciąż prowadziło rozmowę, do jakiej zdolni są tylko pijani faceci. Na trzeźwo o uczuciach rozmawiają tylko kobiety. Mężczyźni muszą się napić.

- Często zasypiała z głową na moich kolanach. Lubiła to. Kładła się, zamykała oczy. Głaskałem ją po włosach, nuciłem do snu. Śpij... śpij, słodkie kochanie. Tak do niej mówiłem, wie pan? - Orfeo zapatrzył się pustym wzrokiem w przestrzeń. - A teraz nie wiem nawet, gdzie ona jest. Czy wszystko z nią dobrze, czy żyje... A pan? - Chłopak ocknął się z zamyślenia. - Kocha pan swoją kobietę?

Raymond westchnął ciężko.

- Jak cholera. Cały czas.

- A ona? Ona to odwzajemnia?

- Nie wiem. - Raymond zdusił papierosa w przepelnionej już popielniczce. -

Jeszcze jej nie spotkałem.

Chwiejnym ruchem spróbował podnieść się z fotela. Niestety, grawitacja znów zwyciężyła. Diabeł opadł ciężko na siedzenie.

- Nie martw się, chłopie. Znajdę tę twoją Piękną Helenę.

- Pomogę panu! To znaczy ja... zrobimy to razem - wyszeptał entuzjastycznie Orfeo.

Raymond wypił duszkiem resztę mleka wprost z kartonu.

- Dwa warunki. Mów mi po imieniu. I przestań wreszcie szeptać - wybełkotał i zwałił się pod stół.

- Spróbuję - wyszeptał nieco donośniej Orfeo i zasnął na biurku.

XVIII

Czasem poranek nadchodzi z siłą młota pneumatycznego. Czasem też wspomniany młot znajduje się wewnątrz twojej czaszki. Jak mawiają mądrzy ludzie, kac jest karą za to, że przestałeś pić.

Raymond z trudem otworzył lewe oko. Nadludzkim wysiłkiem uniósł głowę.

Odkleił od policzka niedopałek papierosa i ziewnął. Pociągnął nosem. W

pomieszczeniu unosił się dziwny zapach. Niecodzienny. Inny od zwyczajnego smrodu petów i przetrawionego mleka.

- Jajka sadzone, raz! - Nad uchem Raymonda rozległ się całkiem głośny szept.

Na blacie biurka wylądował talerz i dzbanek kawy.

- Smacznego. Ja już jadłem - prawie słyszalnie powiedział Orfeo.

- Chyba się z tobą ożenię - sapnął diabeł i błyskawicznie spałaszował posiłek.

Wyciągnął się wygodnie w fotelu i zapalił papierosa.

- Kukuła, która godzina?

- Nie powiem! Strajkuję! - z zegara dobiegł piskliwy, bojowy głosik.

- Co? Czemu?

- A jak myślisz, skąd ten twój romantyczny ciemniak wziął jajka na śniadanie?

Chciałam sobie wychować śliczne małe kukuleczki...

- W lodówce było tylko mleko - przepaszająco wyszeptał Orfeo.

- Pójdę z tym do związków zawodowych! Oflaguję się! Do sądu pracy z tym pójdę!

Raymond przeciągnął się i wyszczerzył zęby.

- Kończ ten strajk albo na obiad będzie drób.

- Dziesiąta dwadzieścia! - pisnęła Kukuła. - Tyranie!

- Od czego zaczynamy? - szepnął Orfeo. - To znaczy gdzie idziemy?

- Chyba czas zainteresować się przemysłem filmowym. I przestań szeptać.

XIX

Raymond rozejrzał się po gabinecie, który śmiało mógłby pełnić rolę boiska do koszykówki. Oczywiście tylko pod względem gabarytów, ponieważ koszykarze zbyt często potykałoby się o perskie dywany i rozbijali głowy o marmurowe kolumny.

- Przyszliśmy porozmawiać o Helen.

- Helen Hunt?

- Helen Mitchell. Pańskiej siostrzenicy.

Dan T. Alighieri wypuścił z siebie powietrze. Ogromną ilość powietrza.

Powiedzieć, że Dan T. jest gruby, to jak nazwać Olimp pagórką. Dan T. wyglądał jak archetyp producenta filmowego. Na jego kolanach leżał leniwy biały kot. Sam Dan T.

składał się z niespotykanej na co dzień tuszy, łysiny, obowiązkowego cygara i nie mniej obowiązkowego smokingu. Wyglądał jak wielka tłusta żaba. W smokingu. Z cygarem.

Właściwie był wielką zieloną żabą z cygarem.

- Chcielibyście porozmawiać o mojej małej siostrzenicy? - Dan T. Alighieri sapnął donośnie. - Pożegnałem ją już lata... lata temu.

Gigantyczne żaby mają czasem zaburzone poczucie czasoprzestrzeni.

- Tydzień z kawałkiem - rzucił Raymond. Wciąż miał niezłego kaca i nie w głowie mu była delikatność.

- Tak, to rzeczywiście niedawno - zgodził się Dan T. - Bardzo mi jej brakuje.

- Prowadzimy dochodzenie i... - Orfeo zaznaczył swoją szepczącą obecność.

- Prowadzimy dochodzenie - podjął Raymond - i potrzebujemy wszelkich informacji, którymi mógłby nas pan uraczyć.

„Uraczyć”. Było to jedno ze słówkluczy, jakich czasem używał Raymond. Święcie wierzył, że gdy mówisz „uraczyć”, nikt nie weźmie cię za proła spod budki z piwem.

Używając takich słów jak „uraczyć” aspirujesz do wyższych sfer. Na przykład sfer producentów filmowych. I w niczym nie przeszkadza, że owi producenci to łysiejące żaby.

- Helen... Helen była moim słoneczkiem - sapał Dan T. - Kochałem ją jak własną córkę. Córkę, której nigdy nie miałem. Wiecie, nie tak łatwo w dzisiejszych czasach złożyć skrzek.

- Bardzo to piękne, ale my potrzebujemy szczegółów. Kim była. Gdzie żyła, z kim przestawała, co jadła na kolację i takie tam.

Dan T. Alighieri sapnął i zapalił kolejne cygaro. Pogłaskał kota.

- Była moją małą Helen. To wystarczy. Pan mówi, że prowadzi dochodzenie.

Znakomicie. - W żabich oczkach pojawił się niedobry błysk. - Mam dla pana ofertę.

Dwadzieścia tysięcy oboli za dupka, który skrzywdził moją małą. *Capisci?*

- On jest już bardzo nieszczęśliwym dupkiem - uśmiechnął się Raymond, sięgając do pudełka z cygarami Dana T. - Umowa stoi.

Delektował się przez chwilę dymem z cygara. Delektował się również myślą, że wreszcie ma zlecenie. I kupę kasy w perspektywie. Ogromną, brzęczącą i błyszczącą stertę forsy.

Tego popołudnia Dan T. Alighieri powiedział im wiele rzeczy. Opowiedział o tym, jak adoptował małą Helen, kiedy jej rodzice mieli śmiertelny wypadek w ognistym rydwanie. Wierzyli, że muszą wozić Słońce po nieboskłonie, bo inaczej nie dojedzie na czas do roboty. Mieli rację. Od dnia ich śmierci Słońce spóźnia się o jakieś dwanaście minut. W skali roku.

Za ubezpieczenie na życie rodziców Helen kupiła dom. Wujek Dan T. wprowadził ją w świat wielkich interesów. Była modelką, później aktorką. Kiedy znudziło ją pokazywanie swego ciała za pieniądze, zaczęła pokazywać cudze ciała. Również nie za darmo. Organizowała castingi, potem została managerem gwiazdeczek średniego szczebla, producentem niskobudżetowych horrorów, a potem... zniknęła z branży.

- Gdyby chciała, dziś odbierałaby Oskarda - zachlipał Dan T. - Po prostu pewnego dnia powiedziała, że film przestał ją bawić. Przestał bawić! Ot tak, z dnia na dzień.

Taka już była moja Helen. Impulsywna. Zaczęłam widywać ją rzadziej, rodzinne święta, pogrzeby, takie tam. Ostatni raz widziałem ją w jej urodziny.

- Dał jej pan naszyjnik. - Raymond ponownie sięgnął do pudełka z cygarami gospodarza. Wyjął dwa, jedno wetknął w półotwarte usta Orfea. Chłopak siedział już tak od jakiegoś czasu.

- Dałem jej naszyjnik. Nie był może aż tak drogi, jak rozpisywała się o tym prasa, ale miał swoją wartość. To po prostu dzieło zręcznego rzemieślnika. Facet miał swój sekret zawodowy: nigdy nie zaczynał pracy inaczej niż po butelce żołądkowej gorzkiej.

W stanie upojenia produkował cudeńka, co to są jedyne na świecie. - Dan T. nieświadomie zacytował słowa Latającego Reportera. - I właśnie po tym... po tym naszyjniku poznali jej ciało - załkał Dan T. Alighieri, wycierając nos w grzbiet białego kota.

- Znał pan jej bliskich znajomych?

- Och, raz czy dwa odwiedziła mnie w towarzystwie dwóch postawnych gentlemanów. Podejrzewam, że mogły to być trolle.

- Tych koleżków już miałem przyjemność spotkać. - Raymond pomasaował szczękę i zdusił cygaro w kryształowej popielnicy. - Coś jeszcze się panu nasuwa?

- Pamiętam, jak kiedyś Helen, chyba przez nieuwagę, zostawiła u mnie wizytownik, a w nim...

Dan T., donośnie sapiąc, przetrząsnął szuflady biurka, gdzie pomiędzy zwietrzalymi kawałkami pizzy pepperoni i świerszczykami ze zdjęciami młodych kijanek znalazł czerwoną wizytówkę.

- Proszę - wysapał, podając ją Raymondowi. - Cafe Minoque.

XXI

- Ta knajpa należy do gangu Padliny - powiedział Raymond, próbując pogodzić prowadzenie samochodu z upychaniem po kieszeniach zdobytych cygar.
 - Gangu czego? I jakiego w ogóle gangu? - W oczach Orfea odbiło się przerażenie.
 - Padliny. Przyjechał do miasta jakieś dwa lata temu. I te dwa lata wystarczyły, żeby stworzył drugi co do wielkości gang. Podobno kawał drania. - Diabeł splunął przez otwarte okno. - Ma w ofercie wszystko. prostytutki, narkotyki, broń. Co tylko chcesz.
- Ostry zawodnik.
- Spotkałeś go?
 - Żartujesz? Ci, co go spotkali, mogą o tym opowiadać tylko rybom. I nie mam na myśli wędkarzy.
 - Ale to niemożliwe. To musi być jakiś fałszywy trop. Moja Helen nie chodziła do lokali o podejrzaną reputację! - Szept Orfea był naprawdę donośny.
 - Sprawdźmy to, przyjacielu. Kobiety potrafią chodzić w takie miejsca, o których nie śniło się fizjologom.
 - Nie wierzę. Nie moja Helen. Ale masz rację, sprawdźmy. Wiesz, gdzie to jest?
 - Tak, młodzieńcze - diabeł wyszczerzył w uśmiechu zęby. - Ja, w przeciwieństwie do dam, uczęszczam czasem do podejrzanych lokali.

W Café Minoque było duszno niezależnie od pory dnia. Każdy przypadkowy przechodzień, który zajrzał do środka, czuł nieprzepartą potrzebę wyjścia na zewnątrz i zaczerpnięcia świeżego powietrza. Najlepiej w biegu. Zebrane wewnątrz osobistości prezentowały sobą wszelkie szczeble gangsterskiej kariery. Nosiły też wyszukane przydomki w stylu „Joe Blizna”, „Bob Przystojniaczek”, „Jednooki Tony” czy „Pitt Nożyce Ogrodowe”. Mieszanka gazów, którą wydechali, mogła wprowadzić w stan upojenia co mniej doświadczonych w narkotycznych bojach obywateli. Niezrażony scenografią Raymond precyzyjnie przesunął się do baru. Za nim dreptał nieco zrażony Orfeo.

- Czym się trujesz, kolego? - wyskrzecztał barman, którego matka musiała mieć kiedyś gorący romans z ośmiornicą.

- Mleko z lodem. Dwa razy - zakomenderował diabeł.

Cztery z ośmiu macek barmana zajęły się przygotowaniem zamówionych drinków.

Po chwili oszronione szklanki stanęły na blacie.

- Coś jeszcze?

- Tak. Dwóch silnych facetów. Wysokich, muskularnych... - Raymond sięgnął po szklankę.

Barman przyjrzał się diabłu spod zmrużonych powiek. Przetarł ścierką blat i uśmiechnął się kątem paszczy.

- Wiem, o co chodzi. Da się zrobić. Zaczekajcie - wychrząkał i odpłynął na zaplecze, falując płynnie mackami.

- Ten to musi mieć powodzenie u kobiet - westchnął Raymond.

- Co my właściwie robimy? - szepnął Orfeo, rozglądając się niepewnie.

- Czekamy. Mam przeczucie, że spotkamy tu moich starych znajomych.

XXIII

- Roman z Cymerii! - wybulgotał barman, prezentując kolejny fotos z kolorowego katalogu „Kawaler do wzięcia”. - Okryty sławą barbarzyńca! Za jedyne sześćdziesiąt oboli zdobędzie twoją fortecę...

- Niezupełnie o to mi chodziło. - Raymond zapalił papierosa i spojrzał na przestraszonego Orfeą. Barman pokazywał im szeroki wachlarz usług Café Minoque.

Usług dla pewnej szczególnej grupy mężczyzn.

- W takim razie może... - ośmiornica przerzuciła kilka stron katalogu. - O, mam!

„Rezerwowe Psy”. Panowie Biały, Niebieski, Różowy... Zwłaszcza Różowy.

- Nie. Przejdźmy dalej.

- „Nos” Nixon. Uwielbia spacerować boso po plaży i zapach napalmu o poranku.

- Odpada.

- Brudny Harry Potter? Tak naprawdę nie jest taki brudny, możesz go wyszorować.

- Nie.

- Strasznieś wybredny, koleżko. Coś czuję w kościach, że nie ubijemy dziś interesu. Było, minęło. - Urażony barman zatrzasnął katalog i odpłynął szorować kufle.

Raymond westchnął i pociągnął kolejny łyk mleka.

- Po co to całe oglądanie dziwnego portfolio? - wyszeptał po chwili Orfeo.

- Miałem cichą nadzieję, że trafimy tu na Marilyn i Monroe. Ale cóż. Nie zawsze może być kawior. Spróbujemy z innej strony.

- Harrrrrr... - nad uchem diabła rozległ się gardłowy skrzek. - Szukacie trolli?

Potrzebujecie informacji? Harrrrr....

Przed Raymondem stanął podstarzały jednooki pirat. Na jego ramieniu siedziała zielona, łysiejąca papuga.

- Sinobrody jestem, harrrr... - Pirat wykrzywił twarz w uśmiechu. - Wiem, gdzie możesz złapać te trolle, harrrr...

- Gadaj.

- Postaw kufel grogu, marynarzu. Wtedy powiem, harrrr... - wyskrzeczwał

Sinobrody.

- Polly chce krakersa! - wyskrzeczwała papuga Sinobrodego.

- Bogu dzięki za emerytowanych piratów alkoholików - wyszeptał Orfeo.

XXIV

Parę kufli grogu i torbę krakersów później Raymond i Orfeo wyszli z Cafe Minoque, wpatrując się w starą poźółkłą mapę.

- Ci cholerni piraci - warknął Raymond. - Nigdy nie mogą powiedzieć wprost, co i jak, tylko bawią się w sztuczki rodem z tanich powieści przygodowych.

Na pokrytym chwiejnym pismem kawałku pergaminu, pośród wiele mówiących haseł typu: „Skarb Długiego Jima” czy „Tu być smoki”, dało się jednak odczytać potrzebną wskazówkę. Był nią niewyraźny rysunek mostu, pod którym drżąca ręka Sinobrodego napisała: „Uwaga! Trolle. Czwartek wieczór”.

- Cóż, to będzie chyba to. Wygląda na ten nowy most nad Styksem. Czemu ja zawsze trafiam na nienormalnych informatorów? - Raymond otworzył drzwi samochodu i wpakował się do środka.

- To chyba taki dar. Jak ręce, które leczą - szepnął Orfeo.

Zaparkowali przy budce telefonicznej na rogu Pokracznej i Alei Czerwonego Kapturka. Ta ostatnia ulica wzięła swą nazwę od profesji uprawianej przez bywalczyńnię tego rejonu. Czerwonymi Kapturkami zwano tu turystki zza odległej, wschodniej granicy Zaświata. Przyjeżdżały masowo w poszukiwaniu lepszego życia i łatwych pieniędzy. Kończyły zazwyczaj z twarzami pokrytymi tandetnym makijażem, oparte o uliczne latarnie. Te, którym się powiodło, otwierały własne salony rozkoszy, gdzie za czerwonymi kotarami, w nastrojowym świetle różowych neonów oddawały się temu samemu zajęciu, co ich uliczne koleżanki. Z jedną różnicą. Kazały tytułować się damami, bo miały dostęp do bieżącej wody.

Raymond zatrzasnął drzwi budki i wyjął z kieszeni garść drobnych. Wsunął monetę do otworu automatu telefonicznego. Automat zakaszłał.

- Proszę wybaczyć. Przeziębilem się przez te cholerne przeciągi - westchnął. - Z kim łączyć rozmowę?

- Trzynasty Komisariat. Porucznik Derek Sullivan.

- Łączę.

Po serii kaszlnięć i chrząknięć w słuchawce zabrzmiał głos Sulivana.

- Halo?

- Hej, Derek. Masz już coś dla mnie?

- Z trollami jest problem. One wszystkie są podobne do siebie jak dwie krople wódki. Ale mam coś o tym cwaniaczku o szczurzej mordce.

- Idealnie. Nawijaj.

- Idealnie to nie jest. To człowiek Boscha.

- Hieronima Boscha? „Lubię rozkładać ludzi i patrzeć, co mają w środku” Boscha?

- Tego samego. Szczurek to jego cyngiel. Chłopak do wszystkiego.

- Stary Hirek musi ostatnio cienko przuć, skoro zatrudnia takich pajaców.

- Ja bym go nie lekceważył, Ray. Ostatnią rzeczą, jaką wielu ludzi zrobiło w życiu, było lekceważenie chłopaków Boscha.

- Wiem, mamusiu. Ale dzięki za radę. Masz coś jeszcze?

- Niestety. Z ciekawości chciałem sprawdzić, co znajduje się w naszej kartotece na temat tej Mitchell. I wiesz co? Nic się nie znajduje. Nie ma takiej teczki.

- I co w tym dziwnego?

- To, że odkąd w Zaświecie rządzą prawi i sprawiedliwi bliźniacy, Romulus i Remus, każdy ma swoją teczkę. Każdy. Nawet święty Piotr.

- Ciekawa lektura?

- Niespecjalnie. Poza małym epizodem w szkółce niedzielnej jest czysty jak łza. Ale teczka jest.

- W przeciwieństwie do dokumentów Helen. Dzięki, Derek. Sobota aktualna?

- Jak najbardziej. Bywaj.

- Bywaj.

Raymond odłożył słuchawkę na widełki. Wolnym krokiem podszedł do samochodu. Siedzący wewnątrz Orfeo miał na twarzy rumieńce, intensywnością koloru ustępujące tylko czerwieni ust otaczającego go rozkosznego stadka przedstawicielek jedynej powszechnie dostępnej kobiecej profesji.

- To tylko pięć oboli, słodki marynarzu - zawodziła sopranem blondwłosa syrena.

Powolnymi ruchami rybiego ogona zamiatała chodnik. Pod nogi Raymonda upadło kilka niedopałków, puszka po zombiecoli i pognieciona ulotka Ruchu Wyzwolenia Kobiet Krokodyli.

- Robił ci ktoś kiedyś Wenusjański Fikołek? - pytała zalotnie rudowłosa karlica.

- Cztery w cenie dwóch - kusila niebieskolica kobieta o dwóch parach imponujących piersi.

- Sprawię, że zapomnisz o bożym Zaświecie - skrzeczała Babcia Jaga, prawdziwa nestorka ulicznej rozkoszy.

- Na pewno. Po małym rendezvous z tobą każdy będzie chciał poznać uroki amnezji - warknął Raymond. - Sio, dziewczynki. My jesteśmy ludzie pracy. Nie mamy czasu na wasze wdzięki.

Niewątpliwie są one godne pióra poety, tak się jednak składa, że nie jesteśmy opierzonymi poetami.

- Ja jestem poetą - szepnął urażony Orfeo, gdy Raymond wpakował się do wozu i odpalił silnik.

- Swego czasu wydałem nawet tomik wierszy. Został całkiem przychylnie przyjęty przez krytyków literackich.

- Dobrze, panie poeto. Znajdź mi więc rym do frazy „choroba weneryczna”. I jeszcze do „cios cegłówką zadany przez chciwego alfonsa”.

W milczeniu przejechali kilka przecznic. Demonstracyjnie obrażony Orfeo patrzył przez okno. Raymond zapalił papierosa.

- Dobra, młodzieńcze. Nie chcesz usłyszeć, czego się dowiedziałem?

- Chcę - bąknął cicho Orfeo.

- Siedzimy w gównie po uszy. Ot co.

- Jak to, w... w ekskrementach? Dosłownie?

- Dosłownie. Mój przyjaciel Szczurek, o którym tyle ci opowiadałem, pracuje dla niejakiego Boscha. A tak się składa, że niejaki Bosch jest jednym z bardzo złych facetów, robiących brudne interesy w tym mieście.

- To znaczy, że jest wydawcą gazety codziennej?

- Nie. To znaczy, że rządzi drugim co do wielkości gangiem. Gangiem, który ma w kieszeni połowę rozrywkowego interesu w tej dziurze. Prostyucja oczywiście, nielegalne kasyna gry, pokątny handel mlekiem i alkoholem. Do tego wymuszenia, rozboje, kradzieże. Byłbym zapomniał o zabójstwach, wybac. To bardzo wesoły chłopak. Mówią, że nie zje śniadania, jeśli wcześniej nie pokroi kogoś rzeźnickim nożem.

- Często jada?

- Zwykle bierze nawet dokładkę. Drugim śniadaniem też nie pogardzi. A ostatnio jest bardzo wkurzony.

- Nie smakuje mu deser?

- Nie. W dodatku w mieście pojawił się nowy kucharz. Mówiłem ci o Padlinie?

- Mówiłeś.

- Bosch jest bardzo, ale to bardzo zainteresowany tym facetem. Bo ten facet wlaź na jego teren, przejął część interesów i śmieje się z Boscha w żywe oczy. A wiesz, co jest najśmieszniejsze? Stary Hirek nie wie nawet, kim jest ten zabawny facet. Dlatego, żeby nabrać siły, ostatnio jada bardzo obfite śniadania.

XVI

Most Westchnień, rozpięty nad wodami Styksu, był prawdziwym cudem współczesnej architektury. Wzdychał każdy, kto go zobaczył. Najczęściej westchnienia te znaczyły:

„Mój Boże, co za idiota zatrudnił ślepego architekta?” lub „Jakim cudem ta pokraczna konstrukcja jeszcze stoi?” Raymond zgasił reflektory wozu i powoli sunął

nadrzecznym bulwarem. Nawykłe do ciemności oczy Orfea wypatrzyły pod jednym przesłem grupę postaci. Diabeł zatrzymał samochód. Wysiedli. Raymond poprawił wiszącą pod lewą pachą kaburę.

- Po cichutku. Idziemy - szepnął do Orfea.

Nie musiał tego mówić. Młody poeta był istotą nocy. Poruszał się bezszelestnie.

Na tle ciemnego nieba był też praktycznie niewidoczny. Roztapiał się w plamach cienia. Obaj powoli zbliżali się do mostu.

- Dawaj kasę - dobiegł ich donośny głos Marilyn. A może Monroe.

Trollowi odpowiedział zduszony kaszel. Przyzwyczajające się do mroku oczy Raymonda dostrzegły dwie zwaliste sylwetki trolli. Otaczały je mniejsze, rachityczne postacie szczelnie owinięte w płaszcze z kapturami. Postacie pokasływały. Na ich piersiach widniały wpisane w okrąg krzyże.

- Koklusz-Klan - szepnął Raymond do następującego mu na pięty Orfea. - Bardzo śliscy koleisie. Zaświat obfitował w rozmaite związki religijne, sekty i zakony. Koklusz-Klan był jednym z tajnych hierarchicznych stowarzyszeń. Tak tajnych, że uliczne stragany uginały się od publikacji typu *Poznaj Koklusza* i *Oni rządzą naszym krajem*.

Rozmaici frustraci snuli opowieści o wysoko postawionych osobach należących ponoć do Koklusz-Klanu i spiskujących za plecami zdrowej tkanki społeczeństwa. Cóż, przeważnie mieli rację.

- Dawaj kasę - powtórzył troll. - Albo umowa nieważna.

- Oczywiście otrzymacie stosowne wynagrodzenie - zakasłała zakapturzona postać. - Tylko pamiętajcie. Łapiecie koboldy i wkładacie je do klatek. Nie na odwrót, jak poprzednim razem.

Trolle zarechotały.

- Padlina kazał, żeby wziąć zaliczkę. Mówił, że nie ufa zakapturzonym, kaszlącym łachmytom. Mówił też, że bym tego wam nie powtarzał... - zająknął się Monroe. Lub Marilyn. - Nieważne - dodał. Wyciągnął wielką łapę. - Worek z forszą. Dawaj.

Zabręczały obole zmieniające właściciela. Po chwili kaptury Koklusz-Klanu rozpląnęły się w mroku. Trzasnęły drzwiczki auta trolli. Diabeł pociągnął Orfea do swojego wozu. Dyskretnie ruszyli w ślad za czarną limuzyną.

- Co oni chcą od tych koboldów? - wyszeptał Orfeo.

- Stare, dobre uprzedzenia rasowe. To one nakręcają ten cały biznes ze stowarzyszeniami dla wtajemniczonych, tajnymi uściskami dłoni i tak dalej. -

Raymond wsunął papierosa pomiędzy wargi. - Tak jest wszędzie.

- Przecież muszą być jakieś logiczne przyczyny leżące u podłoża nienawiści etnicznej.

- Podłoża nienawiści etnicznej... Matka biła cię encyklopedią? Nieważne. Dam ci przykład. Załóżmy, że prezydenci rozkazali zabić cztery tysiące koboldów i jedną wiewiórkę.

- Ale dlaczego wiewiórkę?

- No widzisz? Już łapiesz.

XXVII

To była walka miesiąca. Dwa gigantyczne trolle kontra stado kretoszczurów. Parking przed Limbo Klubem zamienił się w ring. Futerkowe złodziejaszki fruwały po okolicy, uderzane i miażdżone przez kolosy w smokingach. Łaciaty szkodnik w kraciatej czapce przywarł do Marilyn, gryząc go w ucho. Inny uczeplił się pazurkami łysiny Monroe.

Raymond i Orfeo pół nocy jeździli za trollami i obserwowali ich codzienne obowiązki. Zbieranie haraczu za ochronę i odzyskiwanie długów. Dziesiątki knajp, barów szybkiej obsługi, sklepów z bardziej i mniej zdrową żywnością. Aż dojechali do Limbo Klubu, gdzie banda kretoszczurów powiedziała Marilyn i Monroe, że rezygnuje z ich usług. Dodały też, gdzie trolle mogą sobie wsadzić swoje żądania. Widocznie trolle poczuły się nieco urażone, bo w tej chwili kretoszczury przeżywały swoje małe Waterloo. Porozbijane włochate mordki. Wybite zęby fruujące w powietrzu. Łamane kończyny i wyrywane ogony.

Do przedniej szyby zaparkowanego na uboczu samochodu Raymonda przykleił się futerkowy cwaniaczek, który myślał, że można, ot, tak, zrezygnować ze współpracy z trollami. Ze współpracy z Padliną. Otóż nie można. Jeśli się próbuje, ogromna łapa chwyta cię wpół, zgniata i odrzuca. Potem przelatujesz przez całą szerokość parkingu i uderzasz w samochód postronnego obserwatora. Twoje zęby łamią się na szybie, twoje przerażone oczy wyrażają tylko ból.

Raymond włączył wycieraczki. Kretoszczur zsunął się na asfalt.

- Nic tu po nas - mruknął diabeł.

Orfeo nie odpowiedział. Rozwartymi szeroko oczyma wpatrywał się w rzeź na parkingu. Trolle naprawdę musiały być urażone. Detektyw zapuścił silnik.

- Czas odwiedzić drugą stronę - westchnął. - W co ja się pakuję...

Samochód powoli wytoczył się na ulicę. Nabierał szybkości, zostawiając za sobą stertę kretoszczurów, które w bolesny sposób dowiedziały się nagle, że asertywność bywa czasem szkodliwa.

XXVIII

Kasyno Bachusa działało od zawsze. Od Zarania. Mówi się, że sam Stwórca siódmego dnia odpoczywał właśnie tutaj. Wypił morze piwa, przegrał fortunę na ruletce, obejrzał rewię skrzącego się od cekinów kabaretu Figlarnych Wrózek i puścił pawia w kiblu. To wszystko jest w oficjalnej broszurce Kasyna.

Hieronim Bosch kupił je od grubego Bachusa na samym początku swej kryminalnej kariery. Wyczytał gdzieś, że każdy poważny gangster powinien mieć przynajmniej jedno kasyno. Miał rację. Neony, jednoręcy bandyci i stoły do pokera.

Droga wódka i jeszcze droższe kobiety. Brzęk monet i krupierzy w idiotycznych kamizelkach. Szanując się bandzior musi inwestować w hazard.

Raymond wkroczył przez mrugającą różowymi żarówkami bramę. Ominął rzędy automatów okupowanych przez emerytki z plastikowymi kubkami pełnymi monet.

Dostrzegł go już po chwili. Stał przy barze. Zbyt luźny biały garnitur. Łapki nerwowo przebiegające po futerale na skrzypce.

- Cześć, braciszku. - Raymond uśmiechnął się szeroko. Tak uśmiechają się rekiny na widok płetwonurków z „National Geographic”.

- Ty?! - Szczurek wytrzeszczył różowawe ślepia.

- Ja. Pogadajmy. Na zewnątrz.

- Jesteś martwy, stary. Wystarczy, że powiem jedno słowo...

- A umiesz powiedzieć: „dezoksyrybonukleinowy”? - zainteresował się Raymond.

- Ty, braciszku, naprawdę masz nierówno pod czaszką. - Szczurek zacisnął łapki na futerale.

- Chcesz się dowiedzieć, co mam ci do powiedzenia? Czy nie? Myślałem, że interesują cię sprawy Padliny.

Ślepia Szczurka błysnęły.

- Gadaj - zagdakał.

- Nie tutaj. Wyjdźmy.

Szczurek upadł na ziemię z cichym mlaśnięciem. Orfeo ze zdziwieniem spojrział na własną pięść.

- No, no. Zaskakujesz mnie chłopcze. - Raymond uśmiechnął się pod nosem. - Ale miałeś go tylko walnąć, a nie pozbawiać przytomności.

- To z gniewu. Z bezsilności. Że nie mogę odnaleźć Helen, pomóc jej...

- Przecież pomagamy. - Raymond ukucnął nad rozciągniętym na asfalcie Szczurkiem. Poklepał go w policzek. - Wstawaj, kolego. Przejedziemy się.

Wciągnęli ślaniającego się na nogach Szczurka do samochodu. Ruszyli w kierunku doków.

- Nie wiedziałem, że praca detektywa polega na biciu i porywaniu ludzi. - Orfeo wciąż przyglądał się własnej pięści.

- Czasem polega. To się nawet jakoś nazywa. Zatrzymanie obywatelskie czy coś. Ci z policji mają w zamian wypadki przy czyszczeniu broni.

Wjechali do ciemnego zaułka. Szczurek zabelkotał coś na tylnym siedzeniu. Po chwili leżał już na chodniku, plując i klnąc, na czym Zaświat stoi.

- Gadaj, co wiesz. - Raymond zapalił papierosa.

- Odwal się, gnoju. - Szczurek obmacał szczękę. Spojrział w oczy Orfea. Zobaczył w nich coś niedobrego. Bardzo niedobrego.

- O co chodzi z tą całą szopką z Helen? - Raymond wypuścił smugę dymu.

- Jakbyś nie wiedział. Ta suka...

Mlasnęło. I mlasnęło znowu. Szczurek oklapł.

- Przestań go nokautować! - Raymond złapał Orfea za rękę. Młody poeta był wściekły.

- Nikt - wysyczał przez zaciśnięte zęby. - Nikt nie ma prawa tak o niej mówić.

- Przynajmniej coś zaczął gadać! - Raymond ponownie próbował ocucić Szczurka.

- Wstrzymaj konie, poeto. Mówię serio. Idź się przejść. Najlepiej poczekaj w samochodzie.

Zwinięty na chodniku kłębek w zbyt luźnym białym garniturze zaczął dochodzić do siebie. Patrzył na odchodzącego Orfea ze zgrozą.

- Widzisz? - Raymond zaciągnął się papierosem. - Okazuje się, że ja to ten dobry glina. Gadaj.

- Co mam gadać? Wszystko wiesz! Porwałem ją z budki, dlatego się do mnie przyczepiłeś! Rozmawiała wtedy z tobą. Sprawdziłem w książce telefonicznej, zakreśliła twój numer.

- Gdzie jest teraz?

- Skąd mam wiedzieć?

- Pamiętaj, że w samochodzie mam Czarną Furię, która może cię potraktować bardzo poetycko.

- Serio! Zawiozłem ją za miasto. Musiała jakoś rozwiązać sobie ręce. Wyskoczyła z bagażnika... Zaskoczyła mnie. Dostałem łyżką do zmieniania opon i tyle. Od tamtej pory cały czas zbieram po pysku.

- Co od niej chciałeś?

- Ja? Nic. Rozkaz jest rozkaz. Myślisz, że szef mi się tłumaczy, czemu chce ją dopaść?

- A ty się wcale nie domyślasz, prawda?

- Raymond!!! - krzyk Orfea zagłuszyła kanonada strzałów.

Diabeł padł na ziemię. Jak mógł najszybciej, czołgał się w stronę samochodu.

Szczurek wył. Jedną ręką trzymał się za dziurę w brzuchu. Druga, poszarpana kulami, wisiała

bezwładnie. Orfeo wciągnął diabła do wozu. Nacisnął pedał gazu. Szczurek przestał krzyczeć. Coś roztrzaskało mu czaszkę. To samo coś, nieuchwytnie dla oka, wzbiło się w powietrze. Opadło na dach. I przeskoczyło na kolejny.

- Ściga nas! - Raymond sięgnął do kabury.

Była pusta. Rewolwer leżał tam, gdzie upadł.

W rosnącej krwawej kałuży, tuż obok zmasakrowanego ciała w zbyt luźnym garniturze. Czarna postać sunęła po dachach wzdłuż ulicy. Raymond rzucił się na tylne siedzenie. Złapał futerał Szczurka. Otworzył. Zamiast oczekiwanego pistoletu maszynowego wewnątrz leżały skrzypce.

- Sami, kurna, artyści! - wyksztusił diabeł. - Kto nosi skrzypce w futerale na skrzypce?!...

Orfeo zakręcił kierownicą. Z piskiem opon wyjechali na jedną z głównych ulic miasta. Otoczyły ich samochody, furmanki, autobusy. Za nimi postać stojąca na szczycie wysokiego gmachu uniosła rękę. Pomachała. I wzbiła się w powietrze.

- Nie wiem, nie znam, nie widziałem - warknął łysy gnom. Podrapał skołtunioną brodę. - Wiem jedynie, że to ciebie, chłopaku, widziano ze Szczurkiem po raz ostatni.

Bosch może się wkurzyć. Zabijanie jego ludzi bez jego pozwolenia...

- Borys, wiesz doskonale, że to nie ja. Przyszedłem do ciebie po starej znajomości, bo znasz w tym mieście wszystkich. Może znasz i tego fruującego szczurkobójcę.

Raymond przetarł czoło. Stary gnom mówił prawdę. Bosch się wścieknie. I wiadomo, na kim ta wściekłość się skupi.

Borys podrapał się po łysinie. Żył w tym mieście od wieków. Przez jego ręce, wcześniej czy później, przewijała się każda skradziona tu rzecz. Do jego warsztatu zachodzili wszyscy, od drobnych rzeźmieszków po szefów półświatka. Gnom wiedział

to i owo o tym i o owym. Ale o tajemniczym, szybszym niż wzrok mordercy nie wiedział nic. Nic z wyjątkiem...

- Był taki Abdul. Wariat w prześcieradle, ciągle coś bełkotał. Przynosił do mnie różne drobiazgi, wiesz. Raz wpadł w środku nocy, jakby palił mu się turban. Miał niesamowity naszyjnik. Takie zero jak on nie mogło go uczciwie ukraść. Zamówił kopię. Płacił złotem. Zrobiłem mu zgrabny falsyfikat. - Gnom westchnął. Poskrobał się po głowie. - Na drugi dzień widziałem go u Bachusa. Sypał pieniędzmi. Obstawiał wysoko, przegrywał dużo. Znaleźli go rano z poderżniętym gardłem. Nikt nic nie widział.

- Nikt oprócz ciebie. - Raymond zapalił papierosa. Borys milczał długo.

- Oprócz mnie - przyznał w końcu. - Poszedłem za nim, kiedy wychodził.

Pomyślałem, że trochę odciążę go z tego złota. Nie zdążyłem. Był jak cień. Sfrunął z gzymsu, błysnęła stal. Biedny głupi Abdul zarzęził krwią. Zanim jego ciało upadło na ziemię, mordercy już nie było. - Borys spojrział diabłu prosto w oczy. - Powiem ci jedno, Ray. Na twoim miejscu zastanowiłbym się, kogo się boję bardziej. Boscha czy tego cienia.

- Ktoś chciał widzieć Helen martwą. Tylko nie do końca. Znalazł jakąś biedną dziewczynę, podrzucił jej lewy wisiołek i zrobił małe bum. Przy okazji usmażył kierowcę. - Raymond siedział na biurku i wypuszczał nosem kłęby dymu.

Tytoniowego. Wbrew obiegowej opinii diabły nie mają wewnętrznego źródła zasilania.

Do biura dojechali w milczeniu. Orfeo cały czas wpatrywał się w gzymsy i dachy mijanych budynków. Pusto. Tylko gołębie toczyły swój odwieczny spór z gargulcami, które nie chciały służyć za ptasie toalety. Po drodze kupili kilka kartonów mleka, niezbędnego dopalacza dla tych, którzy mają sporo do przemyślenia. Choć poeta protestował, wrócili też do doków. Diabeł podniósł swój rewolwer, wciąż leżący obok smutnego kłębka ze szcurzymi wąsikami. Jeśli nie chodzi o bogaczy, policja nie spieszy się zbytnio na miejsce zbrodni.

Teraz znów siedzieli w ciasnym biurze Raymonda, nie wiedząc, co dalej.

- Ale po co sfigowali jej śmierć? Dlaczego? - wyszeptał Orfeo znad szklanki.

- No właśnie. Może dla pieniędzy? Miała ich sporo.

Diabeł kombinował, aż kurzyło mu się spod czaszki. Gdyby porwali Helen, nie mogłaby do niego zadzwonić. I kto mógłby to zrobić? Bosch reprezentowany przez Szczurka pojawił się dopiero potem. Padlina? A jeśli uciekła, to czemu nie poszła do wuja Dana T. czy choćby na policję? Po co dzwoniła do prywatnego łapsa z książki telefonicznej?

- W każdym razie żarty się skończyły - powiedział wreszcie Raymond. - Ten Latający Czestmir to ostry zawodnik. Widziałeś w ogóle, żeby ktoś taki kręcił się koło Helen?

- Nie. Nie znałem wprawdzie jej znajomych, ale całkowicie wykluczam możliwość, żeby ten morderca do nich należał. W co ona się wplątała... - Orfeo zakrył twarz dłońmi.

Rozmawiali jeszcze długo. Powtórzyli scenariusz z ubiegłej nocy. Dwóch pijanych facetów gadających o miłości. Nie doszli też do niczego nowego, jak zwykle, kiedy dwóch pijanych facetów gada o miłości. Cień przycupnięty na parapecie posłuchał jeszcze chwilę, rozłożył skrzydła i odleciał w noc.

XXXII

To nie było zwykłe pijackie przebudzenie, kiedy czujesz potworną suchość w ustach i parcie na pęcherz. Do zamroczonego mlekiem umysłu Raymonda dotarł cichy pisk.

Razem z powracającą przytomnością pisk przerodził się w krzyk. Coraz głośniejszy, coraz bardziej świdrujący w uszach. Orfeo wył. I walczył z cieniem.

Raymond chwycił broń i rzucił się do okna. Zobaczył przerażone oczy poety, jego palce kurczowo chwytające framugę. Usłyszał zgrzyt paznokci łamanych o drewno.

Dostrzegł wiszący w powietrzu cień, otulający Orfea swoją ciemnością. Palce puszczają, zostawiając na oknie wyraźnie ślady. Cień szybuje w dół. Poeta milknie.

Diabeł nie odważył się strzelić.

To był najszybszy bieg po schodach w jego życiu. Raymond wypadł na ulicę, wprost na czarną limuzynę ruszającą z piskiem opon. Nie myślał, działał. Podbiegł, chwycił klamkę w drzwiach samochodu. Otworzył je i dał nura do środka. Dwie rzeczy nastąpiły jednocześnie. Zobaczył jej twarz i dostał w łeb. Zemdlął.

XXXIII

- Jesteś tak irytująco głupi.

Ten głos diabeł zapamięta do końca życia. Głos zimny, ostry, zupełnie nie pasujący do ciała, z którego pochodził. Ciała anioła.

Helen stała na portowym nabrzeżu z rozwianymi włosami. Była piękna. Kazała odjechać Marylin i Monroe zaraz po tym, jak trolle rzuciły nieprzytomnego Raymonda na mokry beton.

Teraz byli sami. Diabeł, poeta i morderczyni. Poeta milczał. Siedział na ziemi i szeroko otwartymi, nic nie rozumiejącymi oczyma wpatrywał się w jej otuloną światłem portowych latarni postać. Wiał zimny wiatr. Mewy łowiły w wodzie odpadki ze ścieków, a Raymond zaczynał rozumieć.

- Musiałaś to zrobić. Umrzeć. Bosch cię przejrzał. I wściekł się tak, jak tylko on potrafi. Dotarło do niego, że Padlina to nie żaden „on”. To „ona”. To ty.

- No proszę, proszę. - Jej usta wykrzywił drwiący uśmiech.

- Wszyscy wiedzieli, że Bosch otacza się tylko najpiękniejszymi dziewczynami.

Wśród nich byłaś ty. Zjawiskowa kochanka zaglądnąca w jego papiery, podsłuchująca rozmowy. Poznałaś całe zaplecze lewych interesów. I wykorzystawałaś to.

Helen wciąż się uśmiechała. Światło latarni odbiło się od zgrabnego damskiego pistoletu, który wyjęła z torebki. Orfeo nie był w stanie nawet się poruszyć.

- Dwa lata wystarczyły, żeby mała Helen, opierając się na nowej wiedzy, skupiła wokół siebie połowę szumowin tego miasta - kontynuował Raymond. Miał ogromną ochotę zapalić. Nie sięgał jednak do kieszeni. Palenie zabija. Zwłaszcza kiedy każdy twój ruch obserwuje znad muszki pistoletu kobieta zdolna do wszystkiego. - Nie rozumiem tylko jednego. Dlaczego do mnie zadzwoniłaś.

- Raymond - Helen kpiąco wydeła usta. - Tak nazywał się mój pies.

Potrzebowałam kogokolwiek, kto znajdzie dla mnie Orfea. Padło na ciebie.

Poeta podniósł głowę. Spojrzał w oczy kobiety, która zmieniła jego świat. A potem zmieniła go jeszcze raz. Grymas znikł z twarzy Helen. W jej oczach pojawiło się ciepło.

- Tak, Orfeo. Nie kłamałam, kiedy mówiłam, że cię kocham. Ale moja praca...

Musiałam zniknąć. Najlepiej dwa metry pod ziemią, z całą pompą, lakierowaną trumną i kwiatami. Jednak nie mogłam tak bez ciebie, sama. Chciałam mieć cię przy sobie. Mamy jeszcze szansę, kochanie. Naprawdę...

Nie dokończyła. Przerwał jej O'Brian, który wkroczył na nabrzeże wśród dźwięku policyjnych syren. Lubił to. Czuł, że oświetlony migającym światłem, ściskający w dłoni służbową broń, może dokonać wszystkiego.

Dokonał. Tylko trochę za późno.

Helen wyprostowała się. Skierowała piękne oczy na Raymonda. Delikatny, zakończony karminowym paznokciem palec pociągnął za spust. Lufa plunęła ogniem.

Diabeł poczuł nagłe szarpnięcie i ból. Ogromny ból. Potem była już tylko ciemność.

XXXIV

Ostre światło szpitalnych lamp, krótkie przejawy przytomności, ból. Wreszcie Raymond powoli otworzył oczy. Pielęgniarka, miła elfica, powiedziała, że ktoś czeka na jego przebudzenie. Ktoś pyta o niego. Sprowadziła tego kogoś. Zamiast smukłego poety Raymond ujrzał w drzwiach szpitalnej sali przysadzistą sylwetkę O'Briana.

- Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć, że ci się należy. - Porucznik przysiadł na skraju łóżka. Nie patrzył mu w oczy. Nie potrafił. Wyciągnął z teczek policyjne fotografie. Krew. Czarne plamy krwi na bieli anielskich skrzydeł. Rozwarte szeroko oczy patrzące z niemym wyrzutem. Rozsypane po zimnym betonie perły z zerwanego naszyjnika.

- Po co mi to pokazujesz? - Głos diabła brzmiał bardzo cicho.

- Sprawiedliwość społeczna. Słuchaj, Ray, ona ciebie, my ją. Tak było trzeba. To nie była grzeczna dziewczynka.

- Skąd wy tam... na nabrzeżu?

- Śmieszna sprawa. Mieliśmy kreta w komendzie. Pracował dla niej. Głupio wpadł, na zwykłej łapówce od jakiegoś tłustego durnia, który zabawiał się z dziećmi.

Przycisnęliśmy go, wysypał się o Padlinie. Tchórz.

- Jak... kto to był?

- Derek Sullivan. Znałeś gościa? Raymond? Ray, co ci jest?

Diabeł opadł na poduszki. Świat tańczył mu przed oczyma. Na szczęście szybko stracił oddech i zatrzymał się.

- Jaki dziś dzień? - wydusił z siebie Raymond.

- Sobota. Coś się stało?

- Nic. Byłem umówiony. Na kolację. Ale to już chyba nieaktualne.

Długo bał się zadać to pytanie. W końcu to zrobił. I dostał suchą policyjną odpowiedź. Orfea według standardowej procedury zatrzymano do wyjaśnienia. W

piątek, sześć minut po południu, strażnik przyniósł mu do celi obiad. Poeta już go nie zjadł. Wisiał trzydzieści centymetrów nad ziemią, powieszony na prześcieradle. Na stole krótki list:

Świat bez Ciebie nie znaczy nic.

Ty śpisz i ja będę spał.

Moje słodkie kochanie

O.

- Była w ciąży - powiedział cicho O'Brian. - Drugi miesiąc.

- Nie mów już nic, proszę. - Raymond nakrył twarz poduszką.

Po miesiącu Raymond opuścił szpital i miłą pielęgniarkę. Nie wiedział, dokąd pójść.

Bez celu snuł się ulicami miasta. Wreszcie stanął przed drzwiami kina. Grali akurat pewien stary film. W rolach głównych Helen Mitchell i Dziarski Jack.

Raymond usiadł w pierwszym rzędzie. Na ekranie piękna kobieta walczyła o miłość ukochanego mężczyzny. Wszystko skończyło się szczęśliwie. Podczas finałowej sceny diabeł udawał, że nie płacze.

Martwe dziwki idą do nieba

Staremu Puchaczowi jeszcze czasem się to śniło. Ciemna uliczka gdzieś na tyłach kina Paradiso. Brzęczenie przepalonej żarówki w jedynej latarni. Szeroko rozrzucone nogi w czarnych kabaretkach. Martwe oczy Wenus Dwa Palce, najbardziej znanej prostytutki z Kasyna Bachusa. Krew. Masa krwi.

- Podoba ci się, skarbie? - pytanie padające z zaślinionych ust. Przerazająco jasne, błękitne oczy patrzące z kpina.

Wtedy Stary Puchacz zazwyczaj się budzi. I stara się sobie wytłumaczyć, że facet, który krwawo zapisał się w pamięci Miasta, nie żyje od dwudziestu lat, że został podziurawiony policyjnymi kulami w Zatoce Świń.

Bobo pracował w dziale miejskim. Dział miejski był częścią redakcji „Czytała o Poranku”, jednego ze szmatławców, które co rano trafiały do kiosków w całej stolicy.

Ale to dla Bobo miało niewielkie znaczenie. Liczyło się Miasto, największa metropolia w Zaświecie, uderzająca do głowy mieszanka ras i kultur. Tylko nazwę miało trochę bez sensu. Stwórca nie popisał się tutaj kreatywnością. Ale trudno mu się dziwić, wcześniej przez pięć z sześciu dni kreował chrabąszcze, więc miał prawo być zmęczony. On bardzo lubi chrabąszcze. Tak czy owak, stolica Zaświata powstała pod koniec szóstego dnia i otrzymała niewyszukaną nazwę Miasta.

Oczywiście są też inne, mniejsze lub większe miasteczka. Mają nawet lepsze nazwy. Stolica jednak jest jedyna w swoim rodzaju. Różni się od innych miast tak, jak rzucona na podłogę przepocona koszula różni się od swoich koleżanek równiutko powieszonych w szafie. I to właśnie Bobo najbardziej w niej kochał.

Młody chochlik imię dostał po dziadku, który pracował jako nadzorca czarownic na Łysej Górze. To bardzo odpowiedzialna funkcja. Trzeba pilnować, by czarownice nie zbliżyły się za bardzo do kozłów i na odwrót. Tak czy inaczej, Bobo nie zamierzał

powtarzać kariery przodka. Uwielbiał wielkomiejski gwar i wcale nie chciał wyprowadzać się na wieś.

Do „Czytała” trafił rok temu. Przypadkiem. Oczywiście jeśli za wypadek uznać to, że uciekał właśnie przed trollami, które prezydenci Zaświata, prawi i sprawiedliwi bliźniacy, Romulus i Remus, zatrudnili jako kanarów w Teleporcie Miejskim. Bobo wbiegł wtedy wprost w zaułek, w którym straszyla odrapana kamienica. Nie zważając na tabliczkę, wykrzykującą w stronę każdego przechodnia ostrzeżenie: „Budynek grozi zawaleniem”, skrył się w jego wnętrzu.

- Do kogo? - Pijany strażnik próbował otworzyć lewe oko.

- Na górę - wydusił z siebie Bobo.

Chwilę później siedział już przed Starym Puchaczem, szefem działu miejskiego, i omawiał warunki swojego zatrudnienia.

- Fakt, potrzebujemy ludzi. - Puchacz podrapał się po głowie. - Nie będę pytał, co potrafisz, bo nic nie potrafisz. Gdybyś potrafił, poszedłbyś gdzie indziej. Możesz zacząć od jutra. Płacimy obraźliwie mało, ale za to regularnie. Na początek będziesz dostawał to, czego nie chcą robić inni. Nudy. A jak będziesz pisał, to staraj się nie używać litery „G”. Maszyna, którą dostaniesz, jest trochę wybrakowana. To jak, wchodzisz w to?

II

Rok później Bobo był już specem od szlifowania bruku. Jego zieloną facjatę i nieodłączną czapkę oprychówkę można było zobaczyć w szemranych barach, na dworcach, w komisariatach policji. Wszędzie tam chuda postać w wyciągniętym swetrze i zbyt dużych butach nadstawiała ciekawie ucha. Potem Bobo wracał do redakcji, siadał nad zdezelowaną maszyną do pisania i tworzył teksty, które społeczeństwo Miasta zapomniało zaraz po przeczytaniu. Ale lubił to. Oczywiście Bobo czasem się obijał. Nie sposób pracować i się nie obijać, jak mawiał jego świętej pamięci tatuś. Tatuś jednak pracował jako kula do kręgli w przydrożnym barze, więc do jego słów należało podchodzić z pewnym dystansem.

Tego wieczoru Bobo siedział w swojej ulubionej spelunie „Sen Kolejarza” i nad wiaderkiem piwa wysłuchiwał zwierzeń Leśnej Baby. Z przerażeniem stwierdził, że starucha właśnie rozsznurowuje gorset.

- O tu, mam tu ślad po Łonych. Przeprowadzili na mnie swoje ekskrementy - piskliwie zawodziła Baba.

- Eksperymenty... - Bobo spróbował schować głowę we wnętrzu wiaderka.

Tego lata Zaświat nawiedziła moda na Obcych. Większość kobiet chciała mieć swoje pięć minut, przedstawić w prasie historię swego porwania i molestowania przez kosmitów. Obcy przysyłali sprostowania, organizowali protesty pod hasłem: „Niech nas zobaczą” i usiłowali tłumaczyć, że owszem, lubią sobie czasem poświntuszyć, ale w tym celu, jak wszyscy, odwiedzają nocne kluby. „Uprowadzenia nie są w naszym stylu” - podkreślał rzecznik prasowy Obcych na dziesiątkach konferencji prasowych.

Nikt mu nie wierzył.

Problemem dla Bobo było to, że młode, piersiaste elfki i długonogie nimfy chciały zaistnieć wyłącznie na łamach magazynu „Życie na szczycie”, a do „Czytadła” zgłaszały się jedynie maskary w typie Leśnej Baby.

- Najpierw było łoślepiające światło, potem chwyciło mnie, łuniosło w górę i zmolestowało - sapała Baba.

Chochlik zanotował jej wstrząsającą historię, sfotografował trzy owłosione pieprzyki Baby mające być pozostałością po upojnej nocy w statku kosmicznym i z ulgą wyszedł przed bar. Nie będzie źle. Walnie się fotkę cycatej blondyny obok zdjęcia Leśnej Baby, podpisy: „Przedtem” i „Potem” oraz tytuł: „50 lat molestowali ją Obcy!”.

Bobo wsunął do ust papierosa i zapalił zapalniczkę. Zastygł w bezruchu. W jego szpiczaste uszy uderzył krzyk. Taki dźwięk może wydać z siebie tylko skrajnie przerażona kobieta. Młoda kobieta. Koniec z Leśnymi Babami! Dziękując Obcym, że zorganizowali łowy tak blisko „Snu Kolejarza”, Bobo rzucił się w ciemny zaułek.

III

W pierwszym odruchu paniki jego umysł zatrasnął się z hukiem przed napływającymi przed oczy obrazami. Część jednak się przedarła. Szczupła panienka oparta o szary mur. Dłoń ściskająca tłącego się jeszcze papierosa. Druga zaciśnięta na gardle. Jej własnym, rozplatanym od ucha do ucha. Czerwień krwi i karmin jej paznokci. Wytrzeszczone w zwierzęcym strachu oczu. Zbyt krótka spódniczka zadarta w górę. Lepka krew pomiędzy jej udami. Śmiech. Błysk ostrza. Łopot czarnego płaszcza. Tupot ciężkich butów na kocich łbach uliczki. Cień znikający w mroku.

Kiedy Bobo Lichowlazło dopadł do dziewczyny, jej oczy właśnie gasły. Osunęła się w jego ramiona. Gdy piętnaście minut później policyjne koguty rozświetliły uliczkę, chochlik wciąż klęczał przy jej ciele. To była pierwsza śmierć, jaką zobaczył.

Potem powiedzieli mu, że tej nocy, w całym Mieście w podobny sposób zaszlachtowane zostały jeszcze cztery prostytutki. Wszystkie wycięte miały na czole znak czterolistnej kończyny.

IV

Porucznik Artur O'Brian lubił nie mieć nic do roboty. Właściwie dążył do tego całe życie. Denerwowało go nawet, kiedy musiał iść do kibla za potrzebą.

- Niepotrzebna strata energii - mówiłby, gdyby ktokolwiek chciał go słuchać. Na szczęście dla O'Briana nikt nie chciał, co zdejmowało z niego ciężar myślenia o tym, co powiedzieć.

Być może dlatego awansował na porucznika. Policjanci, którzy starają się pracować jak najlepiej, którzy lubią chronić i służyć, zwykle nie zachodzą tak wysoko.

Mają dziwną skłonność do ścigania uzbrojonych bandytów, pakowania się do podejrzanych lokali i wkładania głowy tam, gdzie rozsądny człowiek bałby się nawet spojrzeć. Dlatego przedsiębiorcy pogrzebowi bardzo lubią takich policjantów.

Przepadają za nimi także psychiatrzy w ośrodkach dla nerwowo chorych i klinikach terapii uzależnień. Nie lubią za to O'Briana. Właściwie nikt go nie lubi.

Porucznik rozparł się wygodniej w fotelu, nogi położył na biurku. W owłosionej łapie trzymał podwójnego hamburgera z piekielnym sosem siedmiu smaków. Pięć z nich była toksyczna, a dwa wchodziły w skład paliwa raketowego. Sos kapał mu na koszulę wypalając w niej małe dziurki. O'Brian kłapnął paszczą. Hamburger znikł.

Porucznik wytarł zatłuszczone paluchy w krawat i spróbował się zdrzemnąć. Do końca dyżuru miał jeszcze cztery godziny.

Telefon na biurku otworzył oczy, podskoczył kilka razy i przeraźliwie zawył.

Zatupał małymi nóżkami.

- Pilna! Rozmowa! Na! Linii! - wyskrzecztał.

O'Brian przyłożył słuchawkę do ucha. Słuchał w milczeniu, drapiąc się po ozdobionej baraniami rogami głowie.

- Będę tam - powiedział w końcu. Czekał na niego jego największy wróg. Praca.

Cień przestał biec. Wyrównał krok, poprawił kołnierzyk czarnego płaszcza. Wyszedł z bramy w aleję Żwirka i Muchomorka, nazwaną tak na pamiątkę dwóch leśnych skrzatów, którzy jako lotnicy zasłużyli się podczas II wojny zaświatowej.

Cień nie myślał w tej chwili o lotnikach. W ustach czuł jeszcze smak pięciu dziewczyn. Wsunął dłoń do kieszeni i wymacał podłużny, przyjemny kształt. Brzytwa również wypila ich krew. Mógł na niej polegać. Lubił myśleć o niej jak o Ostrzu Sprawiedliwości. Kiedyś była zwykłym narzędziem, ale dał jej nowe zadanie.

Cień zniknął w wejściu do Teleportu Miejskiego. Pod rondem kapelusza błyszczały niespotykane jasne, błękitne oczy.

VI

Król zbrodni we własnej osobie, po śmierci Padliny jedyny udzielnie panujący w mieście gangster, był wściekły. Hieronim Bosch szalał. Dukka, ciemnoskóry, muskularny dzinn, który przyniósł szefowi złą wiadomość próbował schować się za oparciem dębowego fotela.

Dukka opuścił swoją rodzinną pustynię pięć lat temu. Przeniósł się do Miasta. W końcu ile czasu można spełniać trzy życzenia kretynów w turbanach, którzy przypadkowo potarli starą lampę. A oni wszyscy chcą tylko jednego. Nowego wielbłąda, koniecznie przystojnego. I wody. Wody Dukka nie umiał wyczarować.

Piwo, wódka, nawet Jaś Spacerowicz nie sprawiały mu problemów. A woda tak.

Drobna wada genetyczna, wpływająca na magiczne zdolności. Nic specjalnego, jego ojciec nie umiał na przykład zamienić piasku w złoto. Pewien sułtan kazał go za to przywiązać do wielbłąda o imieniu Szeherezada i ciągnąć po ziemi przez tysiąc i jedną noc. Dukka nienawidził wielbłądów. Dlatego musiał opuścić pustynię.

- Pięć dziewczyn! Pięć! Jednej nocy! - wrzeszczał Bosch.

Dzinn próbował ocenić swoje szanse. Mógłby skrócić Boschowi kark jedną ręką.

Wystrojona w szary garnitur okrągła figurka z obowiązkową u gnomów długą brodą dla postronnego obserwatora mogła wydawać się zabawna. Problem w tym, że postronny obserwator skończyłby swoje obserwacje w betonowych butach, próbując wyssać tlen z otaczających go fal rzeki. Albo spoglądałby na wnętrze leniwie wypływające z jego własnego, rozplatanego przed chwilą brzucha. Postronni obserwatorzy na ogół źle kończą.

Dukka bardzo się bał swojego szefa. Bosch, mimo cherlawych mięśni i wzrostu siedzącego psa, był uosobieniem potęgi. Wynikającej z władzy, okrucieństwa i nieskażonego wpływami sumienia, zimnego intelektu.

- Znajdziemy go. Przysięgam, szefie. - Dzinn uchylił się przed lecącym w jego stronę kryształowym kuflem.

Bosch odłożył na biurko tomahawk, który wcześniej ważył w ręku. Uśmiechnął się i przejechał palcami po lśniącej łysinie.

- Znajdziecie, Dukka. Czynię cię za to osobiście odpowiedzialnym - powiedział całkiem spokojnie. - Znajdziecie tego koboldziego syna, który zarzyna moje dziewczynki. Bo moje dziewczynki to moje pieniądze. A ktoś, kto wyjmuję mi obole z portfela, jest kimś, kto dostarczy mi skóry na nowy portfel. Taki elegancki. Z wieloma przegródkami.

- Będiesz go miał, szefie. - Dukka odetchnął. Był potrzebny, a to znaczy, że był bezpieczny. Na tyle, na ile można być bezpiecznym w jaskini smoka. Chwilowo najedzonego.

- I jeszcze jedna rzecz, Dukka. Alfons, który opiekował się tymi dziwkami. Poproś go, żeby wpadł do mnie na chwilę. Potrzebuję nowego wieszaka na kapelusze. Jego kości będą odpowiednie. Nie dopełnił swoich obowiązków, Dukka. Trochę mnie zawiódł - wycedził przez zęby Bosch.

- Oczywiście, szefie. Ja dopełnię swoich - zapewnił dzinn i wyszedł z gabinetu.

Pamiętał o tym, że szef wspominał ostatnio, że przydałby mu się jeszcze nowy stojak na parasole.

VII

Bobo siedział w poczekalni Trzynastego Komisariatu i tępo patrzył przed siebie. Tu zawsze był tłok. Tuż obok tłusty policjant pałował goblina złodziejaszka. Dwóch innych mundurowych eskortowało skutego kajdankami opryszka w kraciastej marynarce. Stary krasnolud usiłował tłumaczyć jakiemuś sierżantowi, że znowu padł

ofiara spisku koboldów, którzy co tydzień psują jego lodówkę i sikają do piwa.

Normalka.

Nie, wcale nie normalka - poprawił się w myślach Bobo. Kradzieże, oszustwa, wymuszanie haraczy to zwykła sprawa. Ale podrzynanie gardeł młodych dziewczyn nie jest normalne. Wycinanie im na czołach dziwnych znaków też nie jest codziennym zachowaniem.

- Ty, zielony na gębie - zawołał chochlika posterunkowy w błyszczących butach. -

Porucznik prosi na przesłuchanie.

Bobo dał się zaprowadzić do klaustrofobicznego pokoju z odrapanym stołem i dwoma krzesłami. Oczywiście jedną ze ścian zdobiło weneckie lustro. W środku czekało na niego dwóch policjantów. Chochlik znał obu. Porucznik O'Brian pił

zombiecolę z puszki i wyglądał na nieszczęśliwego. Z jego strony nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Najwyżej stary glina wyciągnie broń, kilka razy uderzy kolbą w stół i pokrzyczy. Jednak obok porucznika, oparty o ścianę, stał gigantyczny ogr.

Sprężynowym nożem czyścił paznokcie i spoglądał na chochlika spode łba. Bobo poczuł, jak włoski na karku stają mu dęba. Olbrzym nie miał dobrej reputacji.

Nazywał się inspektor Kotek. Podobno miał jakieś imię, ale na mieście mówiło się, że jest jeszcze głupsze niż jego nazwisko. Bobo znał jednego gościa, który kiedyś zwrócił się do Kotka po imieniu. Stomatolodzy zarobili fortunę na wstawianiu mu sztucznych zębów.

- Może się przyznasz, Bobo? - zapytał smutno O'Brian. - Czterdzieści lat posiedzisz w pierdłu, a ja będę miał wolny wieczór.

Ogr przysunął chochlikowi krzesło.

- Wiesz, że to nie ja, O'Brian. - Bobo usiadł i wyjął z paczki pomiętego papierosa. -

Pan również to wie, inspektorze Kotku - dodał z nadzieją.

- Na razie wiem tylko, że mam pięć martwych dziwek i jednego świadka. Ty jesteś tym świadkiem, Lichowlazło. I cholernie chciałbym usłyszeć od ciebie o wszystkim, co wydarzyło się w tym zaułku - warknął ogr.

Bobo opowiedział wszystko. Ze szczegółami. Nie było tego wiele, więc porucznik O'Brian roztrzaskał stół kolbą rewolweru, a inspektor Kotek zagroził, że zastrzeli chochlika przy próbie ucieczki. Żaden z tych dwóch nie chciał bawić się w dobrego glinę. Kiedy zrozumieli, że wycisnęli z chłopaka całą prawdę, dali mu spokój.

- Kontaktuj się z nami, Bobo. Tak w razie czego. - O'Brian poklepał chochlika po policzku.

- W porządku. A teraz co powiecie na mały wywiad do jutrzejszego porannego wydania?

VIII

Janek obudził się. Nieprzytomnym wzrokiem omiótł ciemne pomieszczenie. Olejna lampa oświetlała betonową ścianę i fragment podłogi z wypaczonych desek. Bolała go głowa, w gardle czuł drażniący smak. Inny niż zazwyczaj. Nie był to posmak bełta Wodnik Szuwarek ani bimbru, jaki pędził zazwyczaj na myszach i starych butach.

Niepewnie stanął na nogach. Co właściwie się stało?

Pamięć powoli wracała. Czarna karoca zatrzymująca u wylotu jego zaułka. Dwóch eleganckich facetów z piórkami w kapeluszach. A potem utrata przytomności.

A więc porwano go? Po co? Sprzedadzą go na dzikim targu niewolników w starych dokach? Może kupi go jakiś świrnięty czarodziej na eksperymenty medyczne? A może go po prostu zgwałcą? Podczas długich lat życia na ulicy stary krasnolud nasłuchiwał się wielu podobnych historii. Część z nich była pewnie prawdziwa. A teraz przyszła kolej na niego...

Zeusie Gromowładny! Niech to będą po prostu zwykli zboczeńcy - myślał gorączkowo. Z bólem w tyłku da się jakoś żyć. Gorzej, jeśli wariat w szpiczastej czapce wyjmie z niego bebechy, żeby odprawić rytuał przywołania ducha Totalizatora Sportowego...

Zdjął ze ściany lampę i rozejrzał się. Dzięki bogom były tu jakieś drzwi. Pchnął.

Uchyliły się z cichym zgrzytem. Ruszył przed siebie ciemnym i ciasnym korytarzem.

- Żeby tylko nic mi nie zrobili. Żeby tylko nie zrobili mi krzywdy - modlił się cicho.

Nawet nie myślał o walce, o jakimkolwiek działaniu. Będzie uległy. Opór nic nie da.

Zgodzi się na wszystko, bo co niby miał zrobić? Lata, które przeżył jako bezdomny, nauczyły go jednego. Był nikiem. Był śmieciem. Dlatego tacy jak Oni mogą z nim zrobić wszystko. Zeusie, tylko nie eksperymenty...

IX

Dukka zapukał w drzwi. Dość mocno, bo wyleciały razem z futryną. Dwoma susami dzinn pokonał przedpokój i wpadł do sypialni. Zawodowy alfons, Atrakcyjny Kazimierz, pisnął i schował się pod kołdrę. Dukka wyłuskał go z pościeli i chwycił za gardło. Drugą ręką rzucił pięć oboli znudzonej nimfie, która nawet nie przerwała piłowania paznokci.

- Spadaj, sprawy zawodowe - mruknął dzinn.

Nimfa pozbierała z podłogi swoje fatałaszki i znikła w łazience. Atrakcyjny Kazimierz zaczął sinieć na twarzy, więc Dukka, któremu idee humanitaryzmu nie były obce, poluznił chwyt.

- Masz problemy - stwierdził. - Duże.

- Jestem niewinny! - wydusił z siebie Kazimierz. - Zawsze byłem lojalny!

- Ale nieudolny - dzinn pchnął go na łóżko. Alfons chciwie łapał powietrze. -

Trochę zirykowałeś szefa. Ale o tym później. Chcę znać dokładne rejony pięciu twoich dziewczyn. Tych martwych - Dukka wyjął notes i ołówek.

- Zawsze dobrze się nimi opiekowałem, naprawdę! To nie moja wina! - pisnął

Atrakcyjny Kazimierz.

- Zadam ci jedno pytanie. Jesteś może posłem? Senatorem? Nie? Więc powinieneś wiedzieć, że odpowiadasz za swoją pracę. Rejony. Szybko.

- Gerda robiła na Bulwarze Kopciuszka, Arwena na ulicy Elendila, Mona de Lux w dokach, a Koko i Chanell wyhaczały fagasów w barach przy Alei Rzeźników - wyrzucił

z siebie alfons. - Co ze mną będzie?

- Och, nie martw się. Najwyżej potrzebujesz kilka kapeluszy.

Dzinn był już trochę sfrustrowany. Objechał większość rejonów, w których pracowały nieszczęsne dziewczyny, ale nie dowiedział się zbyt wiele. Koleżanki rudej Gerdy mówiły, że wprawdzie miała wczoraj klienta, ale potem wróciła na Bulwar.

Stwierdziła, że zrobi sobie przerwę, i poszła zjeść kilka naleśników w „Śnie Kolejarza”.

Nie dotarła tam. Pokrojoną jak świąteczną pieczeń znalazł ją jakiś dziennikarzyna.

Elfica Arwena była cały dzień podziębiona, miała gorączkę. Spieszyła się do domu.

Morderca dopadł ją na klatce schodowej, w chwili, gdy szukała w torebce kluczy.

Mona de Lux nie zdążyła nawet zacząć pracy. Wczesnym wieczorem trzech dokerów zauważyło ją unoszącą się na falach Styksu.

Dukka zaparkował przy Alei Rzeźników. Tu pracowały pierwsze dwie zamordowane dziewczyny. Zatrzasnął drzwi samochodu i zagłębił się w brudny zaułek, w którym policja natknęła się na ciało Koko. W stercie śmieci, pod ścianą, dzinn dostrzegł ludzki kształt. Z kabury pod lewą pachą wyciągnął lśniący rewolwer. Z

kocia zwinnością przemknął pod murem.

Postać w stercie śmieci z pewnością nie była martwą panienką. Dukka odetchnął.

Skulonego w embrionalnej pozycji krasnoluda nawet gustujący w niecodziennych rozrywkach bracia Grimm nie pomylili by z prostytutką.

- Zwykły lump - mruknął dzinn. Trącił nogą zarośniętą postać. Bez efektu.

Krasnolud był nieprzytomny. Z pewnością w osiągnięciu tego stanu pomogła mu leżąca obok butelka po podłym winie. Dukka zostawił go w spokoju i podszedł do ściany zamykającej zaułek. Tu znaleziono Chanell. Próbowwała wspiąć się na mur.

Kontakt w policji powiedział, że jej oczy wyrażały skrajne przerażenie. Stwierdzili to dopiero wtedy, gdy znaleźli jej głowę.

Dzinn opuścił zaułek i zapalił papierosa. Ruszył na róg ulicy, gdzie o znak stopu opierała się siwowłosa staruszka.

- Uszanowanie, Babciu Jadziu. - Dukka uchylił kapelusza. - Jak interesy?

Jadzia, weteranka ulicznej rozkoszy, spojrzała na niego spode łba.

- Mogłabym powiedzieć, że dobrze. Nawet bardzo dobrze. Młodsze, ładniejsze zabarykadowały się w domach. Alfonsom oznajmiły, że biorą bezpłatne urlopy wypoczynkowe. Nie ma konkurencji dla starej Babcia. Ale nie powiem, żeby było dobrze, Dukka. Znałam je obie. Koko i Chanell. Były dla mnie jak córeczki.

- Znajdę go, Jadziu. To tylko kwestia czasu, obiecuję. Ale potrzebuję pomocy. -

Dukka zaciągnął się papierosem.

- A jakiej pomocy może ci udzielić stara, biedna Babcia?

- Ostatni klienci. Widziałaś coś?

- Wiesz, nie prowadzimy tu jakiejś kartoteki.

- Babciu...

- No dobrze. Było jak zwykle. Kilku lokalnych polityków, potem jakieś szczeniaki.

Aż w końcu podjechała prawdziwa kareta. Każda z nas marzy czasem o czymś takim.

Przyjedzie ksiązę, a potem to jak w filmach. Weźmie na zakupy, postawi kolację w dobrym lokalu. Potem oczywiście ksiązę się zakochuje, oświadcza, kupuje nam suknię z welonem, taką białą, wiesz...

- Zostawmy marzenia.

- Skoro się upierasz. Woźnica, taki elegancki, w kapeluszu z białym piórkiem, wskazał Koko i Chanell. Piszczwały z radości. Wskoczyły do karety i tyle je widziałam.

- Jakies szczegóły, herb na karecie, może chociaż numery rejestracyjne?

- Mówiłam ci, kartotek nie prowadzimy. W naszym zawodzie to prawie jak z księdzem. Nie patrzemy na to, kim jest klient. Ale była czarna. Kareta znaczy. Konie cztery, też ciemnej maści.

- Dziękuję, Babciu.

Dukka wrócił do wozu i usiadł za kierownicą. Zapalił kolejnego papierosa. Mało kto jeździł w tych czasach karetami. Nie powinno być trudno. Jednak Dukka miał

niejasne przeczucie, że będzie się musiał zdrowo napracować. Zdrowiej niż Babcia Jadzia w opuszczonej przez dziewczynki Alei Rzeźników.

XI

Bobo wpadł do redakcji, jakby paliły mu się spodnie. Stary Puchacz spojrział na niego zza okularów.

- Co tak długo? Zakochałeś się w tej Leśnej Babie?

- Kierownik da spokój z tą Babą. Mam bombę, prawdziwą, cholerną bombę!

- Będziecie mieli dzieci? - Puchacz pociągnął łyk herbaty z wyszczerbionego kubka.

Bobo usiadł na biurku. Otarł pot z czoła.

- Pięć martwych panienek, kierownika. Znałem jedną niedaleko „Snu Kolejarza” - zaczął opowieść.

Kiedy skończył, Stary Puchacz długo patrzył na niego w milczeniu. W końcu wstał.

- Pisz - powiedział cichym głosem. - To idzie na pierwszą stronę.

Bobo rzucił się do maszyny i zaczął szaleńczo uderzać w klawisze. Nie widział, jak Puchacz zamknął się w swoim gabinecie. Jak wysunął szufladę, w której spoczywała zakurzona przez lata flaszka wódki. Jak otworzył ją i pociągnął długi łyk prosto z gwinta. Pierwszy od dwudziestu lat. Potem Stary Puchacz już tylko siedział przy oknie i patrzył w noc.

XII

Pomieszczenie, do którego prowadził korytarz, było spore, oświetlone bladym, trupim światłem. Upstrzone liszajami grzybów ściany, wypaczona, szerniała ze starości podłoga. Trochę gratów. Koślawe krzesła, zapleśniała, nakryta dziurawym kocem kanapa. Stary stół. Brak okien. I - co gorsza - brak drzwi poza tymi, którymi tu wszedł.

Janek kątem oka uchwycił ruch w zacienionym rogu pokoju. Na zniszczonym bujanym fotelu, tyłem do niego, siedziała kobieta. Rzucił się w jej kierunku.

- Gdzie ja jestem? Co to za miejsce?

Nie zwracając na niego uwagi, wciąż powolnym ruchem, bujała się w tył i w przód.

Chwycił oparcie i obrócił fotel wokół osi. Spojrzał w jej oczy. Oczy puste, pozbawione wyrazu, nieruchome.

Nie była stara. Po dobrej kąpiel i wizycie u fryzjera mogła nawet wydać się atrakcyjna. Jednak teraz wyglądała jak zniszczona życiem, obdarta, bezdomna prostytutka.

I pewnie nią była - pomyślał.

Pokryta grubą warstwą tandetnego makijażu twarz rozciągnęła się w krzywym uśmiechu. Jednak oczy, te potwornie puste oczy, nadal pozostały bez wyrazu.

- Masz coś zapalić? - spytała ochrypłym głosem.

- Zapalić? Jasna cholera, gdzie ja jestem?

- W domu. W domu lalek. To twój dom.

- Mój?

- Twój. Mój. Nas wszystkich. To jak? Masz coś do palenia? - Kobieta wstała i spojrzała mu w oczy.

- Tak, chyba. - Janek pogrzebał w kieszeniach. Wyjął garść niedopałów i pudełko zapalek. Poczęstował ją kiejem. Zapalili.

- Jak się nazywasz? - spytała, wydmuchując dym.

- Mówią na mnie Rudy Boy Janek. Albo po prostu Janek.

- Ja lubię imię Violetta.

Podeszła do kanapy i opadła na nią. Klepnęła ręką w miejsce obok siebie.

- Chodź. Siadaj.

- Słuchaj, Violetta... Viola... powiedz mi, co to za miejsce? Po co tu jestem?

Dlaczego?

- Och, tyle pytań. A tak mało odpowiedzi - uśmiechnęła się ponownie. Zdusiła niedopałek na oparciu kanapy. - Nie wiem. Naprawdę. Po prostu żyję tu -

powiedziała. Spod kanapy wyjęła flaszkę denaturatu.

- Łyknij sobie, dobrze ci zrobi.

- Dzięki.

Fioletowy płyn przyjemnie drapał go w gardle. W żołądku poczuł ciepło.

Jagodzianka na kościach nie była może luksusowym alkoholem, ale pijał już gorsze rzeczy.

- Słuchaj, Viola, jest tu ktoś jeszcze?

- Och, oczywiście że jest - zaśmiała się. - Jest jeszcze Junior. Ale teraz śpi. Zresztą on nie pije - pociągnęła z butelki długi łyk.

- Junior?

- Tak na niego mówimy.

- Mówimy? Czyli kto jeszcze?
 - Buldog - w jej głosie pojawił się nagły chłód. - On jest Trzeci. Jest najsilniejszy.
 - Czyli co? To on jest tu szefem?
 - Nie, to nie tak... - zaczęła.
 - Jak długo tu jesteś?
- Spojrzała na niego. Znow powrócił ten pusty, wyprany z emocji wzrok.
- Zawsze. Jestem tu od zawsze.

XIII

Inspektor Kotek oderwał brzeg gazety, wysypał na niego tytoń i skręcił papierosa.

Powiercił się chwilę, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję. Nie było łatwo. Siedział na stosie bezwładnych ciał. Ciała leżały w piwnicy, a piwnica znajdowała się pod gmachem Trzynastego Komisariatu. Oficjalnie była wyposażoną w certyfikat ISO izbą zatrzymań, zgodną ze standardami Unii Zaświatów. Jednak sekretarzem więziennictwa Unii został niedawno stary markiz de Sade, facet z dość specyficznym podejściem do certyfikatów. Lubił, gdy drukowane były na grubych kawałkach skóry, z której osobiście wykonywał zgrabne europejczyki.

Ogr zapalił skręta i poprawił kapelusz. Jedno z ciał jęknęło. Kotek był prostym policjantem, więc zbieranie informacji dośledztwa zaczynał zwykle od najbliższego przestępcy. A tak się składało, że do piwnicy miał parę kroków. Stosował proste metody: bił aresztantów, dopóki nie zaczynali mówić. Dziś więźniowie przyznali się do kilku kradzieży, włamań i rabunków, ale żaden nie wiedział nic o martwych prostytutkach. Potem Kotek znów musiał ich bić, tym razem po to, by przestali się już przyznawać. Za dużo miałby potem roboty papierkowej ze spisywaniem zeznań.

- Ten szczeniak pisze tu, że na miasto padł blady strach. - Kotek potrząsnął gazetą.

- No pisze - mruknął bardzo niezadowolony z życia O'Brian.

Najpierw, wczesnym rankiem, Kotek wyciągnął go z łóżka i kazał przyjść na komisariat. Potem wysłał go do kiosku po „Czytadło”. A w dodatku po całej nocy przesłuchań prowadzonych przez Kotka w areszcie nie zostało nic, co można by roztrzaskać kolbą rewolweru.

- Ale jak to „padł”? Tak jak krowa pada, kiedy dostanie jakiegoś choróbska?

Znaczy zdechł ten strach? To dlatego taki blady jest? - Ogr w skupieniu wpatrywał się w artykuł. Kotek wychował się na małej farmie i nie zawsze wszystko rozumiał.

- To tylko takie określenie - westchnął O'Brian.

- Metafora - odezwał się cichy głosik spod sterty więźniów.

Kotek zerwał się na równe nogi i spośród ciał wyłuskał chudego goblina w okularach. Okulary, podobnie jak twarz goblina, były rozbite.

- Jak mnie nazwałeś? - ryknął ogr.

- To nie o tobie - pisnął aresztant. - Blady strach. To taka przenośnia, żeby ładniej było.

- Takiś mądry? A „karząca ręka sprawiedliwości”? Tak tu piszą. - Kotek podsunął gazetę przed oczy goblina.

- To akurat o tobie jest...

- A w ryj chcesz?!

- To znaczy, że złapiesz mordercę! - wyrzucił z siebie okularnik.

- No, to akurat się zgadza. A w ogóle coś ty za jeden?

- Aresztant Brzózka.

- Za co siedzisz?

- Za palenie papierosów...

- Rodziny Papierosów. Spora rodzina, spory pożar. Dużo trupów - wtrącił O'Brian.

- Zostaw go, Kotek. Chodźmy coś zjeść. Może z grilla?

Ogr jeszcze raz popatrzył na stertę nieprzytomnych więźniów.

- Posprzątajcie to, Brzózka. Tylko mi tu bez metafor.

XIV

Miasto wyglądało tak, jakby wcale nie przejmowało się padającym na nie bladym strachem. Możliwe, że nie czytało porannej gazety i po prostu o nim nie wiedziało.

Miasta rzadko mają czas na takie rzeczy. Co innego ich mieszkańcy. Tego ranka matki silniej ścisnęły rączki swoich dzieci, odprowadzając je do szkoły. Mężowie chętniej podwozili żony do pracy i czulej całowali je na pożegnanie. Sprzedawcy uważniej przyglądali się klientom, a ich dłonie spoczywały w niebezpiecznej bliskości ukrytych pod ladami dubeltówek. W witrynach sklepów, w kieszeniach płaszczy i kurtek, w torbach i neseserach leżały egzemplarze „Czytadła o Poranku”. Pierwsze strony krzyczały wielkimi czerwonymi literami: „MAKABRYCZNE ŻNIWO SZALEŃCA”. I tylko teściowe, racząc się herbatką z ciastkami, wydzwaniały do swoich synowych i namawiały je na samotne wieczorne spacerunki. Jak twierdziły, dla zdrowia.

Bobo stał przed gmachem kostnicy miejskiej i kończył papierosa. Wcale nie chciał wchodzić do środka. Wiedział już, że rudowłosa, którą znalazł obok „Snu Kolejarza”, nazywała się Gerda. Znał też imiona pozostałych. Ale to mu nie ułatwiało zadania. Za chwilę miał wejść do zimnej sali i znowu spojrzeć w oczy tej dziewczynie. Jej i czterem innym.

Rzucił papierosa na bruk i przydeptał butem. Musiał to zrobić. Nie chodziło już nawet o materiał do artykułu. Bobo wielokrotnie stykał się z tragediami. Wypadki drogowe, przemoc w rodzinie, samobójstwa, nawet morderstwa. Przychodził na miejsce zbrodni, zadawał pytania, potem siadał do maszyny i opisywał to, co się stało.

Ta sprawa była jednak zupełnie inna. Do tej pory martwe ciała oddzielone były od niego czarnymi foliowymi pokrowcami, w które ubrali je policjanci. Nie było zakrwawionych kosmyków rudych włosów ani patrzących na niego przerażonych oczu. Nie było dziewczyn umierających w jego ramionach.

Chochlik przestąpił próg kostnicy i podążył długim korytarzem. Echo jego kroków odbijało się od ścian pomalowanych paskudną zieloną farbą. Pchnął drzwi. Postać w białym fartuchu, stojąca przed rzędami stalowych szuflad, odwróciła się na ten dźwięk.

- Witaj, Bobo - uśmiechnął się Romero, kierownik miejskiego prosektorium i specjalista w zakresie sądowych sekcji zwłok. - Wybacz, że nie podam ci ręki, ale właśnie jem śniadanie.

Pomysł zatrudnienia ghula w kostnicy mógł się wydawać trochę szalony. Te stworzenia miały specyficzne upodobania w zakresie diety. Do ich ulubionych przysmaków należały udka nieboszczyków w sosie własnym lub świeże mózdzki. Na zakupy, zamiast do supermarketu, ghule chodziły na cmentarz, wesoło wymachując łopatom. Romero był inny. Od dziecka grymasił, gdy mama stawiała na stole smakowite korpusiki i barszcz z uszkami. Nawet nie chodziło o to, że w uszkach czasem trafiały się kolczyki. Romero był po prostu wegetarianinem.

Ghul wgryzł się w kanapkę z selerem i zapraszająco pokiwał do chochlika. Przed nim, na stole operacyjnym, leżał przykryty prześcieradłem kształt.

- Tak, to ona. Biedulka - powiedział Romero, bezbłędnie odczytując nie zadane pytanie.

- Czy muszę ją oglądać?

- Niekoniecznie. Wystarczy, że ja to zrobiłem.

Bobo odetchnął. Spojrzał w brązową, pomarszczoną twarz lekarza.

- Co możesz mi powiedzieć?

- Zgon w wyniku straty dużej ilości krwi. Same cięcia nie były śmiertelne. Inaczej niż u pozostałych czterech. Wygląda na to, że go spłoszyłeś, Bobo. Rany zadane narzędziem o bardzo

cienkim ostrzu. Żyłka, może brzytwa.

- A znak na czole? Czterolistna koniczyna?

- No właśnie. To nie tyle znak, co ślad po nim. Ten psychol bardzo starannie wyciął koniczyny z ich skóry. I zabrał je sobie.

- Bogowie...

- Jeśli chcesz poznać moją fachową opinię, to powiem ci, że bogowie tu nie pomogą.

- Te znaki, Romero. Trudno je wykonać? Tak, żeby zabrać ze sobą wyciętą koniczynę?

- Trudno. On z pewnością nie robił tego po raz pierwszy. Musiał już ćwiczyć. Ale to wiadomość nieoficjalna. Nie do druku.

- W porządku, dzięki, Romero.

Bobo zbierał się do wyjścia, lecz powstrzymała go szponiasta łapa ghula.

- Żałuję, że nie mogę ci powiedzieć, co u jednej z tych dziewczyn znalazła policja.

O'Brian zabronił mi szepnąć nawet słówkiem o wizytówce, którą miała w ręku. Ładny czarny kartonik ze złotymi literami „YMCA”.

- Szkoda, że nie możesz, Romero.

- Gdyby nie ten zakaz, tobym ci powiedział, przysięgam. Lubię cię, Bobo. Jesteś w porządku, chociaż większość pismaków to straszne hieny. Gorsze nawet niż moi pobratymcy - uśmiechnął się ghul i wrócił do swego selera.

Bobo obiecał sobie w duchu, że przyśle mu piękny bukiet z marchewek i kalafiorów. Potem wyszedł z kostnicy i wolnym krokiem ruszył w stronę Chłopskiego Krocza, najbiedniejszej i najbardziej podłej dzielnicy Miasta. Przed oczami wciąż powiewały mu kosmyki rudych włosów.

XV

Violetta zamknęła mocno umalowane oczy. Głowa powoli opadła jej do tyłu. Zaczęła chrapać. Janek wysączył resztkę denaturatu z butelki i zamachnął się, żeby rzucić nią o ścianę.

- Nie rób tego - rozległ się zimny męski głos za jego plecami.

Janek obrócił się szybko. Facet wypełniał sobą całą framugę drzwi. Był kompletnie łyśy. Wysunięta do przodu kwadratowa szczeka, krzaczaste brwi. Ubrany w kosztowny, choć nieco wymięty garnitur.

- Nie lubię nieporządku - warknął. Zrobił kilka kroków i wyciągnął rękę. Na środkowym palcu błyszczał złoty sygnet.

- Mówią na mnie Buldog.

- Janek.

Wielki facet opadł na kanapę.

- Wreszcie jesteś.

- Wreszcie? Co to zna...

- Po prostu wreszcie. Nie dopytuj się.

- O co tu chodzi? Ty tu rządzisz?

Buldog zaśmiał się. Miał niemiły, suchy, szczekliwy śmiech.

- Nie. Jeszcze nie. Ale już niedługo będę Pierwszy.

- Co z nami... co ze mną zrobią?

- Jak to? - Buldog wydawał się być zaskoczony. - A co mieliby niby zrobić?

- W końcu po coś mnie porwali. Na początku myślałem, że może chcą mi coś wyciąć. Wiesz, eksperymenty magiczne.

Buldog ponownie zaszczeakał. Wesoly był z niego gość.

- Aleś ty głupi, Jasiu. Stary, a głupi. Nic nie kapujesz. Może to i lepiej.

- Więc proszę mi wszystko wytłumaczyć... proszę... - Janek zaczął szlochać.

Twarz Buldoga pozostała nieruchoma, lecz gdzieś w głębi oczu zamigotały iskierki rozbawienia.

- Poznałeś już Violette? - spytał nagle.

- Gdzie my jesteśmy, powiedz...

- Zadałem ci pytanie.

- Ale...

- A jak pytam, to oczekuję odpowiedzi. Naucz się mnie słuchać, Jasiu. Inaczej będę musiał cię zgnieść.

Buldog uniósł dłoń. Pomiędzy palcami wił się duży karaluch. Buldog zmiądzzył go, po czym wytarł rękę o plecy Janka. Poklepał go po przyjacielsku i wstał.

- No, będę leciał. Mam sporo roboty. Jeszcze się spotkamy.

Ruszył do drzwi. W progu obrócił się, obrzucił spojrzeniem skuloną na kanapie postać i ryknął śmiechem.

XVI

„Pieczara Polifema” była dość popularnym lokalem w Chłopskim Kroczu. Właściciel, choć prosty cyklop wychowany wśród owiec, wiedział, jak urządzić dobrą szulernię.

Przy obitych zielonym sukniem stolikach sadzał specjalnie w tym celu wynajęte psy i kazał im grać w pokera. Do tego w „Pieczarze” nigdy nie kończyła się wódka, a w powietrzu było szaro od dymu cygar i papierosów. Stawki i przegrane były zawsze wysokie, ale klienci rzadko się awanturowali, bo wiedzieli, że Polifem ma na nich oko.

Bobo podszedł do centralnego stolika, przy którym karty rozdawała żująca tytoń, gruba Cyganka. Na imię miała Róża, lecz w półświatku zapracowała na własny pseudonim. Ze względu na drobną dolegliwość żołądkową i dietę opartą głównie na fasoli zwano ją Różą Wiatrów. Chochlik ukłonił się uprzejmie, zamiatając czapką podłogę.

- Moglibyśmy pogadać? Na boku?

- Zajęta jestem, kochaniutki. - Szulerka szybszym od wzroku ruchem przetasowała talię.

- Chodzi o Gerdę.

Karty rozsypały się na podłogę, ukazując światu wszystkie pięć asów. Róża złapała za obrozę przechodzącego obok owczarka alzackiego.

- Zastąp mnie, złotko - sapnęła. Chwyciła chochlika za kołnierz i zaciągnęła na zaplecze.

- Czego chcesz od tej biednej, martwej dziewczyny?

- Słyszałem, że ją znałaś. Pomagałaś jej. Chcę się czegoś o niej dowiedzieć.

- A gówno. Nie szanowali jej za życia, nie uszanują po śmierci. - Szulerka zacisnęła pięści. - Spadaj, dziennikarzyno, i weź się za uczciwą pracę.

- To nie tak, Różo. To ja ją znalazłem. Umarła przy mnie. Od tamtej pory nie mogę przestać o niej myśleć. Chciałbym wiedzieć, kim była.

Szulerka westchnęła i opadła na głęboki fotel. Spomiędzy imponujących piersi wyjęła cygaro. Zapaliła.

- Po co?

- Bo szukam jej mordercy. Wiem, że Gerda spojrzy wtedy na mnie z nieba i będzie mogła spokojnie odpocząć.

- Z nieba? - parsknęła Cyganka. - Myślisz, że martwe dziwki idą do nieba? Dobrze, naiwny młodzieńcze. Opowiem. Ale jeśli potem znajdę w gazecie o tym choć jedno słowo, to poznasz gniew starej Róży.

Poprawiła się w fotelu. Chwilę milczała, wydmuchując kłęby dymu.

- Nie miała łatwego życia. Ojciec nieznany. Matka, która jakieś dwadzieścia lat temu rozstała się z Zaświatem, też chodziła na ulicę, żeby zarobić na chleb. Gerda miała wtedy siedem lat i młodszego brata. Nic więcej. Ta mała, dzielna dziewczuszka zmywała naczynia w garkuchniach, myła ludziom podłogi i robiła pranie za parę groszy. Jednak nawet ta praca ponad siły nie wystarczyła. Wyrzucili ją na bruk z czynszowego mieszkanca. Braciszek, mały Kaj, trafił do sierocińca u Królowej Śniegu.

Gerda zamieszkała na ulicy, lecz wciąż szorowała garnki, a pieniądze odkładała.

Wierzyła, że kiedyś odbierze brata z ochronki. Mijały lata, a jej skarbonka wciąż była zbyt lekka. W końcu stało się to, co czeka każdą biedną dziewczynę żyjącą na ulicy.

Dość powiedzieć, że ktoś zrobił jej krzywdę. To ją zmieniło. Weszła do zawodu, przed którym dotąd się broniła. Wtedy ją poznałam, bo i ja mam za sobą tę dostępną dla każdej kobiety ścieżkę

kariery. Kiedy ją spotkałam, miała zniszczoną sukienkę i zdarte od roboty ręce. Miała jednak jeszcze coś. Szczerozłote serce, przez które pokochałam ją jak córkę. W końcu udało się nam zebrać niezłą sumkę. - Róża spojrzała chochlikowi głęboko w oczy. - I wiesz, co było dalej? Odnalazła Kaja, wtedy już kilkunastoletniego młodzieńca. Wciąż był u Królowej. Gerda opowiedziała chłopakowi wszystko. Chciała zabrać go ze sobą i za odłożone pieniądze zacząć skromne, bo skromne, ale wspólne życie. Ale nawet twarda ulica nie przygotowała jej na to, co od niego usłyszała. Nie chciał mieć z nią nic wspólnego, wolał zostać z Królową.

Szczerozłote serce pękło. Gerda wróciła na ulicę. Nie miała już celu, dla którego wykonywała tę straszną pracę, ale było jej już wszystko jedno. To koniec historii, złociutki. I jeśli istnieje niebo dla dziwek, jak mówisz, to mam nadzieję, że chociaż tam znalazła spokój.

Bobo podziękował starej Róży Wiatrów. Wychodząc z szulerni, zatrzymał się przy barze i duszkiem wypił ćwiartkę wódki. Wiedział, dokąd iść. Pośród myśli kłębiących mu się w głowie jedna, ta w kolorze gniewu, układała się w kształt liter „YMCA” z wizytówki, o której nie powiedział mu Romero.

XVII

Winorośl trzasnęła, a Dukka zaklął paskudnie. Przez chwilę machał rękami w powietrzu. Potem runął w dół. W ostatniej chwili chwycił się gzymsu. Wspinanie się po ścianie budynku nie należało do jego ulubionych zajęć. Nie przepadał za wysokością. Rzadko tęsknił za rodzinną pustynią, ale to była właśnie jedna z tych chwil. Tam można było spać najwyżej z wielbłąda. Nie było gmachów i pękających w najmniej odpowiedniej chwili winorośli. Dżinn podciągnął się na parapet. Cały dzień biegał po Mieście za czarnymi karocami. Odwiedził wszystkie zakłady pogrzebowe i sprzął po mordach wszystkich grabarzy. Żaden nie wiedział nic, co mogłoby mu pomóc. Dla pewności każdego po kolei zaciągał do Babci Jadzi w celu weryfikacji. Nic to nie dało. Zostawił więc grabarzy w spokoju i poszedł na komisariat, gdzie za drobną opłatą uzyskał listę wszystkich zarejestrowanych pojazdów pasujących do opisu. I znowu bił po twarzach, znowu przywoził właścicieli tych twarzy do Babci. Nic.

W końcu na liście Dukki została tylko jedna karetka. Zamiast numeru rejestracyjnego miała tylko cztery litery. YMCA. Dżinn wspinał się właśnie do okna pokoju zajmowanego przez faceta, który jeździł nią wczoraj. Gdyby tylko nie te cholerne winorośle...

XVIII

Yednocząca Młodych Czarodziejów Akademia była organizacją mocno elitarną.

Skupiała wyłącznie synów bogatych ojców, więc w normalnych okolicznościach ani inspektor Kotek, ani O'Brian nie dostaliby się do niej. Okoliczności nie były jednak normalne, przynajmniej dla Teofila Klapsa, dyrektora YMCA. Wisiał właśnie do góry nogami, potrząsany przez Kotka, i patrzył, jak O'Brian kolbą rewolweru roztrzaskuje jego ulubione biurko.

- Panowie, tu nie ma przestępców! Mogę was o tym zapewnić! - pisał Klaps.

- A ja mogę wyrwać ci nogę - zakomunikował Kotek.

- Tu są sami dobrze ułożeni, młodzi mężczyźni. Panowie, wdarliście się tu... -

Teofil poczuł, że ogr mocniej zaciska palce na jego kostce - ... nie żebym miał coś przeciwko... ale weszliście tu z pewnością powodowani błędnymi przesłankami.

Przepraszam, czy mógłby pan nie ścisnąć tak mocno?

- To karząca ręka sprawiedliwości - powiedział Kotek, który szybko przyswajał nowe słowa.

- Słuchaj pan, panie Klaps, dyrektorze eleganckiej organizacji - wtrącił się O'Brian. - Wiesz pan, czego najbardziej nie lubię? Szlajać się po mieście i pracować, podczas gdy mógłbym sobie wygodnie siedzieć i nic nie robić. A pan, panie Klaps, wydłuża czas mojej pracy, przez co robię się wściekły. Może pan mi pomagać albo nie.

Tylko że w tym drugim przypadku dokładnie przejrzę szuflady roztraskanego przeze mnie biurka. I coś mi się wydaje, że znajdę w nich ciekawe magazyny. Będą na nich młodzi mężczyźni, ale niekoniecznie ci dobrze ułożeni, jeśli rozumiesz pan, co mam na myśli.

Klaps pisnął ponownie, ale pokiwał głową.

- Postaw go na ziemi, Kotku - polecił O'Brian.

Dyrektor upadł na dywan. Trzeba mu przyznać, że leżał na nim w pozie pełnej godności.

- Dobrze. Będę współpracował.

- Szkoda, miałem ochotę jeszcze parę razy ci przyłożyć - westchnął ogr.

- Dobra. Sprawa wygląda tak. Jest pewna martwa dziewczyna, która trzyma w ręku wizytówkę twojej Akademii. Pytanie za sto punktów: wizytówkę dał jej Królik Wielkanocny, Piotruś Pan czy chłopak z YMCA? - zapytał porucznik O'Brian.

- Nie wykluczałbym Królika... - zaczął dyrektor.

- Już go sprawdziliśmy. Ma mocne alibi. Cały dzień bawił się swoimi pisankami.

Przy świadkach. Dla ułatwienia powiem, że Piotruś jest poza podejrzeniem, bo tydzień temu zamknęliśmy go za szantaż. Mówił, że ma haka na kapitana.

- Zostaje YMCA.

- Wygrałeś sto punktów. Dostaniesz jeszcze dwieście za podanie prawidłowego nazwiska. Nagrodą w teleturnieju jest to, że zapomnę o twoich pisemkach - powiedział O'Brian.

- A ja nie wyrwę ci nogi - dodał Kotek.

- Jednak moi chłopcy stronią od kobiet wątpliwej proveniencji.

- Masz coś do prowincji? - warknął wychowany na farmie ogr.

- Nie, skąd! - dyrektor znów zaczął pisać.

- Jemu chodzi o to, że jego chłopaki są zbyt dobre dla ulicznych dziewczyn, Kotku.

Ale myli się. O czym świadczy pięć ciał w naszej kostnicy. I tak sobie myślę, dyrektorku, że ty

po prostu liczysz, że w końcu się zniechęcimy i damy ci spokój. Jeśli chodzi o mnie, to całkiem prawdopodobne. Ale Kotek to inna sprawa. Pamiętaj, że oprócz twoich pisemek mamy jeszcze w zanadrzu starą, dobrą brutalność policji.

Ogr z trzaskiem zacisnął pięści.

- Na pewno wiesz o wszystkim, co robią twoi młodzi czarodzieje. I z kim to robią.

Pomóż sobie I policji - zaapelował O'Brian.

Dyrektor Klaps wiedział, kiedy trzeba ugiąć kark.

- Wczoraj wieczorem jeden chłopiec wyjechał na miasto trochę się zabawić. To nic zdrożnego, w jego wieku to nawet zdrowe - powiedział. - Jednak naprawdę myślę, że podążacie panowie fałszywym tropem. W historii naszej Akademii nigdy się nie zdarzyło, żeby...

- Nazwisko - zawarczał Kotek.

- Nie mogę, naprawdę... Ojciec tego chłopca jest jednym z największych sponsorów naszej organizacji.

Po kilku ciosach, wymierzonych ręką inspektora, dyrektor Teofil Klaps ponownie przewartościował swoje priorytety.

- Korneliusz Suchowola - wyszeptał. - Pokój 312.

- Chodź Kotku, pójdziemy po naszego zabójcę - powiedział O'Brian i razem z ogrem ruszył do drzwi.

- Gwarantuję panom, że młodzieńcy z YMCA zabijają wyłącznie czas - zawołał za nimi Teofil.

Kotek odwrócił się na pięcie, podszedł do niego i złapał za kołnierz. Przysunął twarz dyrektora do swojej i wyszczerzył zęby.

- Znam to. To metafora - powiedział, wyraźnie z siebie dumny.

Puścił Klapsa i wrócił do O'Briana. Po chwili obaj pukali już do drzwi młodego hobbita, Korneliusza Suchowoli.

XIX

Mało kto cieszy się z wizyty policji. Nawet najbardziej praworządny obywatel, gdy w jego drzwiach pojawia się dzielnicowy, gorączkowo zastanawia się, czy zupełnym przypadkiem nie trzyma w szufladzie torby z marihuaną, a w tapczanie zwłok młodej staruszki. Tak się jednak złożyło, że młody czarodziej Korneliusz Suchowola, mimo że nie był tak praworządny, jak wydawało się dyrektorowi Klapsowi, z wizyty policjantów był bardzo zadowolony. Powód był prosty. Jeśli Dukka trzyma cię jedną ręką za gardło, a drugą okłada po twarzy, cieszysz się nawet z widoku inspektora Kotka.

- No to mamy konflikt interesów - odezwał się O'Brian.

Dżinn przestał bić Korneliusza i w milczeniu wpatrywał się w policjantów. Kotek wyjął z kieszeni kajdanki. Dukka wyjął żelazny kastet. Suchowola, który tkwił

dokładnie pomiędzy oboma gigantami, skulił się ze strachu. Jak na chłopca z dobrego domu, miał już zbyt wiele wrażeń. Ogr zrobił krok do przodu. Dżinn naprężył mięśnie.

O'Brian złapał Kotka za ramię.

- Poczekaj - powiedział. - Znam faceta. Wpierw pogadamy.

- To mój gówniarz, poruczniku. Jak z nim skończę, będziecie mogli zrobić oględziny zwłok. Wpiszecie do protokołu zgon z przyczyn naturalnych. Albo samobójstwo. Bo facet, który podnosi rękę na dziewczyny Boscha, to samobójca, zgodzimy się? - Dżinn mówił do O'Briana, ale wzroku nie spuszczał z ogra.

- To zbyt głośna sprawa, Dukka. Musisz zrozumieć, że obywatele, którzy płacą podatki, wymagają skuteczności policji.

- Mój szef też wymaga skuteczności. Nie płaci wprawdzie podatków, ale w przeciwieństwie do twoich obywateli, O'Brian, lubi pić wino z czaszek ludzi, którzy go zdenerwowali.

Korneliusz Suchowola czytał w dzieciństwie dużo powieści przygodowych.

Bohaterowie tych książek potrafili zawsze wyczuć odpowiedni moment na działanie.

We właściwej chwili rzucić się szczupakiem do drzwi, zrobić fikołka, a potem biec, nie oglądając się za siebie. Dlatego Korneliusz postanowił wykorzystać swoją szansę.

Przemknął między nogami inspektora Kotka, który w tym samym momencie i ruszył na dżinna z impetem dalekobieżnego pociągu. Dukka trafił go kastetem między oczy.

Ogr złapał dżinna wpół, ryknął i podniósł przeciwnika nad głowę. Głowę, na którą natychmiast spadła seria błyskawicznych, miażdżących ciosów. Kotek zatoczył się i wciąż trzymając Dukkę w ramionach, runął przez okno, dwa piętra w dół.

Korneliusz był już prawie na korytarzu, kiedy zrozumiał, że życie to nie powieść przygodowa. Doszło to do niego w momencie, w którym kolba rewolweru porucznika O'Briana spotkała się z jego skronią.

Kiedy Bobo dotarł do budynku YMCA, Kotek i Dukka już opadali z sił. Leżeli wśród kawałków szkła i okładali się pięściami. Szło im nienajlepiej. Cios za ciosem wgniatali się nawzajem w grządki, które jeszcze niedawno były dumą dyrektora Klapsa. Ogr cały był w liściach kalarepy, a dżinnowi z uszu wystawały ogórki. Bobo minął ich i wbiegł po schodach. W drzwiach zderzył się z O'Brianem ciągnącym za sobą młodego Korneliusza. Porucznik wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Mam go, Bobo. Walnij mi zdjęcie na pierwszą stronę.

Chochlik zaskoczony spojrzał na nieprzytomnego niziołka.

- To on? On zabił Gerdę i inne dziewczyny?

- Wszystko na to wskazuje. Chcesz, to zrobię ci prywatną konferencję prasową.

Nasz przyjaciel Korneliusz wziął wczoraj akademicką karetkę - porucznik potrząsnął hobbitem. - Pojechał do Miasta na panienki. I wtedy mu odbiło. Pokroił je po kolei, podejrzewam, że brzytwą, którą zabrałem z jego pokoju. Wszystko pasuje.

- Ale dlaczego to zrobił?

- Motyw ustalimy w przesłuchaniu. To jak? Robisz to zdjęcie?

Bobo zrobił. O'Brian, ciągnąc za kołnierz Korneliusza, podszedł do Kotka. Dukka wciąż walił ogra po głowie, a inspektor odwdzięczał mu się serią ciosów w brzuch.

- Idziemy, Kotek. Zostaw go. Mamy sprawcę, będziemy sławni, możemy odpoczywać.

O'Brian wrzucił hobbita do radiowozu. Kotek chwiejnie stanął na nogach. Oparł się na ramieniu porucznika.

- Było miło - rzucił do Dukki i wcisnął się do samochodu.

Gdy policjanci zniknęli w chmurce spalin, Bobo usiadł obok opartego o ścianę dzinna.

- Już po wszystkim - powiedział w przestrzeń.

- Uhm. - Dukka krzywił się, macając obite żebra.

- Chciałem pierwszy go znaleźć.

- I co byś, uch, zrobił?

- O tym jeszcze nie myślałem.

- A ja myślałem. Nawet zacząłem to robić, ale wpadło tych dwóch z odznakami zamiast mózgów.

- Pomyśleć, że znałem faceta. Bogaty próżniak. Jego ojciec ma fabrykę borsuczego kawioru. Towar dobrze idzie.

- Borsuczego?

- No.

- Ale jak on to robi... Z borsuków?

- Nie chciałbyś wiedzieć.

- W każdym razie już po wszystkim. - Dżinn podniósł się z jękiem. - Przy okazji, jestem Dukka.

- Bobo.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Dasz mi parę słów do druku? O twojej roli w sprawie?

- Raczej nie. Trzym się, mały.

Dżinn odszedł wolnym krokiem. Bobo złapał taksówkę i pojechał do „Czytadła”.

Sprawa skończy się, gdy on skończy tekst.

Janek długo leżał bez ruchu. Podkulił pod siebie nogi. Zamknął oczy. Bał się. Jak bardzo chciałby być teraz gdzieś daleko, w jakimś miłym, ciepłym i bezpiecznym miejscu. Chciałby nie troszczyć się o nic. Mieć swój mały, bezpieczny świat. Świat, gdzie nikt nikogo nie zamyka w okropnym miejscu. Gdzie nigdy nie dzieje się nic złego. Gdzie zawsze jest wesoło, a ludzie są uśmiechnięci. Gdzie najgorszą rzeczą są potwory spod łóżka i wątróbka ze szpinakiem na obiad. Chciałby być...

- Proszę pana...

Otworzył oczy. Przed nim stał mały, jasnowłosy chłopiec ubrany w błękitną pizamkę. W ręczce trzymał plastikową figurkę żołnierza.

- Wszystko w porządku?

Janek usiadł i potarł dłońmi skronie. Ból głowy powracał.

- Nie, chłopczyku. Jest cholernie daleko od „w porządku”.

- Nazywam się Junior.

- Ja jestem Janek. Słuchaj, może ty mi powiesz, o co tu chodzi?

- Nie wiem, proszę pana.

- Gdzie są twoi rodzice?

- Nie mam rodziców. Jest tylko Viola i pan Buldog. I oczywiście pan.

- Ta... to już wiem. Długo tu jesteś?

- Urodziłem się tutaj.

Chłopczyk usiadł na podłodze i zaczął się bawić plastikowym żołnierzem. Janek uśmiechnął się.

- Myślałem, że już ich nie produkują.

- Słucham?

- Żołnierzy. Miałem w dzieciństwie takiego samego. Kiedyś niechcący ułamałem mu nogę.

Ojciec strasznie mnie wtedy sprzął, ale zreperował figurkę.

Janek nie zauważył, jak mała dziecięca rączka przesunęła się po żołnierzu i zasłoniła ślad po kleju na jego lewej nodze.

Stara maszyna do pisania przeżywała naprawdę ciężkie chwile. Bobo uderzał w jej klawisze z gniewem, którego nie zdążył wyładować na Korneliuszu Suchowoli. Gdy nadeszły kolejne informacje od policji, cała historia zaczęła nabierać sensu. Hobbit przyznał się, że był zeszłego wieczora w Alei Rzeźników, że zabrał do karety Koko i Chanell. Z kolei ghul Romero, wsparty autorytetem wieloletniego doświadczenia, stwierdził, że rany zadała osoba o nikczemnym wzroście. Cięcia na ciałach dziewczyn zadane były od dołu. „Sprawa zamknięta”, ogłosił oficjalnie porucznik O’Brian, szczerząc zęby w blasku reporterskich fleszy.

Bobo położył pobrudzone popiołem z papierosów kartki maszynopisu na biurku Puchacza. Stary zaskoczył go. Nie czytając tekstu, pchnął go od razu przez gońca do drukarni. Potem milczał przez bardzo irytujące pięć minut.

- Mówisz, że ile lat ma młody Suchowola? - zapytał w końcu.

- Dwadzieścia dwa. A co?

Stary Puchacz westchnął potężnie, podszedł do drzwi gabinetu i starannie zamknął je na klucz. Otworzył najgłębszą szufladę biurka i wygrzebał z niej starą, pożółkłą teczkę przewiazaną sznurkiem. Rzucił ją na blat i usiadł naprzeciwko chochlika.

- Miał wtedy dwa lata, Bobo.

- Kiedy? O co chodzi?

- Nie popędzaj mnie, synu. Nie mówiłem o tym tak długo, że... Po prostu przyjmij, że nie jest mi łatwo.

Chochlik otworzył teczkę. Wysypały się z niej wycięte z gazet artykuły i zdjęcia. Im dłużej na nie patrzył, tym mniej rozumiał.

- Wtedy martwych dziewczyn było piętnaście - powiedział cicho Puchacz. -

Pilotowałem tę sprawę od pierwszego trupa. Facet wymykał się policji niczym cholerny duch. Organizowali pułapki, wystawiali na wabia specjalnie wytrenowane dziewczyny. I nic. Ja też zrobiłem wtedy swoją pułapkę, Bobo. Nazywała się Wenus Dwa Palce. Ja... ja namówiłem ją do tego, rozumiesz? Przekonałem, że nic jej się nie stanie. Uwierzyła, bo chciała, żeby ten koszmar się skończył. Straciła już przecież czternaście koleżanek. Udało się nam, Bobo. Ściągnęliśmy go za Kasyno Bachusa.

Miałem nawet broń... Nic nie pomogło. Pierwszy cios był przeznaczony dla mnie. Od dwudziestu lat żałuję, że od razu nie straciłem przytomności. Przez krew zalewającą mi oczy widziałem, jak ją morduje. Jak wycina jej z czoła ten swój potworny symbol.

Bobo milczał. Puchacz ukrył twarz w dłoniach. Kiedy podniósł głowę, w jego oczach tliły się iskierki szaleństwa.

- Policja dopadła faceta w Zatoce Świń. Nazywał się Rączka, był wilkołakiem.

Oprócz tego złodziej i pijak. Osaczyli go na nabrzeżu. Wpadł w taki szal, że urwał dwóm mundurowym głowy, zanim otworzyli ogień. Podziurawili go jak durszlak.

Sprawa zamknięta. Kilku policjantów skasowało po medalu za odwagę, swoich pochowali z honorami. Wenus pogrzebali w małej mogile przy murze cmentarza.

Chodzę tam co roku, Bobo. Stawiam świeczkę. Jedyne pociecha jest taka, że oprócz mojego znicza zwykle stoi tam jeszcze jeden. Ktoś dba o tę kobietę, ktoś oprócz mnie pamięta.

- To nie był Rączka - wydusił z siebie Bobo.

- Nie był. Mówiłem o tym, krzyczałem. Nie słuchali mnie.

- Suchowola...

- Niewinny. Dam sobie za to powyrywać skrzydła. Ale wiesz co? Ciebie też nie wysłuchają, Bobo.

Lecz chochlika już w gabinecie nie było. Wypadł z niego razem z drzwiami i nie zatrzymując się, biegł w stronę Trzynastego Komisariatu.

XXII

Ktoś musiał pokwitować odbiór depozytu. To stonowane określenie na kilka przedmiotów, które pięć biednych dziewczyn miało przy sobie, gdy spotkały się z ostrzem zabójcy. Nie miały rodzin, a Dukka wcale nie spieszył się do Boscha. Wpadł

więc na komisariat podpisać kilka papierków i jako przedstawiciel pracodawcy odebrać zawartość pięciu foliowych woreczków.

- Szminka, rękawiczki koronkowe, chusteczka biała nieużywana, portmonetka bez zawartości - wyliczał beznamiętnie skrzat w zbyt dużej policyjnej czapce.

- Stój. Czemu bez zawartości? - Dżinn oparł się o drewnianą ladę.

- Pusta, no. Nie było w niej ani obola.

- Jakies łańcuszki, pierścionki, kolczyki?

Skrzat przejrzał listę.

- Nie ma.

- Kawior z borsuka, cholera - warknął Dukka, gdy zapadki w jego umyśle trafiły we właściwe miejsca.

XXIII

Bobo byłby szczęśliwy, gdyby nie znalazł tej kartki. Ale leżała tam, wprost przed jego oczami, pośród przekopanych przez niego kilogramów dokumentów policyjnego archiwum. Kartoteka Wenus Dwa Palce. Kolejne rubryki. Imię, nazwisko, data urodzenia. Stan cywilny. Dzieci: dwoje. Gerda i Kaj.

- To nie może być prawda - jęknął Bobo.

Jednak wcześniej zapoznał się z danymi pozostałej czternastki zamordowanej przed dwudziestu laty. Oprócz Wenus matkami były jeszcze cztery dziewczyny.

Imiona dzieci: Arwena, Mona, Koko i Chanell.

Chochlik zbiegł po schodach. W poczekalni komisariatu zderzył się z czymś dużym, biegnącym z przeciwnej strony.

- Borsuki! - krzyknął Dukka podnosząc się z podłogi. - Mówiłeś, że ten szczeniak jest bogaty, a dziewczyny były wyczyszczone do ostatniego miedziaka. Po co by kradł?

- Ten świr kończy to, co zaczął dwadzieścia lat temu - zawołał Bobo. - Masz samochód?

Po chwili obaj wybiegli z poczekalni. Stojący obok automatu z kawą inspektor Kotek popatrzył za nimi w milczeniu. Złapał za kołnierz O'Briana i wyprowadził go na zewnątrz. Wóz dzinna zniknął już za rogiem. Kotek zapakował porucznika do radiowozu i usiadł za kierownicą.

- Sprawa zamknięta? - zapytał.

XXIV

Buldog pojawił się nagle za jego plecami. Janek dostał cios w kark i runął na podłogę.

- Czas skończyć te popierdułki - ryknął łysy olbrzym i ruszył do ataku.

Janek skulił się i zakrył głowę dłońmi.

- Walcz, głupku - powiedział Junior, nie przerywając zabawy żołnierzem. - Walcz o swoje, bo on zyska Pierwszeństwo.

- Gdzie ja jestem, gdzie ja jestem - bełkotał Janek.

- W swojej głowie - odezwał się kobiecy głos. Violetta siedziała na kanapie i uśmiechała się szeroko.

Buldog przestał okładać krasnoluda i odwrócił się do niej.

- Co robisz, kretynko? - zawył.

- Uznałam, że naszemu gospodarzowi przyda się trochę prawdy. Jesteśmy jego lokatorami, więc należy mu się od nas kilka wyjaśnień.

- Co? Jak? - Janek czuł, że świat wiruje wokół niego. - O czym ty mówisz, kobieto?

- Mówi o tym, że jesteś cholernym wariatem - roześmiał się Junior. - Ja rozumiem, że można mieć dwie osobowości, ale cztery?

- Zamknij ryj! - Buldog uniósł pięść. Lecz nie zdołał jej opuścić. Zastygł w bezruchu pod wzrokiem Janka.

To by tłumaczyło te urwane filmy - zastanowił się krasnolud. Czuł w sobie dziwną siłę. Skądś wiedział, że każde z nich, chłopiec, mięśniak i kobieta, muszą robić to, co im każe.

- Buldog zawsze chciał przejąć władzę nad ciałem. Jest twoją agresywną stroną.

Morderczą. Czasem dochodził do głosu. Robił wtedy potworne rzeczy. A ty razem z nim. - Violetta wstała z kanapy, ominęła nieruchomego osiłka i podeszła do Janka. -

Junior to dzieciak, który w tobie drzemie, a ja... cóż. Pierwiastek kobiecości. Niezbyt silny, ale...

Janek nie zdążył się odsunąć. Prowadzona kobiecą ręką brzytwa rozcięła mu gardło.

- ... ale za to zdeterminowany - dokończyła Violetta. - Jestem Pierwsza! - zawołała, gdy Janek rozpląnął się w powietrzu.

W zaułku przy Alei Rzeźników leżący w stercie śmieci brudny krasnolud otworzył oczy. Wstał. Z niesmakiem obejrzał stare szmaty, w które był ubrany.

- Niedługo się to zmieni - powiedział kobiecym głosem.

Violetta delikatnie dotknęła woreczka, który nosiła na piersi. W środku bezpiecznie spoczywały czterolistne koniczyny. Brakowało tylko jednej. Gdy ją zdobędzie, wszystko potoczy się nowymi torami. Jej misja wreszcie się wypełni.

Kiedyś przyrzekła tym dziewczynom, że zmiecie je z powierzchni ziemi. Za to, że uważały się za lepsze od niej. Za to, że miały to, o co ona musiała wciąż walczyć.

Ostatnie lata były dla niej bardzo trudne. Zamknięta w skorupie cudzego ciała, nie potrafiła dojść do głosu. Aż zobaczyła te dwie panienki wysiadające z eleganckiej karety. Poznała je. Córki tych, które zabiła. Zrozumiała, że musi je także usunąć. I wszystkie pozostałe dzieci tych cholernych bab. To dało jej siłę.

Viola uśmiechnęła się i ruszyła ulicą na spotkanie, na które czekała przez ostatnie dwadzieścia lat.

XXVI

Sierociniec Królowej Śniegu miał spory ogród. Kaj pracował w nim każdego wieczoru, pracowicie grabiąc liście i przycinając żywopłoty. Był wdzięczny Królowej za tę pracę.

Gdyby nie ona, nie miałby się gdzie podziać. Sadził właśnie tulipany, gdy dostrzegł stojącą przed nim niedużą postać. Pod skołtunioną czupryną błyszczały jasne, niebieskie oczy.

- Wreszcie - odezwał się krasnolud dziwnym damskim głosem.

Kaj z przerażeniem patrzył, jak przybysz otwiera brzytwę. I jak za jego plecami w żywopłocie pojawia się otwór wybity przez dwa auta. Jak otwierają się drzwi, a ze środka wysypują się jacyś ludzie. Jak najmniejszy z nich, zielonkawy chłopak w kraciastej czapce, szybko biegnie w stronę krasnoluda. Rzuca się na niego, okładając go małymi piąstkami. Brzytwa opada na głowę chochlika, rozcina czapkę na pół, z czoła leje się krew.

Violetta odwróciła się w stronę nadbiegających napastników.

- Cóż znaczy jedna osoba mniej na tym świecie? - zapytała.

- No właśnie - stwierdził Dukka i pociągnął za spust. W tej samej chwili zrobił to Kotek. Obie kule uderzyły krasnoluda w pierś. Violetta zachwiała się i runęła na ziemię. Jej błękitne oczy zgasły.

- Mam nadzieję, że tym razem trafiło na tego właściwego. Idziemy do domu. Teraz przez tydzień będę tylko spał, jadł i pierdział - sapnął O'Brian.

Kaj stał nieruchomo, zasłaniając się grabiami. Dukka odepchnął go i dopadł do chochlika.

- Hej, mały. Morderca nie żyje. Nie odchodź od nas - wyszeptał.

Bobo oddychał, choć z pewną trudnością. Otworzył oczy. Spojrzał w twarz dzinna, uśmiechnął się i przeniósł wzrok wyżej. Na niebo. Wydawało mu się, że gdzieś pomiędzy obłokami, na krótką chwilę, dostrzegł kosmyk rudych włosów.

Wola ojca

Facet był bardzo uparty. Niełatwo jest wybudzić diabła z otępienia spowodowanego kilkoma litrami najtłustszego mleka. Zwłaszcza jeśli diabeł ma za sobą kilka bardzo trudnych miesięcy i wcale nie chce wracać do rzeczywistości. W końcu nie czeka go tam nic miłego.

- Sir, musi pan natychmiast wstać. To bardzo ważne - wołał zgięty w pół facet wprost do ucha leżącego na podłodze Raymonda, prywatnego detektywa i czarta trzeciej kategorii. Robił to już od czterdziestu minut. Wcześniej próbował szarpać diabła za ramię, ale skończyło się to mocnym lewym prostym wyprowadzonym przez sen prosto w szczękę intruza.

W końcu cierpliwość faceta została nagrodzona. Diabeł jęknął, zamrugał i z trudem zogniskował wzrok na końskim kopycie stojącym tuż obok jego twarzy.

- Szukasz kowala, prawda? - spytał Raymond.

- Ależ sir! Jestem Nessos, kamerdyner pana Gerharda Grimshawa. Otrzymałem polecenie, by sprowadzić pana do posiadłości mojego chlebodawcy. Natychmiast - oznajmił basowy głos, kładąc wyraźny nacisk na ostatnie słowo.

Diabeł podniósł się bardzo powoli. Ze stojącej na biurku kryształowej popielniczki wydłubał jeden z większych niedopałków i umieścił go w kąciku ust. Zapalił. Z uwagą przyjrzał się osobnikowi, który wytrącił go z błogiego stanu nieprzytomności. Widywał

już centaury, ale nigdy nie spotkał żadnego, który nosiłby garnitur. A właściwie górę od garnituru, na nadającej się do tego ludzkiej części. Nessos ubrany był w czarną marynarkę, białą koszulę i krawat. Miał nawet cylinder, spod którego wyglądała nieprzyjemna, dziobata twarz ozdobiona ogromnym nosem i krzaczastymi bokobrodami.

- Gdzieś już cię widziałem - wymamrotał diabeł.

- Nie sądzę, abyśmy mieli okazję się spotkać - centaur wzruszył ramionami. -

Mam polecenie doprowadzić pana jak najszybciej. Pan Grimshaw czeka - powtórzył.

Raymond znał to nazwisko. Co miesiąc widywał je, elegancko wydrukowane, na poleceniach zapłaty. W banku Grimshawa wziął kiedyś korzystny kredyt na samochód. Jak się potem okazało, kredyt był jeszcze korzystniejszy, niż się spodziewał. Oczywiście korzystniejszy dla banku.

- Nie zalegam z ratami aż tak bardzo. - Diabeł podrapał się w głowę, usiłując sobie przypomnieć datę swojej ostatniej spłaty.

- Nie chodzi o jakieś śmieszne raty, sir! - zahuczał centaur. - Pan Grimshaw chce wynająć pana do pewnej bardzo delikatnej sprawy. Co, patrząc na pana, ogromnie mnie dziwi - dodał.

- Mnie też, koniku. Daj mi się trochę odświeżyć i możemy jechać. Mam nadzieję, że nie wierzchem.

- Mam limuzynę - oznajmił z wyższością Nessos.

Diabeł poczłapał do łazienki. Wyłowił jedną z pływających w wannie butelek mleka, pociągnął z niej długi łyk i przepłukał zęby. Pochylił się nad pękniętą umywalką, spryskał twarz zimną wodą. Przyglądał włosy i wrócił do swojego gabinetu.

- Jestem gotowy - zameldował.

Wyszli na zewnątrz. Raymond puścił centaura przodem, z rozbawieniem obserwując, jak ten nieporadnie stawia kopyta na wąskich schodach. Przed kamienicą czekał błyszczący chromem rolls-royce. Jego tył przerobiony był na pakę do przewozu zwierząt. Nessos wgramolił się na nią z godnością i udawał, że nie zauważa ironicznych uśmiechów przechodniów. Diabeł zajął miejsce obok szofera, gнома ubranego w szarą liberię. Silnik limuzyny zaskoczył z cichutkim szmerem i rolls

popłynął ulicami Miasta.

- Straszna tragedia, prawda? Pan Grimshaw odchodzi od zmysłów... - zaczął gnom, lecz bębniące o dach samochodu kopyta przerwały mu wątek.

- Nie rozmawiać! Prowadzić! - zawołał Nessos.

Gnom skulił się w fotelu i docisnął gaz. Przemknęli Bulwarem Kopciuszka, zostawiając za sobą centrum Miasta i skierowali się w stronę uspiętego wulkanu, na którego szczycie piętrzyło się czarne gmaszysko banku Grimshawa.

II

Kiedy ojciec Grimshawa, Gerhard Krwawy, budował warownię na kraterze wulkanu, miał nadzieję, że potomek będzie kontynuował ścieżkę jego kariery. Ogr Gerhard do wszystkiego doszedł uczciwą pracą własnych rąk. Zwykle ścisnął w nich rękojeść topora, którym rozwaliał głowy przejeżdżających obok jego kwatery kupców. Był

prostym czarnym rycerzem i zrabowane karawanom dobra wystarczały mu na skromne życie.

Młody Gerhard był inny niż ojciec. Niektórzy starali się tłumaczyć jego trudny charakter mieszaną krwią płynącą w jego żyłach. Gerhard senior bowiem, zamiast poślubić zdrową ogrzycę ze swojej rasy, wziął za żonę małą wróżkę z owadziimi skrzydełkami. Oszołomione tym związkiem geny obu gatunków wydały w efekcie coś bardzo niecodziennego.

Po śmierci rodziców młody Grimshaw zbójcecką warownię przerobił na bank i zamiast uczciwie rabować ludzi z mieczem w dłoni, łupił ich za pomocą morderczych odsetek od kredytów i okrutnie niskiego oprocentowania lokat. Nic dziwnego, że żaden szanujący się zbój w okolicy nie podawał mu ręki.

Rolls-royce wspinał się na krater krętą drogą, której pobocza przyozdobione były nabitymi na pale szkieletami i płonącymi stosami. W końcu auto przejechało przez oświetloną neonami bramę i zaparkowało na zamkowym dziedzińcu. Raymond wysiadł i rozejrzał się. Otaczały go czarne, potężne mury przyozdobione kolorowymi plakatami reklamującymi usługi banku. Ze środka zamczyska wzbijała się w niebo masywna wieża z samotnym, ciemnym okienkiem na szczycie.

Nessos zeskoczył z paki i zadudnił kopytami po bruku.

- Zapraszam - mruknął i ruszył do głównego wejścia.

Żelazna krata, broniąca dostępu do środka, uniosła się ze zgrzytem i centaur zniknął we wnętrzu gmaszyska.

Raymond ruszył jego śladem i po chwili znalazł się w recepcji. Oszołomiony rozejrzał się po ociekającym bogactwem pomieszczeniu. Marmurowe kolumny i ściany pokryte były bardzo dobrą imitacją złota. Nogi tonęły w grubym dywanie, a zza lśniącej lady uśmiechała się atrakcyjna elfka. Firmowy kubraczek ciasno opinał jej apetyczny biust. Przypięta na biuście tabliczka informowała, że recepcjonistka ma na imię Amanda i jej największym marzeniem jest służyć pomocą klientom banku.

- Pan prezes czeka na panów w swoim gabinecie - zaszczębiotała Amanda i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Raymond nonszalancko oparł się o skrzącą od poźłoty recepcję.

- Co pani robi dziś wieczorem? - zapytał z nadzieją.

- Pracuję najlepiej, jak umiem.

- Jutro?

- Pracuję z takim samym entuzjazmem jak dziś. Jesteśmy bankiem dwudziestoczworgodzinnym, zawsze gotowym służyć klientom pomocą.

- Ale chyba czasem ma pani wolne?

- We wtorek, przyszłej jesieni. Ale mam już plany - odpowiedziała recepcjonistka z nieschodzącym z ust uśmiechem.

- Niech pan nie każe prezesowi czekać, sir - warknął Nessos i pociągnął Raymonda w głąb korytarza, w stronę ogromnych złożonych drzwi z tabliczką: „PREZES.

PAMIĘTAJ, ŻE MOGĘ CIĘ ZWOLNIĆ”.

Centaur pchnął wrota i zaanonsował:

- Raymond Chwościk, detektyw, do szanownego pana prezesa. Zgodnie z poleceniem.

- Niech wejdzie - odezwał się nieprzyjemny, skrzekliwy głos.

Diabeł przecisnął się obok centaura i wkroczył do gabinetu. Zza dębowego biurka patrzyły na niego malutkie oczy. Jedno czerwone, drugie żółte. Oczy osadzone były w brzydkiej płaskiej twarzy pokrytej wyraźnymi śladami po przebytej ospie. Twarz przyklejona była do malutkiej łysej główki kiwającej się na cienkiej szyi. Poniżej znajdowało się ciało prezesa Grimshawa, na widok którego każdy instruktor aerobiku dostałby palpitanie serca. Zwały tłuszczu, jakie wylewały się spod eleganckiego garnituru od Vesuvia, wystarczyłyby na sprawiedliwe obdzielenie kilku całkiem grubych mężczyzn.

- Niech siada - sapnął Grimshaw i wskazał Raymondowi niewygodny zydelek ustawiony na wprost biurka.

Diabeł wzruszył ramionami i usiadł.

- Muszę uprzedzić, że w niektórych przypadkach nie biorę spraw rozwodowych.

Czasem mąż, nie obrażając pana prezesa, wygląda tak, że odejście żony jest zwykłą samoobroną...

- Niech nie gada, niech słucha. - Grimshaw gniewnie zatrzepotał wątlimi owadziemi skrzydełkami. - Jeśli ma niewyparzony pysk, to rozkażę Nessosowi go wyparzyć. Wrzątkiem.

- Za maniery mi nie płacą. Tylko za skuteczność.

- Skuteczność. Tak... Polecono mi go. Na posterunku. Porucznik O'Brian mówi, że skuteczny. Zresztą nie chodzi o rozwód, jestem wdowcem. - Prezes ze smutkiem pokiwał malutką główką. Z ozdobnego pudełka wyjął cygaro i zapalił. Raymond czekał.

- Zdarzyło się porwanie. Moja córka Fiona zniknęła - podjął Grimshaw, wypuszczając kłęb dymu. - Chcę, by detektyw ją znalazł oraz by przyprowadził mi przestępcę. Może być martwy.

- Nie jestem płatnym cynglem, Grimshaw - powiedział diabeł.

Prezes uniósł jedną z krzaczastych brwi.

- Nie szkodzi. Nie musi zabijać. Mam do tego ludzi. Ważna jest córka.

- Kiedy zniknęła?

- Zauważono to dziś rano. Niania poszła zanieść jej prezent z okazji osiemnastych urodzin. Otworzyła kratę...

- Kratę?

- Nie przerywa! - warknął Grimshaw. - Jesteśmy rodziną szanującą tradycję.

Księżniczka Fiona przebywała zamknięta w wieży, czekając, aż uwolni ją piękny książę i poprowadzi do ołtarza. Wszystko było już gotowe, a tu taka tragedia... Komnata była pusta.

Raymond podrapał się w głowę. Spotkał się już z podobnymi przypadkami.

Szlacheckim rodzinom bogactwo padało na umysł i męczyli swoje błękitnokrwiste dzieci. Kazali przymierzać za ciasne buty, truli jabłkami, kłuli wrzecionami. Albo zamykali w szklanych trumnach i kazali mieszkać razem z siedmioma podejrzanymi krasnoludami. Diabeł pracował kiedyś nad sprawą młodej szlachcianki, której rodzice podkładali pod prześcieradło ziarna grochu. Siniaki na plecach księżniczki nie były dla nich zadowalające, więc groch zastąpili orzechami, potem kamieniami. Gdy rodzice wezwali fakira, by pod prześcieradłem umieścić noże, dziewczyna uciekła.

Z
fakirem.

- Długo Fiona siedziała w tej wieży?

- Od urodzenia, tak jak trzeba - odpowiedział z dumą Grimshaw. - Hodowała długi warkocz, rozmawiała z gołębiami, śpiewała. Wszystko zgodnie z etykietą. Pół roku temu znalazłem

odpowiedniego kandydata. Pięknego księcia Gustava. Przez „V”.

Klasa, prawda?

- Klasa sama w sobie, sir - przytaknął Nessos, a Raymond usiłował ukryć ironiczny uśmiezek.

- Gustav przyjeżdżał na swym rumaku raz w tygodniu. Kręcił się pod wieżą, składał Fionie hołdy i obietnice. Młodzi byli bardzo szczęśliwi. Dziś, w jej urodziny miał przyjechać po raz ostatni, uwolnić ją i poślubić. Wszystko było przygotowane.

Fotograf, kapłan, goście weselni. Na samą orkiestrę wydałem fortunę! A panna zniknęła. Taki wstyd... Musiałem odwołać takiego wspianego księcia - zasepił się Grimshaw.

- Muszę obejrzeć komnatę księżniczki i porozmawiać z tą nianią i Gustavem.

Ogólnie się pokręcić.

- Niech ogląda, niech rozmawia i się kręci. Ale niech znajdzie córkę.

- Potrzebny mi będzie list polecający.

Prezes wyjął z szuflady firmowy papier i naskrobał na nim złotym atramentem:

„On szuka Fiony. Pomagać mu albo was zwolnię. Gerhard Grimshaw”. Podał

dokument diabłu i sapnął.

- Ma pan zdjęcie córki? - spytał detektyw.

Grimshaw bez słowa odwrócił stojącą na biurku ramkę z fotografią. Diabeł doznał szoku. Przez chwilę wodził wzrokiem od paskudnego oblicza bankiera do utrwalonej na zdjęciu twarzy księżniczki.

- Nie znałem pańskiej szanownej małżonki, ale Fiona musiała wdać się właśnie w nią - stwierdził.

Grimshaw nie odpowiedział. Raymond ponownie wlepił wzrok w fotografię.

Spoglądała z niej śliczna, szczuplutka, ciemnowłosa dziewczyna. W lekko skośnych, błękitnych oczach tańczyły figlarne iskierki, a usta układały się w piękny uśmiech.

Diabeł wyciągnął rękę, chwycił zdjęcie i schował je za pazuchę.

- Zatrzymam je. Do śledztwa.

- Dobrze. Jeszcze coś?

- Oczywiście. Moje honorarium.

- O to niech się nie martwi.

- Czteryście oboli dziennie plus wydatki. Plus stówa zaliczki.

Na Grimshawie suma nie zrobiła najmniejszego wrażenia. Rzucił na biurko ciężki brzęczący miedzak. Diabeł schował go do kieszeni.

- Resztę zapłacę, jak ją znajdzie. Jak będzie dobry, to dorzucę jeszcze premię.

Anuluję jego śmieszny kredyt. Jak będzie niedobry, podniosę odsetki od rat. O połowę

- wysapał Grimshaw.

- Może być - powiedział Raymond.

Z kieszeni wyjął kartkę papieru i sporządził umowę. Jeśli masz do czynienia z bankierem, prawnikiem albo posłem, lepiej mieć wszystko na piśmie. Prezes bez mrugnienia okiem podpisał dokument i spojrzał na Nessosa.

- Wyprowadź już go. Zmęczył mnie.

- Idziemy - rozkazał centaur, kładąc diabłu na ramieniu ciężką dłoń.

- Wio! - powiedział Raymond i wyszedł z gabinetu.

Właśnie mijał uśmiechniętą recepcjonistkę Amandę, gdy usłyszał stukot końskich kopyt tłumiony nieco przez miękki dywan.

- Może znajdziesz sobie jakąś przytulną stajnię? - zwrócił się do centaura.

- Mam dość żartów na temat mojego pochodzenia, sir!
- To przestań za mną łązić. Zajmij się czymś i daj pracować.

Nessos z godnością zadarł nos, odwrócił się i zniknął w korytarzu. Amanda zachichotała i puściła do diabła oko.

- Którędy dojdę do wieży? - spytał Raymond.

- Najkrótszą drogą? Przez lochy. Skieruję pana do wejścia dla pracowników banku. - Recepcjonistka zgrabną rączką wskazała kierunek. W dół. I nacisnęła duży czerwony przycisk.

Raymond spojrział pod nogi, w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą była podłoga. I runął przez otwór otwartej klapy.

- Miłej podróży - zawołała uśmiechnięta Amanda.

III

Diabeł mknął długą metalową rurą, a pęd powietrza wpychał mu z powrotem do gardła paniczny wrzask. Szybko jednak się opanował. Za podobną przejażdżkę w Lunaparku Braci Torturro musiałby zapłacić kilka oboli, a tu było za darmo.

Spróbował się odprężyć i cieszyć się jazdą. Jednak zgodnie z zasadą, że jeśli coś zaczyna ci się podobać, szybko się kończy, skończyła się i rura. Raymond upadł na stertę czaszek i jęknął boleśnie, gdy jedna z nich ugryzła go w zadek.

Poderwał się na nogi i rozejrzał. Stał w chłodnym korytarzu. Otaczały go kamienne, wilgotne ściany. Oświetlenia dostarczały zatknięte w metalowych uchwytach pochodnie. Było jeszcze coś: groźny, czerwony blask, wypełzający z jamy wykutej w kamieniu. Do jamy prowadziły schody. Diabeł postanowił z nich skorzystać.

Zszedł kilka stopni, gdy usłyszał jednostajne bębnienie i powtarzane do rytmu słowa: „Zysk, zysk, zysk”.

Detektyw ostrożnie zlął na sam dół i znalazł się w sercu finansowego imperium Grimshawa. Jaskinia wypełniona była biurkami ustawionymi w równych szeregach.

Na małych krzeselkach, przygarbieni nad liczydłami, siedzieli szeregowi pracownicy banku. Pomiędzy nimi przechadzały się muskularne, półnagie postacie w czarnych kapturach. Ścisnęły rękojeści batów, które ze świstem opadały na plecy bankowców.

Na podwyższeniu zakapturzony grubas z gołym torsem wybijał rytm na sporządzonym z ludzkiej skóry bębnie. Obok kilku podobnych grubasów trzymało transparenty z napisami: „KAPITALIZM DROGĄ DO DOBROBYTU” i skandowało:

„Zysk, zysk, zysk!”

Diabeł podszedł do łysiejącego chochlika siedzącego przy najbliższym biurku.

Biała koszula mikrusa pocięta była na plecach razami bata. Same plecy również były porządnie pocięte.

- Co tu się dzieje, kolego? - zapytał Raymond.

Chochlik spojrzał na niego przekrwionymi, wystraszonymi oczyma.

- Modliłem się, by w urzędzie pracy skierowali mnie na galery albo do supermarketu „Biedronka”. Ale nigdy nie miałem szczęścia. Cóż, jakoś przetrzymam te sto dwadzieścia lat do emerytury...

Jego słowa przerwał świst bata.

- Nie gadać! Pracować! - ryknął mięśniak w kapturze. - A ty tu czego? - zwrócił się do diabła.

Raymond wyciągnął list polecający od Grimshawa.

- Czym mogę służyć szanownemu panu? - poprawił się mięśniak i usiłował się uklonić. Nie zdążył, bo diabeł wyrwał mu bat i owinał wokół jego szyi.

- Słyszeliście kiedyś o związkach zawodowych? - zapytał chochlika.

- Ja... jestem... związkowcem - wybełkotał mięśniak, próbując złapać trochę tlenu.

Raymondowi opadły ręce. Puścił zakapturzonego i oparł się o biurko.

- Szukam drogi do wieży.

- Szanowny pan pomylił wejścia. Tu jest Dział Ponownego Liczenia Forsy. Musi szanowny pan wrócić schodami, pójść w lewo i wtedy zobaczy pan windę - sapnął mięśniak, podnosząc się z kolan.

Diabeł odwrócił się na pięcie i poszedł według tych wskazówek. Winda była przestronna i - co

najważniejsze - dźwiękoszczelna. Odgłosy pracy banku Grimshawa zostały za jej drzwiami.

IV

W komnacie księżniczki Fiony nie znalazł żadnych śladów walki. Zwykły pokój nastolatki, wyłączając może żelazną kratę w miejscu drzwi i podobną w małym okienku. Toaletka z dużym lustrem i niezliczoną ilością pudrów, szminek i mazideł.

Pluszowe misie zerkające z każdego kąta szklanymi oczami. Na jednej ze ścian tarcza do rzutek z przypiętym do niej zdjęciem mdłego, jasnowłosego młodzieńca. Łóżko z rozbabraną pościelą.

Raymond przeglądał właśnie kolekcję płyt młodzieżowych trubadurów, kiedy poczuł wzrok ślizgający się po jego karku. Znienacka rzucił się do drzwi.

Ten błyskawiczny ruch nazwany został na cześć słynnego goblinńskiego wodza Georga W. Znienacka. Historycy Zaświatu obszernie opisali jego podboje, podczas których atakował z zaskoczenia wsie i miasta na Wschodzie. Znienacek chciał w ten sposób udowodnić, że jest równie wielkim przywódcą jak Adolf Zaskoczeń, ork, który podbił pół kontynentu podczas II wojny zaświatowej. Niestety, błyskawiczna kariera wojskowa Georga W. Znienacka zakończyła się, kiedy na jego drodze stanęli Kim Ir Wtem i Saddam Nagle oraz ich połączone armie.

Tak czy inaczej, Raymond rzucił się do drzwi. Wyglądająca zza framugi twarz pisnęła, a jej właściciel podjął nieudaną próbę ucieczki. Przebierał jeszcze nogami, kiedy diabeł złapał go za kark i przygiął do ziemi.

- Proszę mnie nie bić! - zaskomlał podglądacz.

Raymond pchnął go pod okno, by przyjrzeć mu się w pełnym świetle. Osobnik z pewnością był orkiem. Świadczył o tym zielonkawy odcień skóry, szpiczaste uszy i żółte kły wyglądające zza czarnych warg. Jednak jak na orka facet był przeraźliwie chudy i wiotki. Był też prawie nagi. Za cały strój służyła mu przepaska z futer królików, sandały i powtykane w różne niecodzienne miejsca orle pióra. Całości dopełniały grube okulary na bardzo młodej i bardzo przerażonej twarzy.

- Ktoś ty? - warknął diabeł.

- Księgowy, proszę nie bić!

Raymond puścił chłopaka, przysiadł na łóżku i zapalił.

- Jak cię zwa?

- Niewielki Grzybek, proszę pana.

- Jak?

- Niewielki Grzybek... Tańczący Na Grobach Swoich Wrogów. To moje nazwisko - westchnął młody księgowy i poprawił okulary.

- Kto cię tak skrzywdził?

- Proszę sobie nie żartować! Pochodzę z dumnego barbarzyńskiego plemienia z Północy. Moim ojcem jest Rozgniatacz Czaszek Tańczący Na Grobach Swoich Wrogów, dziadkiem Krwawy Niszczyciel Tańczący Na...

- Dobra, dobra. Rozumiem. A ty jesteś Grzybek?

- Moja mama, Czarna Furia, uważała, że po urodzeniu byłem całkiem podobny do...

- Grzybka?

- Niewielkiego.

- Ciekawość każe mi zapytać, dlaczego zamiast polować ze swoim szczepem, liczysz monety u tego tłustego Grimshawa.

Chłopak westchnął ponownie.

- Od dziecka byłem trochę chorowity, szybko się przeziębiałem. Rozumie pan, barbarzyńca nie

może kichać podczas mordowania i plądrowania. Poza tym zawsze lubiłem dodawać i odejmować.

Mama wysłała mnie do miasta, do szkoły.

- A to ubranie?

- Tradycja - chłopak wyprężył wążą pierś. - Jestem dumnym synem mojego plemienia - powtórzył.

- Dobrze. A dlaczego tu węszyłeś, dumny synu?

Grzybek wbił wzrok w podłogę.

- Fiona. Chciałem zobaczyć, co się z nią stało. Znaleźć ją.

- W celu?

- W celu, że ją Kocham! - wypalił chłopak i umilkł, jakby przestraszył się własnych słów.

Pięknie, pomyślał Raymond i głośno dodał:

- Tylko że jej narzeczony na imię ma Gustav.

- Ona go nie chce! To tylko wola ojca. Fiona woli mnie, a nie tego śliskiego dupka.

- Czy Grimshaw o tym wie?

- Nie - powiedział cicho Grzybek. - Nasza miłość musiała pozostać w cieniu. Nie odważyłbym się... To jest bardzo zły człowiek. Fiona kazała się nam ukrywać do czasu...

Raymond usłyszał szum dźwigu windy, otwierające się drzwi i stukot kopyt na kamiennej posadzce.

- Znikaj - szepnął, wciskając chłopaka pod łóżko. - Znajdę cię później. Teraz cicho.

Odeskoczył od łóżka i udał, że bardzo interesują go jakieś niewidoczne ślady na kracie okiennej.

- Jak postępy w pracy, sir? - spytał Nessos, który właśnie wkroczył do komnaty.

- Spokojnie, to nie wyścigi na torze konnym. - Raymond odwrócił się z uśmiechem.

- Panu prezesowi bardzo zależy na terminowym wykonaniu zadania.

- W takim razie podwieź mnie do miasta. Masz siodło i całą uprzęż?

- Sir! Proszę sobie darować tego rodzaju zaczepki.

- Oczywiście, Nessos. Prowadź.

Ruina, przed którą zatrzymał się rolls-royce, kwalifikowała się tylko do wyburzenia. I porządnej dezynfekcji, za pomocą najsilniejszych alchemicznych środków znanych nauce. Popękane ściany budynku przechylały się na bok, jakby za chwilę miały runąć.

Na dziurawym dachu pijane gargulce polowały na gołębie, które były zbyt chore, żeby próbować ucieczki. Krzywe okna straszyły wybitymi szybami, a wszystko pokrywała kilkucentymetrowa warstwa brudu.

- Tu mieszka książę Gustav? Przyszły zięć Grimshawa? - zapytał oszołomiony diabeł.

- Zgadza się, sir - powiedział Nessos, zeskakując z paki na chodnik.

- Idę sam. Ty zostajesz i pilnujesz auta - zakomunikował Raymond i ruszył do drzwi.

Przebrnął przez leżące na chodniku zwały puszek po piwie i wszedł do środka Kica, akademika Wiecznego Uniwersytetu.

Dagon, rektor tej znanej w całym Zaświecie uczelni, był uczciwym i dobrym zarządcą. Swoich studentów traktował sprawiedliwie i z dużą dozą serdeczności.

Dawał im staranne wykształcenie i doskonałe warunki do nauki. Pod warunkiem, że mieli pieniądze. Pozostali trafiali do Kica, akademika, w którym dobrze czuły się tylko szczury i karaluchy. Oczywiście jeśli nie były zbyt przywiązane do swojego zmysłu powonienia.

Raymond podszedł do recepcji, w której siedziała wielka pomarszczona ropucha.

- Czego tu szukasz? Sprzedajesz prochy? - zarechotała, wygładzając na sobie fałdy fartucha w grochy.

- Zeusie broń! - zaprzeczył diabeł.

- Szkoda. Właśnie mi się skończyły. To czego chcesz?

- Szukam księcia Gustava. Taki blondynek...

- Znam. Pokój 107, na piętrze. - Ropucha strzeliła językiem i złapała przelatującą obok muchę. -

Teraz spadaj. Jem przecież.

Raymond posłuchał. Wspiął się po trzeszczących schodach, ominął kipiącą kałużę podejrzanych płynów i bez pukania wszedł do kwatery Gustava.

Większą część pokoju zajmował potwornie tłusty krasnolud ubrany w przepoconą podkoszulkę na ramiączka. Do jego cielska poprzipinane były dziesiątki kabli, od których biła niebieskawa poświata.

- Ten voodoo-net to coś wspaniałego prawda? - powiedział grubas do Raymonda, po czym wyszeptał w końcówkę przewodu. - Cześć Aniu, tu Wojtek, też mam dwanaście lat. Chętnie cię poznam.

Diabeł wyciągnął rękę i wyrwał kilka kabli.

- Oooo... - zmartwił się krasnolud.

- Szukam Gustava. Kim jesteś?

- Mówią na mnie Pazur. Mam dwanaście lat i chętnie cię poznam... - Tłusciuch podał diabłu rękę, do której przyklejony był kawałek pizzy.

- Wolałbym nie. Gdzie księciunio? - spytał Raymond.

- No, przed północą to on raczej nie wraca. Gdzieś baluje.

- Mogę się rozejrzeć?

- Śmiało. Jego rzeczy są po lewej. - Krasnolud złapał przewód i wetknął go sobie pod pachę.

Na jego twarzy pojawił się błogi uśmiech.

Diabeł przeszukał szafę, nie znajdując w niej nic godnego uwagi. Z obrzydzeniem zajrzał pod wilgotny materac, znajdując pod nim kilka kolorowych pisemek.

- „Wenusjańskie Pielęgniarki i Ich Zadziwiające Maszyny” VII - wyszeptał ze znawstwem grubas. - To dobre jest.

Diabeł nie odpowiedział. Przyglądał się postrzępionej, zatłuszczonej serwetce z Kasyna Bachusa, która wypadła spomiędzy stronic pisemka. Pokrywały ją równe rzędy pisma. W rogu odbita była oficjalna pieczętka. Diabeł schował serwetkę do kieszeni.

- Pamiętaj, nigdy nie wiadomo, kto jest po drugiej stronie - rzucił do podłączonego do sieci Pazura i wyszedł.

Przed akademikiem czekał centaur i jego rolls.

- Gdzie jedziemy? - zapytał Nessos.

- Ja? W miasto. Ty? Tam, gdzie konie chadzają piechotą.

- Słucham?

- Przepraszam, cię Nessos. Chyba skończyły mi się końskie żarty.

- Cieszę się, lecz nalegam, bym panu towarzyszył, sir.

- Mówią, że darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby, ale...

- Sir!

- Ale pańskie oko konia tuczy. A ty wydajesz się mi trochę wychudzony. Wracaj do prezesa.

Pracuję sam.

- Nalegam - powtórzył centaur.

- Bez szans. Widzisz, mam spisana umowę. I zgadnij, o kim nie ma w niej ani słowa?

Urażony Nessos odwrócił się na kopycie i wdrapał się na pakę. Po chwili rolls znikł w chmurce niebieskawych spalin.

Raymond odczekał kilka minut i złapał taksówkę.

- Do Kasyna Bachusa - powiedział, rozsiadając się wygodnie na tylnym siedzeniu.

VI

Diabeł uśmiechnął się szeroko, gdy stanął przed migającą tysiącem żaróweczek jaskinią hazardu. Nie wpłynęła tak na niego bynajmniej atmosfera tego miejsca. To było dobre dla pijanych utracjuszy, radośnie przepuszczających pieniądze zarobione ciężką pracą innych ludzi. Raymond uśmiechał się, bo jego zdjęcie zniknęło ze stojącej przed kasynem tablicy. Tablicy z napisem: „Tych klientów nie obsługujemy. I wrzucamy ich do Styksu. Martwych”.

- Czy to nie diabeł, którego miałem kiedyś zastrzelić? - przywitał detektywa szef kasyna, ciemnoskóry dzinn Dukka. Niedawno awansował na to stanowisko i wciąż promieniował szczęściem.

- Kiedyś, Dukka. Ale nie gadajmy o przeszłości. Bosch nie chce już zjeść mojego serca na śniadanie, więc zachowujmy się jak przyjaciele.

- Oczywiście. Co cię sprowadza? Rozrywka? Mamy nowe tancerki z Wenery.

Ruletka i dziewczyna w jednym...

- Pracuję - przerwał Raymond. - Znasz Gustava? Podobno to ksiązę.

- Taki szczeniak? Przez „V”, tak? Jest tutaj, łoża czerwona, w końcu sali. - Dukka wskazał ręką kierunek.

Diabeł ruszył w tamtą stronę, wymijając grupkę zataczających się goblinów w melonikach. W centrum łoży wypatrzył twarz, którą widział na fotografii przypiętej do tarczy w komnacie Fiony. Gustav siedział rozparty w fotelu, w samych kąpielówkach i krawacie. Na jego kolanach wierciły się dwie panienki ubrane jedynie w majtki uszyte z kilku cienkich sznureczków. Dziewczyny wesoło oblewały szampanem księcia, który próbował przypalić sobie cygaro zamokniętymi zapałkami. Raymond podszedł i podał

mu ogień.

- Dzięki, stary. Przynieś mi jeszcze jedną butelkę. - Blondynek wyszczerzył w uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

- Czy ja wyglądam na kelnera?

- A czy ja wyglądam na informację? - zaśmiał się perliście ksiązę. Zachichotały również panienki, w profesjonalny sposób potrząsając przy tym nagimi biustami.

- Mógłbyś wyglądać jak krwawiący kawałek mięsa, jeśli o mnie chodzi - powiedział spokojnie diabeł.

Gustav z niedowierzaniem wytrzeszczył błękitne oczy.

- Czy ten obdartus mi grozi? - zapytał panienki siedzącej na jego lewym kolanie.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Co robiłeś dziś rano? - spytał Raymond.

- Rano... Zastanawiałem się, czemu w Zaświecie są takie dupki jak ty.

Diabeł wyciągnął rękę i złapał księcia za krawat. Drugą ręką docisnął węzeł.

Gustav pisnął i spróbował złapać trochę powietrza.

- Co robiłeś rano? - powtórzył Raymond.

- Po... pomocy! - wycharczał ksiązę.

Miał pecha. W kasynie Bachusa nikt nie zwracał uwagi na tego rodzaju okrzyki.

Panienki, które tak dobrze bawiły się z Gustavem, postarały się szybko zniknąć w tłumie.

- A więc? - Diabeł mocniej pociągnął za krawat.

- Spałem, cholera. Czego ty chcesz? - wydusił z siebie ksiązę.

Raymond poluźnił chwyt i przysiadł się do stołu. Wyłuskał z kieszeni papierosa i zapalił.

- Widzisz, drogi książę - zaczął - twoja tak zwana narzeczona zniknęła, a ja szukam jej na prośbę twojego przyszłego teścia. Sam więc rozumiesz, że musiałem cię odwiedzić.

- To wielka tragedia. Bardzo się niepokoję o losy mojej ukochanej Fiony - zapewnił szybko Gustav.

- Dlatego opłakujesz ją z panną Cycatką i jej koleżanką.

- Mam alibi! Do południa spałem. Z obiema wyżej wspomnianymi - powiedział książę.

- Mogę ci obiecać, że bekniesz za porwanie. W wieloosobowej celi też nie będziesz spał sam.

- Nie miałem powodu...

- Porywać jej przed ślubem? Myślałem, że to część tradycji.

- Tak, tatko Grimshaw ma staromodne zasady. Ale porwanie miało być dziś po południu. Miałem powieść dziewczynę do ołtarza. To naprawdę nie ja. - Gustav zaczął się trząść.

- Właściwie to dlaczego chciałeś się żenić? - zapytał diabeł.

- Co tam chciałem, musiałem.

Raymond w zdziwieniu uniósł brew.

- Nie, nie - zapewnił szybko książę. - To nie tak, jak pan myśli. Nawet jej nie dotknąłem, stosunki między nami były czysto służbowe.

- Służbowe?

- Znaczący, chciałem powiedzieć, że kocham ją, ale ze spełnieniem naszej miłości czekaliśmy do ślubu...

- Skoro chcesz pleść takie bzdury, poznam cię z kilkoma gośćmi w pierdłu. Z nimi nie będziesz musiał czekać do ślubu, Gustavie przez „V”.

Chłopak zbladł jeszcze bardziej, ale zacisnął zęby i spróbował przyjąć stanowczy wyraz twarzy.

- Nie powiem już nic bez obecności adwokata.

Diabeł wstał i poklepał go po policzku.

- Nie stać cię na niego. Na nic cię nie staæ, ch³opcze. Od kilku lat żyjesz na kredyt i przepuszczasz pożyczone pieniądze - powiedział.

Wrzucił niedopałek papierosa do książęcego drinka i odszedł wolnym krokiem. W drzwiach odwrócił się i patrzył, jak Gustav dopada w pośpiechu do wiszącego na ścianie automatu telefonicznego. Jak gorączkowo wybiera numer i rzuca do słuchawki kilka słów. Diabeł uśmiechnął się i wyszedł na zewnątrz. Właśnie zaczęło padać.

VII

Przytulona do ciężkich murów zamku Grimshawa chatka chwiała się od uderzeń wiatru. Strugi deszczu ściekały po krzywym dachu i chłostały dziurawe ściany.

Raymond postawił kołnierz płaszcza i głębiej nasunął na czoło rondo kapelusza. Stał w tym samym miejscu, w którym dziesięć minut temu wysadził go taksówkarz. Nie spuszczać wzroku z jedyne go okna chatki, sięgnął po piersiówkę i pociągnął rozgrzewający łyk mleka. Za szybą w marnym świetle olejowej lampki widział zgarbione, okryte szarą derką plecy. Widział trzęsącą się od płaczu grzywę czarnych, przetykanych siwizną włosów. Szczupłe dłonie ściskające wyszczerbiony kubek.

Diabeł schował piersiówkę i ruszył do drzwi. Zapukał. Drzwi uchyliły się i Raymond spojrzał w błękitne oczy pełne łez.

- Słucham? - wyszeptała kobieta. Miała około czterdziestu lat i smutną twarz, noszącą wciąż jeszcze ślady dziewczęcej urody.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Jestem Raymond Chwościk i zostałem wynajęty, by znaleźć Fionę. Pani jest jej nianią...

- Oczywiście, oczywiście. - Czarnowłosa otworzyła drzwi na całą szerokość i wpuściła diabła do środka. - Napije się pan kawy?

- Z mlekiem, jeśli można - powiedział Raymond, omiatając wzrokiem pomieszczenie.

Zdjął ociekający wodą płaszcz i kapelusz. Z wdzięcznością przyjął kubek gorącego napoju i usiadł na odrapanym krześle.

- Długo pracuje pani u Grimshawa?

- Od dziecka. Najpierw u starszego, teraz u tego.

Kobieta osuszyła oczy dziurawą chustką i zajęła miejsce obok detektywa.

- Jak mam się do pani zwracać?

- Och, przepraszam za brak wychowania. Na imię mam Barbara, ale dzieci mówią do mnie Baba.

- Dzieci?

- To znaczy Fiona. Fiona tak mówi - przez twarz kobiety przebiegł pełen cierpienia grymas.

- Była z nią pani blisko?

- Blisko... Byłam pierwszą osobą, jaką oglądała rano i ostatnią, którą widziała wieczorem. Były lata, kiedy oprócz pierwszej i ostatniej byłam jedyną. Czasem czułam się jak więzienny strażnik...

- A wczoraj? Zauważyła pani u Fiony coś dziwnego? Niepokojące zachowanie, podenerwowanie?

- Nie. Dzień jak co dzień. Samotna, ubezwłasnowolniona dziewczyna czesząca przed lustrem włosy. Porozmawiałyśmy chwilę o zbliżającym się ślubie. Nie muszę chyba panu mówić, że nie była zachwycona.

- Nie musi pani. Poznałem Gustava.

- No właśnie. Nie cierpiała tego typka, ale cóż robić. Wola ojca rzecz święta.

Przynajmniej dla ojca.

- Kto miał klucze do jej komnaty?

- Tylko ja. I oczywiście prezes. Ale on jej nigdy nie odwiedzał.

- Własnej córki?

Kobieta w milczeniu wpatrywała się w parujący kubek. Wreszcie podniosła wzrok i spojrzała diabłu w oczy.

- On ma złote serce. To znaczy, że zamiast serca ma jedynie zimną grudkę kruszcu. Nie ma żadnych uczuć, interesują go wyłącznie sprawy, na których może zarobić. - W błękitnych oczach na chwilę zapaliły się ogniki gniewu. Kiedy zgasły, pojawił się strach. - Nie powinnam tak mówić o swoim chlebodawcy. Proszę, niech pan mu nie powtarza...

- Nie powtórzę. Ale naprawdę potrzebuję pani pomocy. Jeśli nie pani i nie on, to kto dostał się do komnaty Fiony?

- Nie wiem. Chciałabym wiedzieć, ale nie mam pojęcia. Myśli pan, że siedziałabym tu, gdybym miała jakieś podejrzenia?

- Jestem pewien, że właśnie siedziałaby pani porywaczowi na karku - uśmiechnął się diabeł. - Czy takie stare zamczyska nie mają przypadkiem kilku tajemnych przejść?

- Nic o tym nie wiem.

- Za szybko pani to powiedziała.

- Nie, naprawdę...

- A osoba, z którą pani mieszka?

- Mieszkam sama. - Kobieta odwróciła wzrok.

- Spokojnie, Barbaro. - Raymond ujął jej szczupłe, zniszczone od ciężkiej pracy dłonie. - Naprawdę jestem po twojej stronie. Ale widzę tu dwa łóżka. O jedno z nich stoi oparta inwalidzka kula, a ty nie utykasz.

Nie spodziewał się, że jej piękna twarz może posmutnieć jeszcze bardziej, ale mylił się. Błękitne oczy znów przykryła mgiełka łez. Usta zaczęły drgać, a z krtani wydobył się szloch. Diabeł objął ją. Bardzo niezręcznie, jakby zbudowana była z kruchego szkła. Wtuliła się w niego łapczywie, jak pisklą szukające schronienia pod matczynym skrzydłem. Za oknem burza przybierała na sile, a oni trwali bez ruchu. Diabeł bał się wykonać jakikolwiek gest, by nie zranić tej biednej kobiety. Ona nie chciała opuszczać bezpiecznego uścisku ramion obcego mężczyzny. Nad kubkami ze stygnącą kawą, wśród bębniącego o szyby zimnego deszczu zrodziło się coś, co może zrodzić się tylko w takich chwilach. Diabeł wtulił twarz w poduszkę jej miękkich włosów.

- Zabrali mi je obie - wyszeptwała. - Najpierw Fionę, a potem moją Klarę.

W trzeszczącej pod naporem wiatru chatce nieszczęśliwa kobieta powiedziała nieznanemu mężczyźnie to, czego nie zdradziła jeszcze nikomu. Kilka godzin po porwaniu Fiony zniknęła też jej córka. Klara od urodzenia była kaleką. Niewidoma na jedno oko i kulawa na jedną nogę. Jej istnienie trzymane było w ścisłej tajemnicy.

Grimshaw nie pozwalał służbie mieć dzieci.

- Nie lubił dodatkowych kosztów - Barbara skrzywiła się wypowiadając ostatnie słowo. - Tym właśnie są dla niego ludzie. Kosztami. Klara dorastała w zamknięciu, tak samo jak Fiona. Gdy miały po trzy lata, pierwszy raz poznałam je ze sobą. Od tej pory spędzały razem każdą wolną chwilę. Zaprzyjaźniły się i pokochały jak siostry.

- Dalej twierdzisz, że nie ma tu żadnych tajemnych przejść? Na przykład tych, którymi Klara odwiedzała swoją przyjaciółkę?

Barbara wstała i poprawiła włosy. Ścisnęła jego rękę.

- Chodź, pokażę ci - powiedziała.

VIII

Nie pozwolił jej iść ze sobą. Nalegał, by wróciła do chatki i poczekała. Po długich namowach posłuchała i zniknęła w strugach lejącej się z nieba wody. Raymond zagłębił się w jaskinię i podążył w górę korytarzem wyłobionym w zboczu, na którym wznosił się zamek. Szedł ostrożnie, oświetlając drogę pochodnią, którą Barbara zrobiła z kija od szczotki i kilku starych szmat. Zanim jeszcze dotarł na szczyt wieży, znalazł to, czego szukał. Odcisnięty w błocie ślad podkowy.

IX

Włamać się do pokoju Nessosa nie było trudno. Prosty wytrych otworzył drzwi i królestwo centaury stało przed Raymondem otworem. Problem w tym, że królestwo było raczej puste.

Ludzie gromadzą przez lata sterty bezużytecznych przedmiotów. Pamiątki z wakacji, kalendarze z rozebranymi panienkami, dziwne nakrycia głowy, gazety lub czasopisma. Stosy dawno niesłuchanych kaset magnetofonowych, które żał wyrzucić.

Fotografie rodzinne, kartki urodzinowe. Te przedmioty zalegają potem w mieszkaniach, tworząc historię lokatorów. To normalne. Nessos widocznie normalny nie był. Jego pokój był pusty jak głowa goblina. Jedynym meblem była szafa z kilkoma identycznymi czarnymi marynarkami i białymi koszulami. Na gołej ścianie wisiał

plakat.

- Wiedziałem, że skądś znam tego gościa - mruknął diabeł.

Plakat był reklamą najnowszego tournée zespołu heavymetalowego Czterech Jeźdźców Apokalipsy. Kapela przeżywała obecnie drugą młodość, grając koncerty, dając autografy na nagich piersiach fanek i zarabiając miliony oboli. Mało kto pamiętał, że przed ponad dwudziestu laty pierwszy skład zespołu był inny niż dziś.

Oprócz Choroby, Głodu, Wojny i Śmierci na scenie występował jeszcze Piąty Jeździec Apokalipsy - Niewyspanie. Był nim Nessos, kamerdyner bankiera Grimshawa. Starał się, jak mógł, grał ostre solówki na gitarze elektrycznej, ryczał do mikrofonu i wywijał grzywą długich włosów. Potem badania marketingowe wykazały, że Czterech Jeźdźców brzmi lepiej niż Pięciu, i kapela pozbyła się centaury. Spadł z wysoka, więc bolało tym bardziej.

Raymond przypomniał sobie to wszystko w mgnieniu oka. W uszach odezwały się dźwięki muzyki, której słuchał jako dwudziestolatek. Koncerty, na których upijał się do nieprzytomności i wmawiał panienkom, że zna osobiście jednego z Jeźdźców.

Teraz znał go naprawdę, lecz fakt ten nie pociągał już za sobą lepszego dostępu do dziewczęcych wdzięków.

Diabeł oderwał się od plakatu i skupił wzrok na zaczytanym egzemplarzu jedynej w pokoju książki. Trybiki w jego mózgu przeskoczyły we właściwe miejsce. Zaczynał

rozumieć. Tytuł książki brzmiał: *Prawo spadkowe*. Gdy Raymond przeczytał notatki na marginesach, trybiki zaczęły obracać się jak szalone.

Niewielki Grzybek Tańczący na Grobach Swoich Wrogów spał niespokojnie. We śnie dusza księgowego wyraźnie przegrywała z gorącą krwią barbarzyńcy. Grzybek prowadził właśnie atak na niezdobytą, twierdzę, w której uwięziona była jego ukochana. Świszczące wokół strzały podsycaly tylko jego gniew. Zakrzywionym mieczem ścinał kolejne głowy. Tryskająca z ran wrogów czerwona jucha malowała na jego ciele symbole zwycięstwa. Unosił właśnie ostrze do kolejnego morderczego ciosu, gdy czyjeś mocne dłonie złapały go za ramiona.

- Dobry wieczór panu - powiedział cicho Grzybek, rozespanymi oczyma wpatrując się w ciemną sylwetkę pochylonego nad nim diabła.

- Idziemy, po cichutku. Chyba znalazłem twoją dziewczynę. Jednak musisz mi pomóc - zakomunikował Raymond.

Grzybek zerwał się z łóżka. Pospiesznie ściągnął z siebie pidżamę z wzorem jego Numeru Identyfikacji Podatkowej. Założył swój codzienny strój, przepaskę z futerek królików, i sięgnął po oparty obok łóżka podłużny przedmiot.

- Co to jest? - spytał z niedowierzaniem diabeł.

- Oszczep, proszę pana. Mogę nim razić swoich wrogów.

- Ale... on zrobiony jest z...

- Linijek. Na czubku przymocowałem stalówkę od pióra. Jest bardzo ostra. To groźna broń, bardzo celnie rzucam - powiedział księgowy i wyprężył wąż pierś.

Raymond wzruszył ramionami i skierował się do wyjścia. Taksówka już na nich czekała. Pojechali do centrum Miasta i zatrzymali się przed budynkiem, który budził grozę wszystkich obywateli. Za sporą łapówkę gnom w mundurze ochroniarza wpuścił ich do środka. Przez trzy godziny Grzybek robił to, co potrafił najlepiej. Kiedy skończył, diabeł wykonał dwa telefony. W milczeniu wrócili na dziedziniec banku Grimshawa.

XI

Deszcz ciągle padał, jakby ktoś w niebie zapomniał zakręcić prysznic.

Prawdopodobnie tak było. Bogowie nie należeli do osób, które przejmują się takimi drobiazgami. Kompletnie przemoczeni towarzysze dotarli do muru, w którego załomie czekała Barbara. Grzybek spojrzął na diabła z niemym pytaniem.

- Chciałem, żeby byli przy tym wszyscy zainteresowani. Chodźcie - mruknął detektyw i zaprowadził ich na tyły stajni.

Stanęli przed litą ścianą, zbudowaną z czarnego kamienia. Raymond oparł się o nią, wyciągnął papierosa i zapalił go, osłaniając od deszczu.

Barbara rozejrzała się dookoła.

- Co teraz? - spytała.

- Czekamy. Nie jesteście jeszcze w komplecie.

Barbara pisnęła cicho, gdy zobaczyła, że otwierają się główne drzwi fortecy i wypada z nich niekompletnie ubrany i kompletnie wściekły Gerhard Grimshaw.

Diabeł objął kobietę ramieniem.

- Spokojnie. Nic ci nie grozi - zapewnił.

- Spodziewam się, że miał dobry powód, żeby dzwonić do mnie w środku nocy i wyciągać z łóżka - warknął bankier, poprawiając jednocześnie kalesony.

- Miałem szesnaście milionów i jeden dobry powód. Szesnaście milionów oboli i Fionę. Pasuje? - zapytał go detektyw.

Grimshaw rozejrzał się szybko.

- Gdzie ona jest?

- Tuż obok. Wie pan, kiedy już przespacerowałem się jednym ukrytym korytarzem w tym zamku, postanowiłem poszukać kolejnych. I znalazłem.

Diabeł nacisnął kamień w murze. Ukryty w ścianie mechanizm zachrząścił powoli, odsłaniając wiodące w dół przejście.

- Stać! Nie pozwalam - ryknął donośny, basowy głos. Zawtórował mu strzał i świst kuli uderzającej w mur.

Nessos galopował przez dziedziniec niczym prawdziwy Jeździec Apokalipsy. Jego kopyta krzesały iskry, z nozdrzy buchała gorąca para. Wiatr zerwał mu z głowy cylinder odsłaniając kruczoczarne loki, które spłynęły na ramiona. W dłoniach ścisnął

potężny sztucer, którego lufa niebezpiecznie wycelowana była w stojące pod murem postacie. Otaczała go czerwona aura gniewu.

Centaur wyhamował kilka metrów od nich. Chwycił pewniej sztucer i powoli wycedził przez zęby.

- Odejdźcie od przejścia.

Raymond spojrzął we wnętrze lufy i przesunął się o krok, zasłaniając sobą oniemiałą Barbarę. Grimshaw zbladł i zastygł bez ruchu, a Grzybek, niewiele myśląc, cisnął oszczepem. Stalówka otarła się o twarz centaury, pozostawiając na jego policzku krwawy ślad. Kamerdyner nawet nie drgnął.

- Powiedziałem, odsuńcie się - powtórzył.

- Nessos! - przerwał mu dziewczęcy głos. Nie było w nim strachu. Była radość.

Z otwartego przejścia wyłoniła się niosąca latarnię czarnowłosa piękność. Za nią, kulejąc na jedną nogę, wyszła druga dziewczyna: blondynka z rzadkimi włosami, naznaczoną ciężką chorobą

twarzą i pokrytym bielmem okiem.

- Fiona! Moja córko! - zawołał Grimshaw. - I... ty - dodał, z niesmakiem patrząc na kalekę.

Klara rozejrzała się niepewnie. Gdy dostrzegła Barbarę, w jej oczach pojawiły się iskierki radości. Rzuciła się w jej stronę i mocno objęła.

Przez twarz centaura przebiegł trudny do odczytania grymas. Nessos opuścił

sztucer i zrezygnowany przyglądał się rozgrywającym przed nim scenom. Grzybek złapał w ramiona Fionę i mocno uściskał. Diabeł przesunął się o kolejne dwa kroki, a Grimshaw... z szybkością, o którą trudno było go podejrzewać, skoczył w stronę centaura i wyrwał z jego dłoni strzelbę. Jednak gdy tylko jego palce zamknęły się na broni, wydał z siebie przeszywający pisk. Diabeł jedną ręką złapał go za przeпоcony podkoszulek, drugą zacisnął na jego nadgarstku. Trzask kości świadczył, że ten uścisk wcale nie był przyjacielski. Sztucer wypadł ze zdrtwiałej dłoni bankiera i uderzył o bruk. Raymond kopnął go na bezpieczną odległość i rzucił Grimshawem o ścianę.

- Czy ktoś mógłby mi wytłumaczyć, co tu się dzieje? - zapytała Barbara, wciąż tuląc do siebie Klarę.

- Skoro panuje tu taka miła rodzinna atmosfera, to czemu nie. - Raymond podniósł strzelbę i zapalił papierosa. Spojrzał w przestraszone oczy Barbary. I wytłumaczył.

XII

Opowiedział im historię, którą większość z nich znała już doskonale. Historię, która zaczęła się osiemnaście lat temu, podczas podobnej deszczowej nocy. Wtedy, kilka pięter nad miejscem, w którym dziś stali, rozległ się krzyk kobiety i płacz dziecka.

Żona Grimshawa urodziła córkę. Poród odebrała czarnowłosa służka, ciemną komnatę oświetlał trzymany w ręku kandelabrem zaufany kamerdyner. Problem zaczął się, gdy ojciec zobaczył swoje dziecko.

- Zaufałaś mi, obcemu facetowi, Barbaro. Jednak nie zrobiłaś tego do końca. Nie powiedziałaś mi o swoim największym dramacie. O córce, którą ci zabrano - powiedział Raymond, zaciągając się papierosem.

Kobieta zanosła się szlochem, mocniej tuląc głaszczącą ją po głowie Klarę.

Dziewczyna już wie, uświadomił sobie diabeł, przenosząc wzrok na Fionę. W jej twarzy również dostrzegł pełne zrozumienie. Inaczej niż u Grzybka. Chłopak wytrzeszczył oczy i wyraźnie nic nie pojmował. Nessos stał bez ruchu, nie zdradzając żadnych emocji. Bankier strzelał z oczu błyskawicami. I milczał.

- Dziewczyna urodziła się chora. Kaleka. Jaśnie pan Grimshaw nie chciał takiej córki. Mogę sobie wyobrazić, jak szalał, rozwalając meble. Prawdopodobnie uderzył

cię wtedy, Barbaro. Tak jak swoją osłabioną po porodzie żonę. Bił was, wrzeszcząc, że dla kaleki nie ma miejsca w jego domu. Kazał ci wyjść, Barbaro, i zabrać ze sobą dziecko. Lecz z żoną jeszcze nie skończył. Jej wyczerpany organizm nie wytrzymał aż tylu ciosów. Pieniądze pozwoliły zatuszować sprawę. Jednak wciąż pozostawał problem dziecka.

Raymond przerwał na chwilę i spojrzał w twarze zebranych. Poprzedni papieros zgasł zalany deszczem, więc zapalił kolejnego i podjął wątek.

- Swoją córkę urodziłaś, Barbaro, miesiąc wcześniej. Piękne, zdrowe dziecko.

Podobne do ciebie. Dla Grimshawa, który uważa pracowników za swoją własność, rozwiązanie było proste. Rozkazał komuś, prawdopodobnie Nessosowi, zabrać ci Fionę i zostawić Klarę. Walczyłaś, lecz nie miałaś szans. Nie mogłaś wygrać z wolą swego bogatego ojca. Zająłaś się niechcianą kaleką, dzieląc macierzyńskie uczucia między je obie. Tu kończy się pierwszy rozdział rodzinnej historii.

Diabeł rzucił niedopałek na ziemię i przydeptał.

Grimshaw patrzył na detektywa wzrokiem pełnym nienawiści. Jego cielsko drżało od tłumionego gniewu.

- Chcesz opowiedzieć resztę? - zapytał go Raymond. - Nie chcesz. Nie ma sprawy.

Mało kto chciałby przyznać się do tego, że jest bankrutem. Zamek, bank, pieniądze w jego skarbcach, razem szesnaście milionów oboli. Wszystko to nie należy do ciebie.

Nie znam się na podatkach, ale razem z Grzybkim odwiedziliśmy dziś urząd skarbowy. Masz pojęcie, że ci biurokraci trzymają u siebie dokumenty sprzed osiemnastu lat? - zapytał diabeł.

Grimshaw wyglądał tak, jakby za chwilę miał eksplodować. Raymond uśmiechnął się i kontynuował:

- Ja nie miałem o tym pojęcia, więc możesz sobie wyobrazić, jak się zdziwiłem, kiedy Grzybek znalazł dokument, który stwierdza, że przepisałeś cały majątek na żonę. Wyjaśnił mi, że zrobiłeś tak ze względów podatkowych. Musiałeś się zdziwić, kiedy notariusz odczytał jej testament, prawda?

Napisała go jeszcze przed porodem, zostawiając wszystko dziecku. O zamianie córek oczywiście urzędnicy nic nie wiedzieli, więc wszystko dostała Fiona. Ty zarządzałeś jej majątkiem tylko do chwili, kiedy dziewczyna skończy osiemnaście lat. Czyli do dzisiaj.

Diabeł uśmiechał się coraz szerzej, obserwując, jak twarz Grimshawa na przemian staje się blada i czerwona.

- Opowiadać dalej? W porządku. Taki sprytny bankier jak ty musiał znaleźć jakiś sposób na odzyskanie pieniędzy. Kilka miesięcy temu w podłej spelunie znalazłeś przegranego chłopaczka, który winien był bankowi Grimshawa kupę forsy. Gustav przez „V” zrobiłby wszystko, byle tylko Nessos nie połamał mu nóg. I rąk. I różnych innych kości. Na serwetce spisaliście szybko umowę, że książę w zamian za darowanie długów przekazuje ci cały majątek, w którego posiadanie wejdzie w ciągu roku. Fiona była odizolowana od świata, żeby nie zepsuła przypadkiem twoich planów, i wystarczyło tylko w odpowiedniej chwili wydać ją za Gustava. Potem dziewczyna miałaby śmiertelny wypadek. Dla pewności załatwiłbyś też księciunia. I znów mógłbyś się cieszyć swoim złotem. Tylko że popełniłeś jeden błąd, Grimshaw. Uznałeś, że facet, którego wynająłeś, będzie ci posłuszny. - Raymond spojrzał z pogardą na bankiera.

- Jeszcze nie wygrałeś. Pomyliłem się, zatrudniając ciebie, ale... - odezwał się Grimshaw.

- Nie mówię o sobie. Mówię o Nessosie - wyszczerzył zęby diabeł. - Nie wiem, dlaczego centaur pomógł ci zatuszować zabójstwo żony i zamianę dzieci. Pewnie ze strachu, ale nie zamierzam tego *drążyć*. *Wiem tyle, że poczucie winy zaczęło w nim kiełkować od tamtej deszczowej nocy. Zapуściło korzenie i rosło rozdzierając jego duszę.* - Raymond patrzył na centaura, lecz zwracał się wciąż do Grimshawa. - Kiedyś ten facet był jednym z moich idoli. Śpiewał o rzeczach, w które wierzyły tłumy. Potem spadł na dno. Nie jego wina, że tym dnem byłeś ty. Po tym, jak pobiłeś swą żonę na śmierć, ten gość zaczął kombinować. Wczorajsza noc była dla niego przełomowa.

Teraz albo nigdy. Poszedł do Fiony i opowiedział jej wszystko. Pewnie dziewczyna nie chciała z początku uwierzyć, ale w końcu centaur przekonał ją do ucieczki. Zabrali też ze sobą jedyną przyjaciółkę Fiony, twoją córkę. Żebyś nie mógł wyładować na niej swojego gniewu. I to by było na tyle - skończył diabeł i wyjął z paczki ostatniego papierosa.

- I tak nikt ci nie uwierzy. Mam znajomości, o jakich ci się nie śniło - stwierdził Grimshaw i wyprostował się dumnie.

W milczącym do tej pory Grzybku od dłuższej chwili gotowała się barbarzyńska krew. Teraz jej temperatura sięgnęła wrzenia. Chłopak wyprostował się i spojrzał w różnobarwne oczy Grimshawa. Takiego gniewu nie czuł jeszcze nigdy. Oczywiście czasem jego dzika natura podpowiadała mu, żeby zadźgać kogoś ekierką lub przywalić mu w łeb liczydłem. Ale nigdy to uczucie nie było aż tak silne. Księgowy zacisnął pięść i wyprowadził czysty, wręcz podręcznikowy cios na szczękę bankiera. Grimshaw zachwiał się, zatrzepotał skrzydełkami i ciężko upadł na tłusty zadek. Prosto w kałużę.

- Masz szczęście, że walnął cię on, nie ja - powiedział Raymond, wypuszczając z nosa kłęby dymu.

- Zabieraj się stąd! Razem z tą kaleką dziwką i tą drugą. Żadna nie zasługuje, żeby być moją córką! - bankier wypluwał z siebie słowa, dysząc z nienawiści.

Nagle przestał. Sprawiała to stopa Raymonda, która trafiła go prosto w usta.

- Masz rację. One zasługują na coś lepszego - przyznał diabeł i zakuł gubiącego zęby Grimshawa w kajdanki.

- Za... za co to?

- Za morderstwo żony.

- Ha! To było osiemnaście lat temu. Nic mi nie udowodnisz!

Kolejne kopniaki sprawiły, że usta bankiera pękły niczym dojrzała wiśnia.

- To za Barbarę. Za to, że cierpiała w milczeniu przez tyle lat. Za to, że jesteś takim fiutem - wyliczał diabeł. - Tego ostatniego nie trzeba udowadniać.

Grimshaw próbował jeszcze coś powiedzieć, ale znów dostał w twarz. Nie stopą.

Kopytem. Nieprzytomny upadł na zimny bruk.

- Nie mogłem się pohamować, sir - powiedział Nessos do Raymonda.

- Chodź, napijemy się czegoś. - Diabeł poklepał centaura po ramieniu.

- Koniaku, sir?

Raymond popatrzył na niego z uśmiechem.

- Wystarczy piwo. Z mlekiem.

Ktoś nieśmiało ujął jego dłoń. Odwrócił się i spojrzał w przysłonięte kosmykiem czarnych włosów, pełne błękitu oczy. Uśmiechały się.

- Mogę się przyłączyć? - spytała Barbara.

Diabeł przyciągnął ją do siebie.

- Jeśli taka jest wola matki - powiedział.

Wieje znad Innsmouth

Czarna otchłań zagotowała się, wyrzucając na powierzchnię szlam, kawałki wodorostów i kilka puszek po piwie „Hetman”. Nad zimnymi falami otworzyły się niepokojąco żółte, świecące wewnętrznym blaskiem oczy. Ich właściciel wynurzył się z morza i spojrzał w niebo, pocięte granatowymi bliznami chmur.

Już prawie czas - pomyślał, płynąc w stronę brzegu.

W stronę uśpionego rybackiego miasteczka, którego mieszkańcy nie wiedzieli jeszcze, że najgorszy koszmar dopadnie ich tym razem na jawie.

Właśnie zaczynał się sztorm.

Pierwszy trup nie wyglądał na rozmownego. Pewnie dlatego, że odcięta od tułowia głowa miała usta wypchane morską trawą. Leżała pomiędzy udami ciała rozpiętego na czterech kołkach wbitych w piasek i patrzyła na Raymonda z wyrzutem, jakby obwiniając go o tę dość krępującą sytuację.

- Tak go znaleźlim. - Józwa Rybak podrapał się po czuprynie. Był wielki, rudy i śmierdział wędzonym dorszem. Miał jednak szczególny dar, dzięki któremu ludzie chcieli mu pomagać: ogromną, nabijaną gwoździami sztachtetę, zatknietą za pasek u spodni. - Jak tylko usłyszeliśmy, że jesteś pan z policji, to przybiegliśmy.

- I wyciągnęliśmy mnie z łóżka o piątej nad ranem. - Diabeł postawił kołnierz płaszcza, próbując odgrodzić się od lodowatego wiatru. - Poza tym nie jestem z policji.

Jestem detektywem. Prywatnym.

- Prywatny, państwowy, jeden pies. - Józwa splunął nonszalancko pod nogi. -

Pomocy nam trza.

Diabeł rozejrzał się po plaży. Otaczały go pełne wyczekiwania twarze mieszkańców Innsmouth. Westchnął. Nie było sensu tłumaczyć, że jest na urlopie.

Pojawił się tu zgodnie z zasadą: „Rzuć wszystko i jedź nad morze”. Był zmęczony ciągłym zbieraniem po pysku, strzelaninami i niepłacącymi klientami, którzy na domiar złego domagali się faktur VAT. Spakował kilka gratów, na drzwiach powiesił

kartkę: „Będę, jak wrócę” i usiadł za kierownicą hodowli rdzy, którą czasem nazywał samochodem.

Nie przewidział jednego. Wyglądało na to, że większość mieszkańców Miasta starała się tego dnia dotrzeć w to samo miejsce. Nad Morze Boleści.

W pierwszym korku utknął już w Alei Rzeźników, czternaście metrów od swojego biura. Potem było jeszcze gorzej. Sznur wyładowanych dziećmi, żonami i hawajskimi koszulami aut ciągnął się aż do jedynej wylotówki ze stolicy. Raymond przeklął w myślach świętego Krzysztofa, ministra infrastruktury, który - gdy tylko został

wybrany - rozłożył ręce i spytał elektorat, czy liczy na cuda. Dodatkowo Helios, minister pogody, akurat tego dnia postanowił wziąć się do roboty. Diabeł włókł się więc w temperaturze wrzenia, pomiędzy wozem wypchanym po brzegi wrzeszczącymi dzieciakami a przewożącą końskie łajno ciężarówką. Nie zastanawiał się nawet, po co komu nad morzem końskie łajno. Po prostu chciał umrzeć.

Morskie fale zobaczył już po szesnastu godzinach jazdy. Czując entuzjazm rozpierający jego spocone ciało, wyskoczył z samochodu i pobiegł na plażę. Kiedy tam dotarł, serce niemal w nim zamarło. Jak okiem sięgnąć, piasek pokryty był gęsto kształtami, na widok których buntował się umysł. Z wyjątkiem może jednego umysłu, należącego do krasnoluda Rubensa, który nawet oglądając wybory Miss Otyłości w publicznej telewizji, uważał, że kandydatki chyba nie dojadają.

Jednak to nie obfite kształty leżących jedna przy drugiej plażowiczek stanowiły największy problem. Problem streszczały dwa słowa, wyrte na białej w piasek tabliczce: „Plaża nudystów”. Był też dopisek, który głosił: „Ty, który wchodzisz, zegnaj się z nadzieją”.

Diabeł był twardy, więc nadzieja opuściła go dopiero wtedy, gdy starał się znaleźć w nadmorskim miasteczku pokój do wynajęcia. Owszem, jeden był wolny. Od października.

Wściekły Raymond dopadł do samochodu i z piskiem opon ruszył wzdłuż wybrzeża. W miarę, jak zostawiał za sobą żyjące z turystów miejscowości, tłumy na plażach zaczęły się przeredzać. W

końcu się skończyły. Skończyła się też pogoda.

Do Insmouth, małej rybackiej osady na półwyspie, dotarł późną nocą. Zatrzymał auto, wysiadł i zapalił czterdziestego, tego trudnego dnia, papierosa. Cieszył oczy widokiem pustej, białej plaży i stalowoszarych morskich fal. Nie przeszkadzał mu nawet zimny deszcz i wiatr, który najwyraźniej starał się urwać mu głowę. Nie zwrócił uwagi na chichoczącą dziko mewę, która z satysfakcją wypróżniła się wprost na jego kapelusz. Tutaj wreszcie odpocznę - pomyślał naiwnie.

Teraz, stojąc nad pozbawionym głowy nieboszczykiem, otoczony przez trzymający pochodnie tłum zarośniętych rybaków, czuł, że lepszym pomysłem byłoby pozostanie w krainie rubensowskich kształtów.

II

Głowa patrzyła na Raymonda ze zniecierpliwieniem. Tak samo jak rybacy.

- No? - zagadnął Józwa. - Kto go stuknął?

Diabeł westchnął ponownie i przyklęknął na mokrym piasku. Nawet jeśli były tu wcześniej jakieś ślady, skutecznie zostały usunięte przez deszcz i buty mieszkańców Innsmouth.

Raymond podniósł głowę i popatrzył w ich płaskie twarze, w ogromne, okrągłe jak talerze, żółte oczy. Wszyscy co do jednego byli potomkami słynnych w tych stronach Przybyszy z Głębin.

W dawnych czasach ta bluźniercza podmorska rasa ludzi-żab przy każdej pełni księżyca wyłaniała się z fal. Przybysze wychodzili na brzeg, by odprawiać swe Odrażające i Pradawne rytuały. Zwykle stawiali na piasku grilla i przenośny magnetofon, które z oczywistych przyczyn nie działały najlepiej w ich miejscu zamieszkania, i bawili się do białego rana. A że młode dziewczyny z Innsmouth od zawsze narzekały na nudę, chętnie brały udział w ich imprezach. Zwłaszcza że Pradawni nigdy nie przybywali bez kilku skrzynek piwa i czegoś do palenia. Dzięki temu mieszkańcy rybackiej osady mogli dziś pochwalić się zieloną cerą, błonami między palcami i językiem, którym potrafili łapać muchy przelatujące dwa metry od ich głów.

- No? - ponaglił Józwa Rybak, otwierając pudełeczko z tabaką.

- Łeb ucięty jednym czystym ciosem - powiedział diabeł. - Problem w tym, że nie ma krwi. Albo zabito go w innym miejscu i przeniesiono tutaj, albo...

- Wypili krew! - zakrzyknęli prawie jednym głosem zebrani.

- Spokojnie, zaraz tam wypili... Kim on był? - Raymond trącił palcem rozciągnięte na piasku zwłoki.

- To Santiago, miejscowy.

- Rybak?

- No, a jak inaczej? My wszystkie rybaki.

- Rodzinę jakąś miał?

- Gdzie tam. Stary człowiek był. I morze. Morze lubił. Całe dni na łódce gonił taką rybę wielką. Na baby czasu nie miał - stwierdził Józwa. - Poza tym nie widzicie, jaki był szpetny?

Diabeł nie umiał znaleźć szczególnych różnic między twarzami otaczających go rybaków a spoglądającą na niego z dołu twarzą Santiago, ale z grzeczności pokiwał głową.

- Ja wiem, kto to zrobił - przemówił nagle z tłumu basowy głos.

Jego właściciel zrobił kilka kroków do przodu i stanął nad ciałem. W świetle pochodni pojawiła się żabia twarz, pokryta głębokimi bruzdami, wysmagana wiatrem i spalona słońcem. Z policzków przybysza sterczały imponujące krzaczaste bokobrody.

Miał tylko jedną nogę, rolę drugiej przejęła drewniana proteza. Raymond zastanawiał się przez chwilę, czy to nie efekt spotkania z jakimś miłośnikiem żabich udek.

- Wiem, kto zabił Santiago - powtórzył przybysz. - Ta sama bestia, która zabrała mi nogę. Monstrum zrodzone w najczarniejszych głębinach, przekleństwo mórz, odwieczny wróg.

- Czyli? - zapytał grzecznie Raymond.

Przybysz zmierzył go wzrokiem i poprawił zwisającą z kącika ust fajkę. Wypuścił kłęb pachnącego wodorostami dymu.

- To Biały Wieloryb - wyszeptał dramatycznie, zerkając z niepokojem na uderzające o brzeg fale.

- Ee, nie słuchajta tych bzdur... - zaczął Józwa, lecz przybysz zagłuszył jego słowa napadem suchego kaszlu. Gdy skończył, otarł zaślinione usta i wyciągnął dłoń w stronę detektywa. Raymond ujął ją bardzo ostrożnie.

- Kapitan Ahab, do usług - powiedział przybysz i mrugnął. - Coś mi mówi, że razem złapiemy tego białego potwora, Izmaelu.

- Nazywam się Raymond - sprostował diabeł.

Józwa położył mu ciężką dłoń na ramieniu.

- Nie ma co słuchać tych bredni. Ahab nie raz Białego Wieloryba widział, ale zawsze po flaszcze - stwierdził.

Diabeł, który widywał czasem białe myszki, pokiwał ze zrozumieniem głową. I zamyślił się nad skalą zjawiska.

- On istnieje! - zapewnił basem kapitan.

- Tak, oskarża go o caluśkie zło. Nawet jak odeszła od niego baba... - kontynuował Józwa.

- Uciekła z tym białym łotrem - zawył Ahab.

- Ale...

- Dość! - krzyknął Raymond. - Wcale mi nie pomagacie. Przypominam, że mamy tu ukrzyżowane na ziemi i niezbyt szczęśliwe z tego powodu zwłoki.

- To na pewno znak! Nogi wskazują południe i południowy-zachód - odezwał się ktoś w tłumie.

- Co? - nie rozumiał diabeł.

- Gdzie tam nogi. Ręce! Ważne są ręce! - zakrzyknął kolejny rybak.

- Głowa! Głowa! - skandował inny człowiekzaba.

- Co? - powtórzył Raymond. Tym razem głośniej.

- No... jak w książce - stwierdził następny z zebranych, ubrany w żółty sztormiak.

- Gdzie? - Diabeł czuł, że rzeczywistość ma nawroty choroby psychicznej.

- No jak to? - zapytał ten w sztormiaku. - Nie czytaliście?

Błoniaste dłonie rybaków jak na komendę sięgnęły do kieszeni kurtek i płaszczy.

Raymond jęknął. Rybacy jak tarcze wyciągnęli przed siebie egzemplarze *Kodu Leonarda DiCaprio*, powieści, w której tego lata zaczytywał się cały Zaświat. Rzecz traktowała o dzielnym profesorze, który podążając tropem znalezionych przy zwłokach symboli, odkrywa spiszek koboldów, wyznawców Zeusa. Po tym jak powieść trafiła do księgarń, kapłani Zeusa wydali oświadczenie, że jest ona czystą fikcją literacką. Tylko podniosło to sprzedaż książki, bo od dawna nikt nie ufał kapłanom.

- Nogi i ręce! Z pewnością wskazują miejsca kolejnych morderstw - dowodził mały zarośnięty facecik w marynarskiej czapce.

- A skąd! - wołał potężny, pokryty tatuażami rybak. - Głowa patrzy w stronę hurtowni flader. Tam szukać trzeba!

- Nie hurtowni, tylko smażalni ryb „Mała Syrenka”. Tam trzeba iść - przekonywał kolejny marynarz.

- Iść i coś wypić - mruknął Raymond, opuszczając podekscytowany tłumek.

Żaden z koneserów literatury nie zwracał już na niego uwagi, więc diabeł ruszył po białym piasku w stronę samotnych pośród wstającego poranka okien miasteczka Innsmouth.

III

Niskie chałupy chyliły się ku ziemi, jakby chciały uciec przed naporem wichru.

Schnące na stojakach sieci rybackie trzepotały na wietrze. Łodzie rybackie kołysały się jak pijacy w noc po wypłacie.

To naprawdę nie jest turystyczna miejscowość - pomyślał Raymond, oglądając smętny krajobraz miasteczka. Podobało mu się tu. A przynajmniej było tak do momentu, w którym musiał wziąć się do roboty.

Lokalne władze miały siedzibę w strzelistym, wybudowanym z czerwonej cegły ratuszu. Budynek wznosił się dumnie nad krytymi strzechą chałupami, jakby mówił:

„Hej! Jestem lepszy od was, bo zbudowany z podatków!”. Diabeł wspiał się po prowadzących do wejścia schodach i szarpnął klamkę. Bez efektu. Drzwi były zamknięte na cztery spusty. Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma. Oparł się o ścianę i zapalił papierosa. Wiatr szumiał mu w uszach.

Po dziesięciu minutach dostrzegł sunącą pustą uliczką małą pękatą sylwetkę.

Osobnik kołysał się zabawnie, usiłując utrzymać szybkie tempo. Kiedy dotarł do schodów, diabeł przyjrzał się mu uważniej. Okrągłutki człowieczek ubrany był w staroświecki surdut i białą koszulę z koronkowymi mankietami. Wystające znad kołnierza oblicze nie różniło się specjalnie od twarzy innych mieszkańców Innsmouth, może z wyjątkiem przecinającego je pasma czarnych brwi i starannie przyszczyżonych wąsów. Na głowie facecika, w rytm podmuchów wiatru, chwiały się elegancki cylinder.

- Z kim mam przyjemność? - wysapał wąsaty grubasek, dostrzegając czekającego w drzwiach diabła.

- Raymond Chwościk, detektyw prywatny - uśmiechnął się diabeł, wyciągając rękę. - Zostałem poproszony przez lokalny kolektyw o rozwikłanie zagadki śmierci niejakiego Santiago - dodał.

- Tak, to straszna historia. Już zostałem powiadomiony - okrągła postać usiłowała złapać dech po ciężkim marszu po schodach. - Jestem Kleofas Miks, przedstawiciel prawa i sprawiedliwości w tej urokliwej osadzie. Szeryf i burmistrz w jednym. -

Facecik chwycił dłoń Raymonda miękkimi palcami.

Diabeł miał wrażenie, że przywitał się właśnie z martwą rybą.

- Jednak kolektyw nie wspominał nic o finansach - podjął wątek.

- Finanse. Tak, tym również się zajmuję - wysapał burmistrz, otwierając drzwi do ratusza ciężkim żelaznym kluczem. - Ile chciałby pan zainwestować? - zapytał.

- Zainwes... co? - Raymonda zatkało.

- W naszą pełną potencjału miejscowość, oczywiście. - Żabie oczy zapłonęły radością. - Zbudować hotel, wypożyczalnię skuterów, zjeżdżalnię...

- Zjeżdżalnię?

- Do wody. Dzieciaki to lubią.

- O czym my właściwie rozmawiamy? - spytał skołowany diabeł, idąc obok burmistrza korytarzami ratusza.

- O przyszłości! O wykorzystaniu możliwości tego miejsca! - odparł Kleofas Miks, najwyraźniej przebywający w swoim własnym świecie.

- Ja mówię o morderstwie i o dniówce, którą mi pan zapłaci - sprostował Raymond.

Zaskoczony burmistrz zatrzymał się w pół kroku przed ogromnymi, rzeźbionymi w morskie

motywy drzwiami.

- Ja? Zapłacić? Za co? - Jego okrągłe oczy wyrażały całkowite zdumienie.

- Zabójstwo. Plaża. Odcięta głowa - gestykulował diabeł, czując, że siły go opuszczają. -

Detektyw - dodał, wskazując na siebie.

- Ach tak, tak - Miks otrząsnął się z wcześniejszej euforii. - Zapraszam do gabinetu

- westchnął i pchnął zdobione drzwi.

Raymond wszedł do obszernego, zastawionego wszelką turystyczną tandetą pomieszczenia. Każdą wolną przestrzeń zajmowały potwornie brzydkie, wykonane z plastiku, muszelek i bursztynu pamiątki. Solniczki w kształcie latarni morskich, mydelniczki-łódzie i wisiorki przypominające kotwice. Diabeł zauważył nawet grzebienie wykonane z ości jakiejś ryby. Do tego oczywiście pokemony, żółte, dziwaczne stworki były najwyraźniej doskonałym upominkiem z każdego miejsca w Zaświecie.

- Wspaniałe, prawda? - spytał burmistrz. - Turyści będą się o nie zabijać.

- Ja właśnie w podobnej sprawie - przypomniał Raymond. - Znajdę panu mordercę za pięćdziesiąt oboli dziennie plus wydatki. Wakacyjna promocja.

- A może - Kleofas Miks sięgnął po leżący na biurku przedmiot - zamiast gotówki wzięłby pan tę wspaniałą, prawie autentyczną, wypchaną rybę?

- Wolę obole - zrymował diabeł. - Najlepiej za pierwszy dzień z góry.

- Tak, oczywiście. Bezpieczeństwo naszych obywateli przede wszystkim -

burmistrz odstawił morską pokrakę. Z szuflady biurka wyjął sympatycznie brzęczący mieszek i wypłacił żadaną sumę.

- Nikt nie będzie mi mógł zarzucić, że nie walczę z przestępczością - powiedział z satysfakcją i poprawił cylinder. - Na co pan jeszcze czeka? - zapytał, wpijając w Raymonda okrągłe oczka. - Wyborcy czekają na czyny!

Diabeł obrócił się na kopycie i wyszedł z ratusza. Wiatr nie przestawał wiać.

IV

Nie miał pojęcia, co robić dalej, więc jak zwykle poszedł do knajpy. W Innsmouth była tylko jedna. Smażalnia „Mała Syrenka” kusila niewygórowanymi cenami i prostym jadłospisem. Tak prostym, że żołądki niektórych klientów stawały na baczność.

Raymond usiadł przy barze i spojrzał w jedyne oko tłustego szynkarza. Drugie skrywała czarna piracka opaska.

- Czego? - spytał grzecznie barman, polerując hak, który nosił zamiast dłoni.

- Mleko. I jakąś kartę dań - powiedział diabeł, który zaczynał już odczuwać pierwszy poranny głód.

Jednooki postawił przed nim szklanekę z białym płynem i podał zabazgrany czarnym atramentem świstek.

- Ryba - przeczytał Raymond. - A co macie na deser?

- Smażoną w truskawkach. Rybę. Ale truskawki się skończyli - uśmiechnął się barman, prezentując spustoszenie, jakie czas poczynił w jego uzębieniu.

- To może wezmę wędzoną - stwierdził ostrożnie diabeł i opróżnił szklanekę. - I więcej mleka.

- Straszna historia, nie? - zagadnął po chwili barman, stawiając przed nim pełny talerz. - Do tej pory takie rzeczy nigdy nie działały się naprawdę.

- Co naprawdę?

- Morderstwa. Oglądaliśmy takie rzeczy praktycznie codziennie, ale nikt nie przypuszczał...

- W telewizji?

- Jakiej telewizji! Głupis pan czy jak? - zdenerwował się jednooki. - Normalnie, w nocy. W snach znaczy.

Po kilku minutach rozmowy zaskoczony diabeł dowiedział się o pewnej przypadłości, na którą cierpieli mieszkańcy tych stron. Każdej nocy śniły się im obrazy mogące doprowadzić do rozstroju nerwowego nawet najtwardszych producentów horrorów.

- Rozumiesz pan. Krew, flaki i inne przysmaki - zarechotał barman, opisując wizje zimnych morskich fal i czającego się pośród nich zła. Makabrycznych obrzędów odbywających się na ołtarzach pradawnych świątyń. Ostrzy zagłębiających się w miękkie ciało. Bólu. Śmierci.

- Na początku to trochę męczące. Zwłaszcza te wszystkie macki i szpony rozrywające ludzi. Ale można przywyknąć - dodał i leniwym gestem przepędził z blatu tłustą muchę.

- I wszystkim wam śni się to samo? - nie dowierzał Raymond.

- No, wszystkim. Znaczą wszystkim stąd. Jak kto obcy, to nie.

- I nie zastanawialiście się, skąd się to bierze?

- No jak nie, jak tak. Myśleliśmy długo, ale nam nie wyszło i daliśmy se spokój. Po co się męczyć, jak nawet doktor nic nie wykombinował.

- Doktor?

- No przecie mówię. Będzie już ze dwadzieścia років, jak u nas mieszka. Mówił, że z nas są te, no... fenomeny. Potem wytłumaczył, że to nic złego. Na swoje szczęście. -

Barman zerknął na przymocowany do nadgarstka hak. - Co? Nie jecie rybki?

- Ależ jem! - zapewnił szybko diabeł, grzebiąc widelcem w talerzu. Starł się pozbyć wrażenia, że ryba patrzy na niego z nienawiścią.

- A gdzie znajdę tego doktora? - zagadnął.

- No przecież, że w domu. Taki z dachówką czerwoną. Łatwo poznacie - powiedział

barman, wskazując kierunek brudną ścierką.

Raymond dopił mleko i zapłacił. Wyszedł, wciąż czując na karku wzrok swego niedosłego śniadania.

Dom doktora faktycznie łatwo było rozpoznać. Nie tylko po czerwonej dachówce.

Wyróżniał się pomiędzy pozostałymi, ciemnymi i krzywymi chałupami przede wszystkim kanarkowym kolorem ścian i małym ogródkiem. Pomiedzy różnokolorowymi kwiatkami, po przyszczyżonej równo trawie skakały małe puchate króliczki.

- Ach cóż za wspaniały, cudowny dzień - powitał zaskoczonego Raymonda stojący w progu staruszek.

Sądząc po wzroście, prawdopodobnie był gnomem, lecz jego wygląd raczej temu przeczył. Zazwyczaj gnomy sięgały po mydło tylko wtedy, gdy ktoś ukrył pod nim dużą sumę pieniędzy. Doktor natomiast był czyściutki i gładko ogolony. Jego starannie wyprasowana koszula z żabotem wyglądała, jakby wyszła prosto spod igły. W

wypielegnowanej dłoni ścisnął czerwoną konewkę, którą mimo deszczu podlewał ogródek.

- Cóż pana do mnie sprowadza w ten przepiękny poranek - zaszcebiotał doktor w chwili, gdy niebo rozdarła wyjątkowo paskudna błyskawica.

- Jestem Raymond Chwościk, detektyw. Kręcę się po okolicy, bo...

- Ach to cudownie, doprawdy. - Mały facecik uśmiechnął się tak szeroko, że prawie odpadły mu uszy. - Doktor Lovecraft, do usług szanownego pana - dodał, ściskając dłoń diabła i zapraszając go do środka. - Może herbatki z dzikiej róży? -

zapytał.

- Z mlekiem - powiedział cicho Raymond.

Wnętrze domu doktora było jeszcze bardziej cukierkowe, niż się tego spodziewał.

Miękkie dywaniki, różowe firanki i zatrzesienie doniczek z kwiatami. I jeszcze coś.

Łypiąca oczami z kredensu armia porcelanowych pingwinów. W melonikach.

- Podoba się panu? - spytał z nadzieją Lovecraft, sięgając po miniaturowy czajniczek.

- Bardzo hm... kolorowy wystrój - stwierdził ostrożnie Raymond.

- Staram się, by mój dom odzwierciedlał wnętrze mojej duszy - uśmiechnął się znowu doktor, nalewając herbaty do filiżanek. - Czekolady? - zaproponował. -

Uwielbiam czekoladę.

- Dziękuję, nie - powiedział szybko diabeł. - A więc pańska dusza jest różowa, puchata i wypełniona pingwinami?

- Moja dusza śpiewa! - zapewnił Lovecraft. - Otaczający mnie świat jest ciepły, optymistyczny i pełen szczęścia, a ja jestem jego częścią - dodał.

Raymond spojrzał przez okno na sypiące się chałupy Innsmouth i na widoczną w oddali plażę, na której z pewnością wciąż leżał Santiago i jego głowa. Pomyślał o wiejącym na zewnątrz wietrze i lodowatym deszczu.

- Bardzo szczęśliwy i z pewnością ciepły - westchnął, wypijając duszkiem herbatę.

- Prawda? Czyż to nie urocze? - Uśmiech Lovecrafta mógłby topić góry lodowe.

- Przeszedłem do pana, bo podobno bada pan tubylców - powiedział powoli diabeł. Miał dziwne wrażenie, że pod tą słodką powłoką doktorek jest szalony niczym marcowy zając. Ten sam, który w okresie Wielkanocy włamuje się do domów, rozrzuca w nich zgnite jaja i atakuje dzieci.

- Doprawdy, to wspaniali ludzie ci miejscowi - Lovecraft klasnął w dłonie. - Czego chciałby się pan o nich dowiedzieć?

- Przede wszystkim czy to prawda, że w nocy mają sny jak z horrorów klasy B?

- Tak, to prawdziwy fenomen na skalę zaświatową!

Doktor poderwał się, podbiegł do biblioteczki i spomiędzy niewątpliwie fascynujących dzieł o tytułach: *Jak być szczęśliwym* i *Nauka optymizmu w weekend* wydobyl ogromny, oprawiony w czarną skórę tom.

- Mógłby mi pan pomóc - stęknął, uginając się pod ciężarem księgi.

Raymond wyciągnął ręce i pożałował tego, gdy tylko dotknął skórzanej oprawy.

Przeszedł go dreszcz. Z tych dreszczy, które targają ciałem, gdy wetkniesz metalowy widelec do gniazdko elektrycznego. Przez ułamek sekundy diabeł miał wrażenie, że zamknęła się dookoła niego czarna, potwornie obca otchłań. Poczul, jak gdzieś niedaleko przesuują się bezszelestnie opalizujące, węzowe cielska. Jak obserwują go wilgotne, wiecznie głodne ślepie. Jak sięgają po niego najeżone kolcami macki.

- Postawmy ją tutaj - zaświergotał wesoło doktorek, umieszczając księgę na stoliku nakrytym koronkowym obrusem.

Kiedy Raymond ochłonał, rzucił okiem na tytuł woluminu. Oko w panice spróbowało schować się we wnętrzu jego czaszki.

- Czy to jest...? - zawiesił głos.

- *Necronomicon*, a jakże! Czyż to nie wspaniałe? - powiedział wesoło Lovecraft, a diabłu zjeżyły się wszystkie włosy w nosie.

Drżącą ręką Raymond sięgnął po papierosa. Doskonale pamiętał zamieszki, jakie przetoczyły się przez Miasto po publikacji tej książki. Napisało ją dwóch szalonych Arabów, Al Dżazira i Al Bundy. *Necronomicon* od razu podbił rynek. Podbił też umysły czytelników, pozostawiając w ich głowach pas spalonej ziemi. Dzieło, mające być w założeniu poradnikiem gospodyń domowych, zawierało między innymi kilka przydatnych przepisów kulinarnych, choćby na sorbet z kuropatwy w owocach leśnych, oraz bogato ilustrowane porady, jak nakryć do proszonej kolacji na osiem osób. Niestety, całkiem przypadkiem, zawierało też inne treści. Treści, od których mózg pisał z przerażenia i usiłował zamienić się miejscami ze ślepą kiszka. Treści, które sprawiły, że czytelnicy brali to, co mieli pod ręką, a dziwnym trafem zwykle były to topory strażackie, piły łańcuchowe lub małe gumowe kaczuszki, i wychodzili na ulicę podyskutować z sąsiadami o literaturze. Pamiętne zamieszki pochłoneły setki istnień, ulice spływały krwią, aż nawet władze postanowiły wziąć się do roboty.

Według rzecznika prasowego rządu wynikało to z troski o obywateli, którą kierowali się prawi i sprawiedliwi bliźniacy, prezydenci Zaświatu Romulus i Remus. Zdaniem świadków sprawiły to tłumy szturmujące budynki administracji publicznej.

Tak czy inaczej, kiedy kolejny szaleniec z gumową kaczuszką i myśliwskim nożem w zębach wdarł się do gabinetu owalnego, prezydenci wpisali *Necronomicon* do indeksu ksiąg zakazanych.

Policja polityczna skonfiskowała cały nakład księgi i pokazowo spaliła go na stosach. Był też grill, kielbaski i koncert orkiestry reprezentacyjnej Wojska Krasnoludowego. Gdy tylko wystrzelano ostatnich czytelników dzieła szalonych Arabów, wszystko wróciło do względnej normy.

Raymond podniósł głowę i spojrzal w pełne radości oczy Lovecrafta.

- Skąd pan to ma? - zapytał bardzo słabym głosem.

- Kupiłem wysyłkowo. Po okazyjnej cenie. Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać - doktor, ku przerażeniu diabła, otworzył księgę w miejscu zaznaczonym zakładką w kwiatki. - Na przykład tutaj piszą o snach.

- Czarną krowę ujrzeć, mleko się zwarzy. Wysokiego bruneta w ostrogach zobaczyć, szczęście

w miłości - przeczytał na głos Raymond.

- Nie to - zachichotał Lovecraft. - Dalej!

Diabeł przewrócił stronę. Jego umysł skulił się jak mały gryzoń osaczony przez jadowitego węża. Jak spętana siecią mucha, patrząca w ociekające jadem pajęczę szczęki. Na pergaminowych stronicach widniały ryciny, przedstawiające nieznane mu konstelacje gwiazd. Niegościnną przestrzeń kosmosu wypełniały kłębowiska macek, szczęk i pazurów.

Raymond starał się skupić wzrok na tekście, lecz przerażone sąsiedztwem rycin litery rozbiegły się na wszystkie strony.

- Tu jest napisane, że pradawne bóstwo Yogh-Urt zsyła na wybrańców gwiazdne ziarno w postaci snów - pomógł mu doktor.

Diabeł zatrzasnął księgę i zapalił kolejnego papierosa.

- Jakie ziarno?

- No, tak jak rolnicy, przypuszczam. Najpierw sadzą, potem zbierają plon - powiedziały uśmiechnięte usta Lovecrafta.

- I pan uważa, że ten Yogi... - zaczął Raymond.

- Yogh-Urt Błuźnierca, jeśli mamy się trzymać właściwej terminologii. Nie, nie uważam. Zapisy *Necronomiconu* traktuję raczej jako folklorystyczną ciekawostkę. Po latach badań sądzę, że niepokojące sny mieszkańców tych stron to raczej efekt ichtiosyndromu.

- Czego?

- Jedzą za dużo ryb - wyjaśnił doktor. - Jeszcze herbaty?

- Czyli to całe towarzystwo z mackami, którymi chyba chcą zbalansować jakiś kompleks, to zwykły wymysł?

- *Licentia poetica*, obawiam się. Nie byłoby przecież miło, gdyby te indywidua realnie istniały, prawda?

- Prawda - potwierdził diabeł, zazdroszcząc doktorkowi jego własnego, puszystego świata pełnego pingwinów. - Będę już się żegnał - dodał i ruszył do drzwi.

- Proszę wpadać, kiedy tylko ma pan ochotę. Upiekę sernik! - zawołał za nim Lovecraft.

W progu wesołego domku doktora Raymond zderzył się z mroźnym wiatrem. I z grupą rybaków, których przekrwione oczy nie wróżyły niczego dobrego.

VI

- Mamy drugiego - zakomunikował Józwa, ciągnąc Raymonda przez zalaną deszczem ulicę. Diabeł nie próbował już nawet omijać rosnących w niepokojącym tempie kałuż.

Rudowłosy rybak, który trzymał go za nadgarstek, parł przed siebie jak czołg, ciężkimi buciorami rozbijając w pył deszczową wodę.

- To Sindbad Żeglarz. Właśnie wrócił z rejsu. Szkoda chłopiny - zasmucił się Józwa, zatrzymując się przed stojącym nad brzegiem morza piętrowym budynkiem.

Otwartymi na oścież drzwiami szarpał wicher. Raymond ostrożnie przestąpił próg. W jego nozdrza uderzył nieprzyjemny, znajomy zapach.

- Krew. Tak śmierdzi krew - zwrócił się do Józwy.

- Fakt. Trochę jej tu mamy - mruknął rybak, wskazując schody prowadzące na piętro.

Mimo panujących w budynku ciemności diabeł dostrzegł ściekającą po nich wąską, czerwoną strużkę. Wyływała spod drewnianych drzwi na piętrze. Raymond dopadł do nich kilkoma skokami i pchnął.

Sindbad wisiał na ścianie. Rozciągnięte na boki nogi i ręce ktoś przybił do muru potężnymi gwoździemi. Z rozplatanego brzucha wypływały jelita, w malowniczy sposób okręcone wokół żyrandola i kilku domowych sprzętów. Diabeł miał wrażenie, że patrzy na najbardziej obrzydliwą pajęczynę w Zaświecie. Głowa żeglarza, odcięta jak w poprzednim przypadku, spoczywała wygodnie na stoliku pod oknem. Twarzą zwrócona była ku morzu.

- Myślę, że mogę gadać w imieniu większości - odezwał się drżącym głosem Józwa, wchodząc do pokoju. - Zaczyna nas to już trochę denerwować.

Diabeł gwałtownym gestem zatrzymał rybaka w progu. Wbił wzrok w krwawe plamy znaczące podłogę. A dokładniej w odcisnięte wśród nich niewielkie ślady stóp.

- Wchodziliście tu wcześniej? - zapytał Raymond.

- Gdzie tam - zapewnił Józwa. - Była tu tylko Roksana, dziewczyna Sindbada.

Biedulka, ledwie żywa ze strachu przyleciała do portu. Po nas.

- Ona nosi szpilki - powiedział diabeł, studiując ślady. - A tu mamy pięknie odbitą podeszwę męskiego, choć niedużego, buta.

Józwa przestąpił z nogi na nogę, gdy Raymond wpatrywał się w jego buciora. Były ze dwa razy większe od tych, które pozostawiły po sobie pamiątkę w kałuży krzepnącej krwi. Diabeł wyjął z kieszeni scyzoryk i jego ostrzem odłupał listwę ze stojącej obok szafy. Przyciął ją pod rozmiar buta i schował do kieszeni.

- Teraz wystarczy nam zabawić się w szukanie Kopciuszka - westchnął.

Józwa wzruszył ramionami.

- Jak się chceta bawić w szewca... - zaczął, ale Raymond uciszył go ruchem dłoni.

Schylił się, przechodząc pod rozwieszonymi na żyrandolu wnętrzościami, i zatrzymał w kącie pokoju. Od odoru krwi i widoku zaszlachtowanego żeglarza zrobiło mu się słabo. Bardzo słabo.

- Mówisz, że wam się śnią różne takie... - Wskazał na przybite do ściany zwłoki.

- Ja tam nie z tych, co zaraz gadają, ale mamy tak... - Rybak podrapał się w rudą szczecinę na podbródku. - Przyzwyczailim się już. Jedni mówią: klątwa. Inni, że zamiast oglądać horrory w kablówce, mamy swoje, za darmo. Oszczędniej wychodzi - zapewnił.

Diabeł spojrzał na rozgrzebane łóżko Sindbada i na leżącą na podłodze zakrwawioną pidżamę

w motylki.

- On najwyraźniej spał, kiedy to go dopadło - powiedział. - Nie jestem jeszcze na tyle zdesperowany, by twierdzić, że sny mają jakiś związek z morderstwami, ale...

- Santiago mieszkał na plaży - przerwał mu Józwa.

- Co?

- Chałupę przegrał w kości. Nie miał się gdzie podziać. Spał na plaży. Tam, gdzie go znaleźlim - mruknął Rybak.

Zapadła chwila krępującej ciszy.

- To tylko hipoteza, ale jeśli morderca kroi ich we śnie, lepiej uprzedź ludzi, żeby przez jakiś czas nie kładli się do łóżek - odezwał się w końcu Raymond.

- Do nocy jest jeszcze parę ładnych godzin, więc nie będzie problemu.

Józwa popatrzył na zwłoki i wzdrygnął się.

- Część chłopaków wróciła właśnie z parodniowego rejsu. Razem z Sindbadem. Są zmęczeni - powiedział cicho. Obrócił się na pięcie i wybiegł z pokoju.

Raymond podszedł do okna i otworzył je, wpuszczając trochę świeżego powietrza.

Od panującego tu smrodu krwi robiło mu się niedobrze. Wychylił się na zewnątrz, wystawiając twarz na chłodne uderzenia wiatru. Jego myśli pędziły w głowie jak wyścigowe charty goniące blaszanego zająca.

Odsunął się od okna i przewyciężając wstręt, nachylił się nad dziurą ziejącą w brzuchu Sindbada. Szukał czegoś, czego dawno już tam nie było.

VII

Przez następne dwie godziny snuł się po miasteczku razem z Józwą, odwiedzając domy rybaków. Nie spotkali się ze zrozumieniem. Nie jest łatwo przekonać faceta zmęczonego jak bocian podczas wyżu demograficznego, żeby nie kładł się do łóżka.

- Won! - ryczał potwornie zarośnięty marynarz o posturze pancernika

„Potiomkin”.

Jego żona załamana zabie dłonie.

- Jak się stary nie wyśpi, będzie źle. Zawsze jest - lamentowała skrzekliwym głosem.

- To dla twojego dobra, Maciuś - Józwa próbował łagodnie przekonać olbrzyma. -

Weź se telewizor pooglądaj albo co.

Maciuś naprężył mięśnie twarde jak okrętowe liny. Chwycił dębowy stół, przy którym z łatwością zmieściłaby się wielopokoleniowa rodzina, i zakręcił nim nad głową.

- Se gównu pooglądaj - zarechotał i cisnął meblem przez całą długość izby.

Dla Raymonda czas spowolnił bieg. Z niedowierzaniem patrząc na kilkadziesiąt kilogramów szybującego w powietrzu drewna, detektyw zrobił elegancki unik.

Wylądował wprost w miękkich objęciach starej Madejowej. Stół wylądował na Józwie.

Zapadła chwila krępującej ciszy.

- Przegiąłeś, Maciuś - wybełkotał rudzielec, gdy zgasły krążące wokół jego głowy gwiazdy. Wygramolił się spod strzaskanego mebla i rzucił na wielkoluda.

Diabeł musiał przyznać, że choć posunięty w latach, Józwa dawał sobie radę. Jego pięści jak cepy młóciły szczękę Maciusia. Po kilku rundach właściciel szczęki oklapł i osunął się na podłogę. Izbę wypełniło chrapanie.

- Chyba nie o to nam chodziło - mruknął Raymond, oswobodzając się z objęć Madejowej. Chwycił stojące w rogu wiadro z nieczystościami i wylał jego zawartość na głowę śpiącego Maciusia. Marynarz zabełkotał i otworzył oczy.

- Nie wolno spać - pogroził mu palcem diabeł.

Poklepał Józwę po obolałym ramieniu.

- Tak nie damy rady - stwierdził. - Pobaw się w budzik, a ja znajdę faceta z małymi stopkami - dodał i wyszedł z chałupy.

VIII

Gdyby jakiś zagubiony turysta pojawił się teraz w centrum Innsmouth, istniała szansa, że jego oczy wyskoczą z orbit i potoczą się po mokrym bruku.

W strugach ulewnego deszczu na środku głównej ulicy stał szarpany wiatrem plażowy parasol. Pod nim, na wydobytym skądś bujanym fotelu, siedział diabeł w postrzępionym płaszczu i dziurawym kapeluszu. Jego podbite oczy płonęły dziwnym blaskiem, a paskudnie rozcięte usta rozciągały się w uśmiechu. Tak uśmiechają się szaleńcy po pracowitej nocy, spędzonej w towarzystwie siekiery i kilku worków na zwłoki.

- Dziękuję za współpracę. Następny proszę - powiedział Raymond do stojącego przed nim rybaka. Facet miał spuchnięty nos i wybite przednie zęby. Pozostali marynarze, czekający grzecznie w kolejce, wyglądali jeszcze gorzej.

Takiego zestawu porozbijanych twarzy Innsmouth nie oglądało od czasów niesławnej wojny śledziowej. Zaczęło się od tego, że niejaki Waszyngton wysypał za burtę skrzynkę ryb, a skończyło na zrównaniu z ziemią połowy miasta i ogłoszeniu go Republiką. Na krótko zresztą.

- Dziękuję, następny - powtórzył diabeł, chwytając linijkę obandażowaną dłonią i mierząc stopę kolejnego rybaka. - Jeszcze raz przepraszam, że musiałem was pobić.

To się nazywa zastosowanie środków przymusu bezpośredniego - wyjaśnił.

Marynarze przestąpili z nogi na nogę i pokiwali głowami. Po lekcji boksu, jaką zafundował im Raymond, woleli się nie wychylać.

Diabeł daleki był jednak od zadowolenia. Uczepił się pomysłu z butem jak ostatniej deski ratunku. Nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, że deska jest już tak nasiąknięta wodą, że powoli ciągnie go na dno.

Ze zmęczeniem popatrzył na długą kolejkę rybaków. Do tej pory każda przebadana przez niego stopa była w niewłaściwym rozmiarze. I cuchnęła rybą.

Zaczynał rozumieć motywy księcia, który zniechęcony poszukiwaniem Kopciuszka uciekł z pokojówką. Podobno miała całkiem zgrabne nogi.

Raymond przykładał właśnie linijkę do kolejnego buta, gdy jego uszy wychwyciły krzyk, prawie niesłyszalny wśród szalejącego sztormu. Przez strugi deszczu toczyła się w jego stronę okrągła postać. Stara Madejowa dopadła diabła i rzuciła się na kolana.

- Zabili, zamordowali - zawyła.

Raymond zerwał się na równe nogi i nie pytając o nic, rzucił się w kierunku chałupy, w której Józwa miał bliskie spotkanie ze stołem. Wpadł do środka przez otwarte na oścież drzwi i ledwie zdążył wyhamować na śliskiej od krwi podłodze.

Maciuś leżał na łóżku. A raczej spoczywała tam większa jego część. Każda z kończyn marynarza przywiązana była grubym sznurem do jednej z nóg mebla.

Muskularny tors rozplątany został wzdłuż mostka. Brakowało głowy. Diabeł znalazł ją rzuconą w kąt izby. Wytrzeszczone, zastygłe w wyrazie przerażenia oczy spoglądały w górę. Jakby chciały zobaczyć gładko odpiłowany wierzch czaszki.

Raymond usłyszał dudniące na schodach kroki. Kilku rybaków zatrzymało się w progu. Spracowane dłonie jak na komendę powędrowały w górę i ściągnęły z głów czapki. Marynarze stali w pełnym grozy milczeniu, spoglądając na scenę zbrodni i jej jedyne obecnie aktora.

Diabłem wstrząsnęła fala mdłości. Oparł się o ścianę i wyrównał oddech.

- Znajdźcie mi Józwę. I Madejową - powiedział cicho, próbując opanować zawroty głowy.

Smród wydobywający się z rozkrojonego ciała szarpał jego żołądkiem.

Detektyw przecisnął się przez stłoczoną w progu ciżbę i wyszedł na zewnątrz.

Usiadł na zalanym deszczem ganku, skierował twarz ku niebu pokrytemu czarnymi chmurami.

Nie czekał długo. Któryś z rybaków przyprowadził trzęsącą się od płaczu Madejową. Pojawił się też Józwa. Rzucił tylko okiem na izbę, oparł się o ścianę i milczał.

- Co tu się stało? - zapytał diabeł szlochającą kobietę.

- Wyszliście, a stary chwycił za flaszkę. Pił długo, to i sen go morzył coraz bardziej.

W końcu, jak osuszył butelkę, powiedział, że ma ciebie i Józwę w dupie i walnął się na wyrko.

Zasnął jak aniołek - wydusiła z siebie splakana Madejowa.

- A pani co? Co robiła, jak spał?

- Siadłam i sieci naprawiałam. Drzwi skrzyknęły, obrócić się chciałam, zobaczyć, ale coś walnęło mnie w głowę. Upadłam, zasłabnąć musiałam. A jak się obudziłam, to... Maciuś nieżywy był... - Kobieta ledwie mówiła, wyczerpana łzami i szokiem.

Diabeł dostrzegł na jej skroni ciemniejszy siniak. Jak po uderzeniu pałką. Objął

Madejową ramieniem i podprowadził do któregoś z rybaków.

- Zajmijcie się nią. Opatrzcie - powiedział.

Marynarze zabrali kobietę i zniknęli w wylocie uliczki.

Raymond nasunął głębiej na oczy przemoczony kapelusz i spróbował zapalić wilgotnego papierosa. Bez skutku. Ręce trzęsły mu się zbyt mocno.

- On im... zabiera różne rzeczy - wyszeptał do Józwy. - Najpierw krew, potem serce. Teraz mózg - dodał.

- Po co? - Oczy rudzielca wyrażały mieszaninę niedowierzania i strachu.

Wyjął z kieszeni zapalniczkę i podał diabłu ogień. Raymond zaciągnął się głęboko i kiwnął głową z wdzięcznością.

- Gdybyś zapytał mnie o to na moim terenie, w Mieście, sięgnąłbym na półkę i wziął jedną z mądrych książek o seryjnych mordercach. Przeczytałbym ci o facetach, którzy zachowują się jak myśliwi. Biorą do domu kawałki ofiar. Jako trofea. Ale tutaj?

Nie wiem. Mam głupie przeczucie, że chodzi o coś więcej niż poroże jelenia do zawieszenia nad kominkiem - powiedział diabeł.

- U nas, na morzu, czasem warto wypatroszyć jedną rybę, żeby zwabić inne.

Większe. - Józwa poskrobał się po podbródku.

Diabeł wstał, rzucił na ziemię niedopałek i przydeptał.

- Bierzmy się do roboty - powiedział.

Jednak to robota wzięła się za nich.

Niebo rozdarła błyskawica, a ziemia osunęła im się spod nóg. Raymond stracił równowagę i runął wprost do rynsztoka. Zanim zdążył pomyśleć: „Właściwy człowiek we właściwym miejscu”, trzasnął drugi piorun. Całe miasto dygotało, jakby nazarło się starej fasoli. Grunt wibrował pod nogami, z domów spadały dachówki. Gdzieś niedaleko runęło drzewo.

- Co to? Trzęsienie ziemi? - Diabeł starał się przekrzyczeć nadciągający nad miasto huragan.

- Raczej matka wszystkich trzęsień - zawołał Józwa, uskakując przed spadającym kawałkiem gzymsu.

Dzikim kłusem pobiegli między sypiącymi się budynkami w stronę plaży, na otwartą przestrzeń. Gdy przebiegali obok ratusza, Raymond kątem oka zarejestrował

kolejną, przecinającą niebo błyskawicę. Ta była bardziej precyzyjna niż jej koleżanki po fachu. Uderzyła wprost w wieżę, krzesząc fontannę iskier i wybijając w murze ogromną dziurę. Diabeł był

szybki, uskoczył w bok i przeturlał się pod gradem odłamków. Józwa nie miał tyle szczęścia. Znikł pod toną potrzaskanych cegieł.

Raymond poderwał się z ziemi, dopadł do rumowiska i nie zważając na kolejne pioruny, z uporem maniaka bijące z czarnego nieba, zaczął kopać. Po chwili wytężonej pracy jego poranione dłonie pod zwałem cegieł natrafiły na coś miękkiego. Wydobył

nieprzytomnego rybaka na powierzchnię i zaciskając zęby, zarzucił go sobie na grzbiet. Ignorując jęki przeciążonego ponad zdrowy rozsądek kręgosłupa, dobiegł do plaży. Położył Józwę na piasku i z trzaskiem wyprostował obolałe plecy. Ziemia miotła się pod jego stopami jak ryba wyrzucona na brzeg. Spojrzał na stojących wokół rybaków. Nie patrzyli na swoje rozpadające się miasto, na walące się domy.

Wzrok skupili na morzu.

A raczej na przyczynie nagłych wstrząsów, która właśnie wyłaniała się spośród rozszalałych fal.

IX

Wyrastający z morskich bałwanów kształt piał się ku górze, ostrym czubkiem celując w niebo. Stojący na brzegu obserwatorzy podświadomie czuli, że mrowienie ich karków nie jest spowodowane wyładowaniami atmosferycznymi ani szalejącym wokół sztormem.

Źródło prawie materialnego lęku, który chłodził ich kręgosłupy, tkwiło tam, pośród fal, w ogromniejszej w oczach czarnej piramidzie. To, co sprawiało, że dusze chciały uciec przez wszelkie dostępne otwory ciała, miało swój początek w szpecących gładkie ściany płaskorzeźbach. Dusza Raymonda, który oglądał już dzisiaj te kształty na zakazanych kartach *Necronomiconu*, preferowała najwyraźniej jeden otwór. Ten tylny.

Drgania gruntu nagle ustały. Ociekająca wodą, połyskująca w ostatnich promieniach słońca piramida znieruchomiała. Morze rozbijało swe stalowoszare fale o jej krawędzie. Diabeł dostrzegł, jak granatowe burzowe chmury rozstępują się nad czubkiem budowli. Pojedyncza błyskawica opadła z nieba i uderzyła w czarny ostrosłup. Błękitne iskry spłynęły po jego ścianach.

- Mamy problem - odezwał się nieśmiały głos za plecami Raymonda.

- Co ty nie powiesz? - Diabeł obrócił się, lustrując wzrokiem niewysoką figurkę.

Doktor Lovecraft wyglądał jak ktoś, kto zapomniał wysłać kuponu ze zwycięskimi numerami totolotka. Smutek wyzierał z każdej szczeliny jego ciała. Ponadto doktor najwyraźniej przeżył kolizję z pociągiem dalekobieżnym. Jego niegdyś starannie zaczesane włosy sterczały teraz we wszystkie strony, uwalane błotem. Przemoczona do suchej nitki koszula, podarta w strategicznych miejscach, odsłaniała niecodzienną kolekcję sińców i zadrapań.

- Skradziono go - oznajmił doktor, poprawiając na nosie stłuczone okulary.

- *Necronomicon*? - zawył Raymond.

Lovecraft pokiwał smutno głową.

- Piekłem akurat babeczki z makiem i... - zaczął.

- Przepraszam, ale nie obchodzą mnie teraz pańskie kulinarne wyczyny - przerwał mu diabeł.

Gorączkowo rozejrzał się po plaży. Dopadł do nieprzytomnego Józwy i usiadł na nim okrakiem.

- Wstawaj! - zawołał. - Potrzebuję transportu.

Niestety, rudzielec sprawiał wrażenie kogoś, komu bliżej raczej na cmentarz niż w morską podróż.

- Wy! - wrzasnął Raymond w kierunku zbitej grupy rybaków. - Dajcie mi łódź!

Trzeba płynąć... Tam! - Wskazał piętrzącą się ponad falami piramidę.

Marynarze odsunęli się od niego z lękiem. Wyglądali jak myszy, które ktoś stara się namówić do ataku na wyjątkowo głodnego kota.

- Ja popłynę - rozległ się za ich plecami basowy głos. Kapitan Ahab przepchnął się przez tłum i stanął przed diabłem. - Stawimy czoło Białemu Wielorybowi na jego terenie - powiedział, wodząc wokół nieprzytomnym wzrokiem.

- Całe życie z wariatami - westchnął Raymond. - Co tylko chcesz, bylebyś zabrał mnie do tej cholernej piramidy.

Kierowany nagłym impulsem, chwycił za kołnierz doktora Lovecrafta.

- Płynie pan z nami. Mogę potrzebować tłumacza - oświadczył i wyszczerzył zęby w uśmiechu faceta, któremu jest już wszystko jedno.

Kuter Ahaba nie był szczytem najnowszej techniki. Właściwie wyglądał, jakby unosił się na falach wyłącznie dzięki sile woli właściciela. Po prawdzie również dzięki pakułom ze starych gazet, którymi kapitan pozapychał co większe dziury w drewnianej burcie.

- Niezły, co? - zagaił Ahab. - Znalazłem go w Zatoce Persów, sześć metrów pod falami. Nazywa się „Pequod”.

- Co to znaczy? - zaciekawił się Raymond.

- Nie wiem, ale mój pies wydawał taki dźwięk, kiedy się zadławił własną sierścią - wyszczerzył żółte zęby kapitan.

Diabeł wzruszył ramionami, przeszedł po wąskim trapie i ostrożnie postawił na pokładzie lewe kopyto. Pokład się nie zarwał, więc dostawił prawe i drobnymi krokami przeszedł na rufę. Wcisnął się pomiędzy zwoje śmierdzących rybą lin i skinął

dłonią na Lovecrafta. Doktorek wszedł na kuter z miną sierżanta liniowego, któremu rozkazano utrzymać wysuniętą na terytorium wroga placówkę. Placówkę, którą właśnie atakują oszalałe od zapachu krwi nieprzyjacielskie hordy, podczas gdy on do pomocy ma tylko kulawego dobosza i ślepego na jedno oko wojskowego kucharza. Nie odzywając się ani słowem, Lovecraft zajął miejsce w maleńkiej, chroniącej od deszczu kabinie i jeszcze raz spojrzął na Raymonda. Z jego wzroku wyczytać można było, że dobosz właśnie poległ na barykadzie.

Ahab wszedł na pokład jako ostatni i śmiejąc się głośno, zapuścił silnik spalinowy.

Ustawił się przy sterze i chłostany zimnym wiatrem, zaczął śpiewać jakąś potworną marynarską piosenkę.

Kuter odbił od brzegu i wziął kurs na wystającą z wody czarną budowlę. Diabeł patrzył na przelewające się przez burtę fale i czuł, że coś dziwnego dzieje się w jego żołądku. Miał wrażenie, że zamieszkało w nim małe futerkowe zwierzątko, które właśnie usiłowało umościć sobie tam legowisko. W miarę, jak odpływali od brzegu, łódź kołysała coraz bardziej, a zwierzątko kręciło się w kółko i drapało pazurkami.

Choć Raymond opierał się mdłościom w naprawdę bohaterski sposób, w końcu nadszedł moment, kiedy morze upomniało się o jego obiad. Targany spazmami, przechylony przez mokrą od słonej wody burtę, usłyszał, że kapitan woła coś do niego.

- ...morską! - darł się Ahab, starając się przekrzyczeć ryk fal.

- Co? - Diabeł był w stanie wydusić z siebie ledwie jedną sylabę.

- Powiedziałem, żebyś nie udawał, że masz chorobę morską! - zawył kapitan.

Przytrzymał koło sterowe lewą ręką, a prawą przywiązał do niego naprężoną linę.

- Autopilot - ryknął zadowolony z siebie i ruszył w stronę diabła.

Choć kuter bujał się jak kołyska dziecka po czubki uszu nafaszerowanego amfetaminą, Ahabowi najwyraźniej to nie przeszkadzało. Ruszył do przodu pewnym krokiem mimo protezy nogi. Zanim wtulony w burtę Raymond zdążył się podnieść, muskularna sylwetka kapitana pochyliła się nad nim niczym ptak wypatrujący w wodzie swojej ofiary. Strugi deszczu ściekały po nastroszonych bokobrodach Ahaba, zalewały mu oczy świecące jak latarnie morskie. Diabeł miał wrażenie, że spogląda w ślepią chorego na wściekliznę rekina.

- Poznałem cię od razu, Biały Wielorybie - wydyszał kapitan, unosząc dłoń, w której ścisnął groźnie wyglądający harpun. Diabeł mógł się założyć, że został on odpowiednio naostrzony.

Łódź przechyliła się, Raymond wykorzystał ten moment i przetoczył w bok.

Harpun uderzył w pokład i wbił się do połowy. Niezrażony tym Ahab wyszarpnął skrywany pod płaszczem nóż. Musiał mu służyć do patroszenia naprawdę dużych ryb.

- Albo śmierć wielorybowi, albo łódź w drzazgi! - krzyknął kapitan.

Diabeł sięgnął pod pachę, w miejsce, w którym zazwyczaj znajdowała się kabura, ale jego palce wyczuły tylko pustkę. Był przecież na urlopie i rewolwer zostawił w domu, cholera. Gorączkowo obmacał pokład dookoła. Jego dłoń zacisnęła się w końcu na grubej pętli ze sznura.

- Dla mnie ten Biały Wieloryb jest murem, co tkwi nade mną. Dręczy mnie, przytłacza mnie. Widzę w nim moc urągliwą, wspartą przez niedocieczoną złośliwość.

Owa rzecz niepojęta jest właśnie tym, czego głównie nienawidzę. I czy Biały Wieloryb jest sługą, czyli też samym pryncypałem, wywrę na nim tę nienawiść - kontynuował

Ahab z obłędem w oczach i zamachnął się nożem.

Diabeł mocniej chwycił pętlę przymocowaną do twardej, drewnianej boi i poderwał ją do góry. Uderzył prosto w roześmiane usta szaleńca. Ahab zachwiał się i runął na deski pokładu. Diabeł odbił się z obu nóg i wylądował na jego klatce piersiowej. Młócił pięściami z wyćwiczoną przez lata szybkością. Twarz kapitana błyskawicznie zmieniła się w mielonkę.

- On... obiecał... ja... zwycięzę... - wył Ahab pomiędzy kolejnymi ciosami. W końcu oczy zasły mu mgłą i oklapł jak śnięta ryba.

- Było tyle nie gadać - wydyszał zmęczony diabeł.

Wstał i wyprostował plecy. Spojrzał w białą jak papier twarz Lovecrafta, wyglądającą z kabiny.

- Dzięki za pomoc - rzucił w jego stronę, chwycił zwój liny i mocno związał kapitana.

- Wszystko chyba dobrze się skończyło? - Doktor uśmiechnął się nieśmiało. - Złapaliśmy zbrodniarza!

- Jakoś trudno mi uwierzyć, że kapitan jest naszym wesołym mordercą. Ma tylko jedną nogę, a ślady mówiły co innego. Poza tym została jeszcze ta cholerna piramida. -

Raymond wskazał kierunek ręką i zamarł w pół słowa.

Lovecraft zbladł jeszcze bardziej. Rozpędzony kuter pruć wprost na czarną, połyskującą zielonkawą poświatą ścianę.

- Z brzegu nie było widać, że to jest takie wielkie - szepnął diabeł, patrząc na rosnącą w oczach budowlę.

Wstrząsnął nim dreszcz, który nie miał nic wspólnego z zimnym wiatrem i deszczem. Raymond doskonale wiedział, że dreszcz wywołały dobrze widoczne z tej odległości rzeźby, którymi pokryte były ściany piramidy.

- Umiesz sterować tą łódką? - zawołał diabeł, starając się nie myśleć o tym, na co właśnie patrzyły jego oczy.

Doktor nie odpowiedział. Też patrzył na piramidę. Tak jak on mogłaby spoglądać tylko mysz zagoniona przez kota w róg pokoju. Pod warunkiem, że kot składałby się z kilkudziesięciu połyskliwych, najeżonych kolcami macek, kilkunastu szczęk pełnych ostrych jak igły zębów i mnóstwa oczu, w których odbijała się najstarsza część wszechświata. Jednak to nie było najgorsze.

- One... Te płaskorzeźby... - odezwał się Lovecraft.

- Poruszają się - dokończył słabym głosem Raymond.

W tej samej chwili rozpędzony kuter uderzył w podstawę piramidy.

XI

Kompletnie przemoczony diabeł uniósł obolałą głowę. Na skroni rósł mu piękny guz, a plecy bolały jak po wizycie u pijanego kręgarza. Ostrożnie wstał i jęknął. Wszędzie dookoła leżały drzazgi i kawałki desek. Kuter był kompletnie strzaskany. Poza jednym elementem. Kabina, w której ukrył się Lovecraft, wyszła z kraksy bez szwanku.

Doktorek otworzył drzwi i wystawił na zewnątrz twarz bez jednego nowego zadrapania.

- Tośmy mieli szczęście - zaczął, lecz zamilkł na widok Raymonda, w którego oczach właśnie zapaliło się ostrzegawcze światło.

Diabeł złapał za ramiona wciąż nieprzytomnego Ahaba, przeciągnął go po mokrym piasku i złożył u stóp piramidy.

- Proszę spojrzeć tam! - zawołał doktor i wskazał ręką kierunek.

Niedaleko miejsca, w którym wylądowali, w czarnej ścianie budowli widniał trójkątny otwór. Wyciekała z niego zielonkawa, gęsta mgła. I jeszcze coś. Prawie namacalny lęk w czystej, skondensowanej postaci.

- Takich rzeczy zawsze mi brakowało w wesołych miasteczkach - mruknął Raymond.

Lovecraft wygramolił się z kabiny i z widocznym obrzydzeniem zeskoczył na pokryty martwymi wodorostami piasek.

- Chciałbym zauważyć, że pakujemy się w niezłe tarapaty - powiedział cicho.

- Jeśli tarapaty, o których mówisz, mogą rozpuścić ci mózg i wypić go przez wetkniętą w ucho słomkę, to chyba masz rację - uśmiechnął się smutno Raymond.

Podszedł do wejścia, ostatni raz popatrzył na wzburzone morze i wkroczył do piramidy. Lovecraft, chcąc nie chcąc, podreptał jego śladem.

Wnętrze budowli powitało ich kolejnymi ruchomymi płaskorzeźbami. Pod powierzchnią ścian przesuwały się istoty, o których diabeł mógłby powiedzieć jedną rzecz - z pewnością chciały wydostać się na zewnątrz. Nie była to dobra wiadomość.

- Proszę spojrzeć - wyszeptał Lovecraft, wskazując wykute na ścianach korytarza dziwne litery.

- Mam nadzieję, że to informacja dla turystów - powiedział Raymond. - Toalety na lewo, płatno obola od osoby. Taras widokowy na pierwszym piętrze - dodał.

- Niestety, to raczej rodzaj ostrzeżenia. Wchodzący do piramidy zostaną obdarci ze skóry, ich rozcięte brzuchy wypełnione zostaną wrzącym ołowiem, ich członki odcięte...

- Co? - krzyknął diabeł.

- W znaczeniu nogi i ręce. - Doktor z niesmakiem wydał usta. - Następnie zostaną paleni ogniem, ćwiartowani, pożarci przez demony, a w końcu zabici...

- W końcu? - zdziwił się Raymond.

- Zabici przez TKZWDP - dokończył Lovecraft grobowym głosem.

- TKZWDP?

- Tego, Który Zabija Wchodzących Do Piramidy, rzecz jasna - wyjaśnił doktor.

- Ach, tego gościa. - Diabeł czuł, że bliski już jest bieganina w kółko, ubrany tylko w kalesony babuni i polewania się gorącą czekoladą. - To chyba znam jego brata.

Mieszka po sąsiedzku. Chłopaki wołają na niego HWDP... - urwał nagle i wsłuchał się w niesiony ciemnymi korytarzami ryk.

- Myślę, że żarty już się skończyły - wyszeptał Lovecraft.

- Ja wcale nie żartuję - zapewnił Raymond.

Rozejrzał się po przedsionku piramidy. Z miejsca, w którym stali, prowadziła w dół wąska, wykuta w kamieniu ścieżka.

- Po prostu cicho i ostrożnie pójdziemy tędy - zaproponował.

- Ojejku - jęknął doktor.

To „ojejku” wcale się diabłu nie spodobało. Zwłaszcza że towarzyszył mu niepokojący chrobot przesuwających się pod nimi skał.

Lovecraft z niewinną miną wskazał wystającą ze ściany dźwignię. Tę, o którą przed chwilą niechcący się oparł.

Jak ja tego nienawidzę - zdążył pomyśleć diabeł, zanim podłoga uciekła im spod nóg i obaj runęli w czarną czeluść.

XII

Ktoś nie pozwalał mu spać. Szarpał go za ramię i wypowiadał jakieś słowa. Jak zwykle w takich przypadkach Raymond machnął pięścią i jak zwykle trafił nią w czyjaś szczękę.

- To wcale nie było miłe - poskarżył się Lovecraft.

Diabeł otworzył oczy. Ze zdumieniem stwierdził, że nie znajdował się wcale we własnym łóżku i nie miał kaca. Coś było nie tak. Rozejrzał się dookoła nieprzytomnym wzrokiem. No tak. Nieprzyjemna prawda dotarła do niego jednocześnie z chłodem, dotykiem lepiącego się do ciała mokrego ubrania i widokiem tych przeklętych, ruchomych płaskorzeźb.

- Cholerna piramida - mruknął diabeł, gramoląc się na nogi i wypluwając chrzęszczący w zębach piasek.

- Przytomność pan stracił. Przy upadku - wyjaśnił urażony Lovecraft, który przez cały czas masował szczękę. - Ale nie jest źle. Uderzył pan o kamień, ale szczęśliwie czaszka wytrzymała.

- Nie jest źle - powtórzył Raymond, rozglądając się dookoła.

Komnata tonęła w mroku. Jedynym źródłem światła były fosforyzujące kamienie, w które tak szczęśliwie uderzył diabeł.

- Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jesteśmy? I po co naciskałeś tę nieszczęsną dźwignię? - zapytał Raymond.

- Dźwignię nieumyślnie. A jeśli chodzi o pierwszą część pytania, mogę udzielić tylko szczątkowej odpowiedzi. Kiedy pan był nieprzytomny, rozejrzałem się trochę.

Znalazłem inskrypcję, że znajdujemy się w komnacie oczekujących - stwierdził doktorek.

- Oczekujących na mocną kawę? Z mlekiem? - zainteresował się diabeł. Jego głos nie wyrażał jednak żadnej nadziei.

- Obawiam się, że oczekiwanie, o którym mówimy, ma związek z dość przedwczesną, ale za to brutalną śmiercią.

Lovecraft podniósł jeden ze świecących kamieni i przybliżył go do ściany, pokrytej przypominającymi pająki literami.

- Proszę spojrzeć tutaj. Tu znów piszą o TKZWDP. A tu... - Doktor oświetlił dalszą część ściany i zamilkł.

- Komiks - ucieszył się Raymond, spoglądając na fresk.

Rysunek przedstawiał kilkanaście skutych łańcuchami żab, niepokojąco podobnych do mieszkańców Innsmouth. Na następnym obrazku żaby kuliły się ze strachu, wtulając się w siebie nawzajem. Na kolejnym fresku do jeńców podchodziła tłusta, wypasiona wręcz żaba przystrojona w spódniczkę z wodorostów. Diabeł był

wdzięczny za to, że spódniczka zasłaniała co bardziej wstydlive części ciała. Żaba unosiła bat, pędząc więźniów przez długi, zakończony podniesioną kratą korytarz. W

finale historyjki żabi kapłan, ubrany w coś, co kiedyś musiało być stadem mew, zakrzywionym nożem wykrawał z jeńców serca i mózgi. Za jego plecami z morskich fal wystawały znane już Raymondowi macki i szczęki.

- Coś mi się wydaje, że te bohomyzy zyskały właśnie na aktualności - mruknął diabeł.

Doktorek otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz jego słowa zagłuszył przeraźliwy zgrzyt metalu trącego o kamień. Raymond był pewien, że gdzieś, gdzie nie sięgał blask świecących kamieni,

właśnie otworzyła się krata, którą przed chwilą oglądał

uwiecznioną w starożytnym komiksie. Nie dane było mu jednak wyrazić tego spostrzeżenia. W lewe ucho krzyknął mu przerażony doktor Lovecraft. W prawe ryknęło coś znacznie groźniejszego. TKZWDP.

Spojrzenie w jego twarz kosztowało diabła kilka siwych włosów. Facet wyglądał jak dziecko Nosferatu i pani Krysi z mięsnego. Gnijąca skóra odpadała płatami z owiniętej dziurawymi bandażami czaszki. Zakończony czarnymi pazurami dłonie wyciągnęły się w kierunku Raymonda.

- O żesz mumia twoja mać - wyrzucił z siebie diabeł.

Rozwarta na niecodzienną szerokość paszcza, wypełniona pieńkami gnijących zębów, ryknęła ponownie, otaczając detektywa chmurą smrodu, którą Unia Zaświatów z pewnością uznałaby za broń biologiczną.

Niewiele myśląc, diabeł również wrzasnął prosto w pysk owiniętego bandażami faceta i potraktował go prawym prostym. TKZWDP potrząsnął łbem i wyciągnął

uzbrojone w pazury ręce. Raymond walnął go z drugiej strony, tym razem wyrwanym Lovecraftowi świecącym kamieniem. Czaszka potwora wydała przyjemny dla ucha trzask pękającej kości.

- Nie było tak trudno - stwierdził zaskoczony Raymond, gdy monstrum zważyło się na ziemię.

Ledwie skończył mówić, TKZWDP z wrzaskiem poderwał się i zacisnął mu szpony na gardle.

- Dobra! Odwołuję, co powiedziałem! - wycharczał diabeł, wbijając zakrzywione kciuki w oczy potwora. Głową uderzył w pysk mumii, a kolaniem w jej brzuch.

TKZWDP zgiął się w pół, ale nie puścił. Jego uścisk odciął diabłu dopływ tlenu.

Raymond, walcząc z ogarniającą go paniką, prawą pięścią tłukł przeciwnika w bebech, a lewą w szczękę. Bez efektu. Czując, że traci przytomność, kolejny raz uderzył

kolaniem. Tym razem prosto między nogi potwora.

TKZWDP wydał z siebie przeciągły, wibrujący w uszach pisk. Jego chwyt osłabł, ciało zwiotczało. Po raz drugi runął pod nogi diabła. Tym razem Raymond nie marnował czasu na gadanie. Zacerpnął szybko powietrza i pozwolił nogom roznieść w puch leżące przed nimi ciało. Kopał z taką szybkością, że gdyby do piramidy przypadkiem zabłąkał się trener pierwszoligowego zespołu piłkarskiego, padłby na kolana i zrobił wszystko, by zatrudnić diabła na kontrakcie napastnika w swojej drużynie.

Po kilku minutach Raymond uspokoił się. Spojrzał na smętne, walające się wokół szczątki i splunął.

- Starożytni faceci nie umieją walczyć - rzucił do sparaliżowanego strachem Lovecrafta i uśmiechnął się szeroko.

Doktor, nie mogąc wydusić z siebie słowa, gorączkowo gestykulował, wskazując resztki TKZWDP. Diabeł spojrzał na nie uważnie i poczuł, jak coś mrozi mu szpik w kościach. Rozerwane jego butami tkanki z powrotem łączyły się w całość, połamany szkielet zrastał się, a oczy monstrum ponownie zabłysły morderczym blaskiem.

- Ty wiesz co, doktor? - odezwał się cicho Raymond. - Spadamy.

Chwycił Lovecrafta za kołnierz i ruszył w stronę, z której wcześniej dobiegł ich dźwięk otwierającej się kraty. Przebiegł kilka kroków, lecz tknięty nagłym impulsem zatrzymał się. Wrócił i stanął nad odradzającym się ciałem TKZWDP. Wyszczерzył

zęby i sięgnął w dół. Złapał za nogę potwora i oderwał ją od ciała. To samo zrobił z drugą. Obie kończyny wręczył roztrzęsionemu doktorowi.

- Trzymaj. To da nam przewagę na starcie - mruknął, pomachał zaskoczonemu monstrum i pobiegł w ciemność.

XIII

Pędzili wznoszącym się ku górze, szerokim korytarzem. Diabeł kilka razy pośliznął się na zgniłych wodorostach, ale nie miał czasu nawet zakląć. Kiedy masz świeżo w pamięci obraz mordy TKZWDP, zależy ci przede wszystkim na szybkości. Byli tak dumni ze swojego tempa, że w myślach zaczęli nawet rozważać swój przyszłoroczny start w olimpijskim biegu o puchar Hermesa.

I wtedy na ich drodze pojawiła się nieprzyjemna niespodzianka. Miała postać sterty śniętych śledzi i tarasowała całe przejście. Raymond oczywiście nie zdążył

wyhamować i wbił się w nią do połowy ciała. Lovecraft też nie miał szczęścia. Fiknął koziołka i wylądował na plecach. Wypuścił nogi TKZWDP, które poszybowały w górę i upadły wydając dźwięk, jaki ktoś z wyobraźnią nazwałby „lepkiem”.

- To cholernie niewłaściwe miejsce na sklep rybny - wybełkotał diabeł, gramoląc się ze sterty i wypluwając połówkę śledzia.

Doktorek odkleił śliską od śluzu rybę od policzka i westchnął.

- To z pewnością da się wytłumaczyć naukowo. Piramida była pod wodą i śledzie były pod wodą... Ławica musiała wpłynąć do środka, a potem...

- Tak, to z pewnością ciekawe. Może się z tego habilitujesz. Pod warunkiem, że jakiś starożytny maniak nie urwie ci wcześniej łba - przerwał mu Raymond. - A mówiąc o maniakach... - wskazał na drgające kończyny TKZWDP.

Nogi potwora podskoczyły i stanęły pewnie na ziemi. A potem...

- Co one robią? - wyszeptał Lovecraft.

- Stepują. Ta impreza robi się coraz ciekawsza - odparł zrezygnowany diabeł, patrząc na nogi tańczące wśród martwych śledzi.

- Może by tak je złapać?

- Ty pierwszy.

Lovecraft wzruszył ramionami i ostrożnie zbliżył się do podrygujących nóg.

Natychmiast zarobił potężnego kopa w czoło i przysiadł z wrażenia. Nogi nawet nie straciły rytmu.

W tym samym momencie diabeł dostrzegł, że nie są już sami. W wylocie korytarza pojawiły się płonące nienawiścią oczy TKZWDP. Potwór czołgał się w ich stronę, zgrzytając pazurami o kamienną podłogę. Raymond rzucił w niego śledziem. Było mu już wszystko jedno. Doktor pisnął, poderwał się z ziemi i zaczął przekopywać się przez górę ryb. Bez skutku. To była naprawdę duża ławica.

TKZWDP podpełznął bliżej. Jego nogi wyczuły wreszcie właściciela i zbliżyły się do niego tanecznym krokiem. Potwór odbił się z obu rąk, wyskoczył w powietrze i wylądował wprost na kończynach, za którymi zaczął już pewnie tęsknić.

- No to po nas - wybełkotał Lovecraft z ustami pełnymi ryb.

- A co? Chcesz żyć wiecznie? - rzucił Raymond.

Podbiegł i przyładował monstrum między oczy.

Potem jeszcze raz. TKZWDP błyskawicznie zamknął go w uścisku silnych ramion.

Z diabła uszło całe powietrze, a przed oczyma zaczęły wirować kolorowe gwiazdki.

Kręgosłup trzeszczał ostrzegawczo. W głowie słyszał głos Paniki, starej znajomej, która mówiła mu, że zaraz umrze. Tutaj, w zimnej piramidzie, na stosie śniętych śledzi.

Do jego uszu dotarło jednak coś jeszcze. Dźwięki melodii, która sprawiła, że wirujące przed

jego oczyma gwiazdki zmieniły się w białe panienki w sterczących prostopadle do bioder spódniczkach.

Doktor Lovecraft stał pośród góry śmierzących ryb i śpiewał. A właściwie nucił, jednak jego głos spotęgowany przez starą dobrą Panikę niósł się głośno po czarnych korytarzach. Nie znał żadnych popularnych piosenek, ale przynajmniej raz w miesiącu chodził do teatru na balet. Złośliwi mówili, że to z powodu obcisłych spodni tancerzy. Tak czy inaczej, z ust doktora płynęła teraz muzyka jednego z najpopularniejszych baletów Zaświatu, *Jezióra łabędziego*.

Ze zdziwieniem diabeł spostrzegł, że może złapać oddech. Uścisk potwora zelżał, a jego nogi płynnie złapały rytm. Zszokowany Raymond wyswobodził się z objęć TKZWDP i patrzył. Monstrum zaczęło się rozkręcać. Wycinało figury baletowe z gracją, jakiej mogłaby mu pozazdrościć nawet anorektyczna panienka, która od lat niszczy sobie kręgosłup w szkole tańca.

- Ty, doktor, nie waż się przestać - wysapał diabeł, łapiąc ciężko powietrze.

Z desperacją kogoś, kto wyobraża sobie swój przyszły rachunek od psychiatry, rzucił się w stronę sterty śledzi i w kilka sekund przekopał się na zewnątrz.

- Postaram się po ciebie wrócić - zawołał i pobiegnął w górę korytarza.

XIV

W normalnych okolicznościach wyrzucenie z umysłu obrazu tańczącego TKZWDP zajęłoby dziesiątki sesji terapeutycznych. Okoliczności, w jakich znalazł się Raymond, normalnymi nazwać jednak nie mógłby nawet pensjonariusz azylu dla psychicznie chorych „Moc Elektrowstrząsów”. Choć byli tam tacy, którzy nazwaliby je „w miarę zwyczajnymi”.

Raymond nie należał jeszcze do tego ekskluzywnego klubu, dlatego pozbycie się z głowy obrazu TKZWDP przyszło mu dość łatwo. Z podobną łatwością człowiek atakowany przez dużego psa przestaje się go bać w chwili, gdy na horyzoncie pojawia się wściekły maniak z piłą mechaniczną. Po prostu nie ma już na to czasu.

Widok otwierającej się przed nim ogromnej komnaty sprawił, że resztką drzemiącej w diable odwagi spakowała walizki i wyprowadziła się gdzieś daleko. Nie chodziło już nawet o przesuwające się w ścianach węzowe sploty, szpony i kły. Do tego zdążył się już przyzwycząić. Chodziło o coś mniej namacalnego. O czysty, pierwotny lęk, który zdawał się wypełniać wysokie na dziesiątki stóp pomieszczenie. Diabeł

prawie mógł zobaczyć, jak groza skrapla się na czarnych kolumnach, jak spływa po błyszczących symbolach zdobiących posadzkę. Był też dźwięk. Niepokojący, dudniący odgłos niósł się po całej komnacie. Raymond zmusił się do usztywnienia zmiękłych nagle kolan i zrobił krok w przód.

Pisk, jaki rozdarł powietrze, nie był dla niego dużym zaskoczeniem. Coś takiego po prostu musiało się wydarzyć. Ze spokojem desperata, stojącego na szczycie wieżowca tuż przed skokiem w dół, patrzył na ciemne kształty, które oderwały się spod sufitu.

Na mknące ku niemu, pełne ostrych zębów paszcze. Na oślizgłe skórzane skrzydła. I płonące oczy, w których odbijały się krajobrazy najgorszych rejonów Piekieł.

Nawiasem mówiąc, najgorszym miejscem w Piekle była niewątpliwie szkoła podstawowa, do której w młodości zmuszony był uczęszczać Raymond. Przez długie lata starał się zapomnieć o jej śmierdzących pastą do podłóg korytarzach wyłożonych płytkami PCV. O klasach, których ściany pomalowane były do połowy wysokości upiorną zielonkawą farbą. O zakurzonych kredowym pyłem, porysowanych tablicach.

O sali gimnastycznej z krzywymi, odpadającymi klepkami i trzeszczącymi drabinkami, na których kazał mu ćwiczyć wiecznie pijany kapral Jodełka, zatrudniony na pół etatu sadysta od wychowania fizycznego. Ale Jodełka nie był najgorszy. W oczach pikujących w jego stronę potworów Raymond dostrzegł twarz wychowawczynie klasy, pani Grzechotnik. Twarz, która stała się niedościgłym wzorem dla facetów pracujących przy efektach specjalnych w horrorach. Nic dziwnego, że krzyknął.

- I co się drze? Niegotowe jeszcze - warknął jeden z Piekielnych Pterodaktyli, lądując obok diabła.

- Co? - zapytał inteligentnie Raymond.

- Piekiełko! - zarechotał pterodaktyl, wyraźnie ubawiony swoim dowcipem. - Na trzy zmiany robimy, a i tak nie wyrabiamy. Poczekać trzeba.

- Oczywiście, oczywiście.

Diabeł spojrzał na lądujące dookoła potwory. Wszystkie miały uwalane atramentem pazury i ścinki papieru pomiędzy zębami. W ciemnościach wypełniających komnatę rozpoznał kształty pracujących maszyn. To one wydawały ten dudniący dźwięk.

- To jest... drukarnia?

- Nie, basen dla matek z dziećmi - wyszczerzył kły pterodaktyl. - Zamówiliście te cholerne ulotki i plakaty, to drukujemy, nie?

- Dobrze, bardzo mnie to cieszy - powiedział ostrożnie diabeł, zagłębiając się w ciemności.

- Będą gotowe na wtorek! - zawołał za nim piekielny gad.

Raymond podszedł do sterty papieru leżącej przy jednej z maszyn. Jeszcze mokry od farby plakat kusił wdziękami rozebranych do pasa modelek i hasłem: „Odwiedź

Przerażającą Piramidę! Idealne wakacje w Innsmouth!”.

- I jak? - zaciekawił się pterodaktyl, zaglądając diabłu przez ramię.

- Najlepsze pisze się przez „sz” - stwierdził cicho diabeł.

- Gdzie?

- Tutaj: „Najleprze pokoje u szeryfa Kleofasa Miksa” - przeczytał głośno detektyw.

- Uuuuu. No tak. Bywa. - Gad zmartwił się wyraźnie. - Poprawić?

- Nie trzeba. Mam już pełen obraz. - Raymond odłożył plakat. W oddali zauważył pnące się w górę schody.

- Pracujcie dalej. - Poklepał po ramieniu Piekielnego Drukarza i ruszył w ich stronę.

Wspinał się tak długo, że wreszcie jego kolana powiedziały: „Dość” i przypomniały o sobie w błysku ostrego bólu. Do ich protestu dołączyły płuca, które coraz wolniej tłoczyły powietrze, wymachując przy tym flagą z napisem: „Strajk pracowników”.

Diabeł oparł się o czarną skałę i popatrzył w dół, na maleńkie jak pudełka od zapalek maszyny i uwijające się przy nich mikroskopijne pterodaktyle. Szumiało mu w uszach, a w głowie kręciło się jak po zejściu z karuzeli. Zmusił się do zrobienia jeszcze kilku kroków i bohaterko dotarł do szczytu schodów.

Czekała tam na niego chropowata kamienna ściana. Diabeł użył najbardziej wyszukanych przekleństw i uciszył protestujące płuca, zapalając papierosa. Spojrzał w górę, na kilkanaście metrów pionowego muru i błyskające ponad nim zielonkawe światło. Zaciągnął się ostatni raz trującym dymem, zdusił niedopalek, zacisnął zęby i wpił palce w nierówności ściany. Podciągnął się, znalazł oparcie dla stóp. Powoli piął

się w górę, powtarzając sobie w myślach, że już nigdy, przenigdy nie wyjedzie na urlop.

Po stanowczo zbyt długim czasie, boleśnie odczuwając istnienie każdego mięśnia w swoim ciele, ostatkiem sił podciągnął się na zalaną zielonym światłem skalną półkę.

Przed sobą zobaczył parę wypastowanych na wysoki połysk butów. Niedużych.

Wystarczył jeden rzut oka, by diabeł mógł założyć się o całą skrzynkę śmierdzącego dorsza, że ich rozmiar pasuje do śladów zostawionych w zakrwawionej sypialni nieszczęsnego Sindbada.

Pochylony nad nim Kleofas Miks otworzył paszczę; pełną ostrych jak igiełki zębów. A potem otworzył ją jeszcze raz. Dwa rzędy kłów zbliżyły się niebezpiecznie do twarzy Raymonda. Diabeł nie miał już sił, więc po prostu zamknął oczy i przygotował

się na najgorsze. Kiedy poczuł na twarzy nieświeży oddech stróża prawa w miasteczku Innsmouth, po prostu wyciągnął dłoń i zatrzasnął ją pomiędzy nogami szeryfa. A potem wlał w ten chwyt ostatnie resztki energii.

- Przepraszam - powiedział cicho do Miksa, który wydał z siebie pełen bólu pisk przechodzący właśnie w ultradźwięki. - Wiem, że nie powinno to tak wyglądać. Nie mówię nawet, że najpierw wypada iść na kolację i do kina...

Wycie Miksa wypełniło całą piramidę. Diabeł wstał i nie poluźniwszy chwytu, pchnął szeryfa na ziemię.

- Chodzi o to, że pewnie wyobrażałeś sobie szlachetną walkę Dobra i Zła. Bez chwytów poniżej pasa - kontynuował Raymond, zaciskając dłoń. - Może kiedy nakręcą o nas film albo napiszą książkę, umieszczą tam jakieś widowiskowe, finalne starcie szlachetnego bohatera z czarnym charakterem. Ale teraz po prostu jestem cholernie zmęczony - dodał, znajdując jeszcze resztki sił na ostateczny ucisk. Do oporu.

Kiedy Miks stracił przytomność, Raymond, ciężko dysząc, oparł się o ścianę i zwymiotował. Błędnym wzrokiem powiódł dookoła. Znajdował się w małej, wyrzeźbionej w skale jaskini. Honorowe miejsce zajmował wyciosany z czarnego kamienia ołtarz, na którym leżała otwarta, promieniująca zielonkawą poświatą księga.

Nawet nie musiał sprawdzać jej tytułu.

- Halo? Czy to działa? - rozległ się głęboki głos spomiędzy kartek *Necronomiconu*.

Diabeł dowlókl się do ołtarza i spojrzał na unoszącą się nad księgą trójwymiarową sylwetkę czegoś prawie równie szpetnego jak pani Grzechotnik.

- Słucham? - szepnął.

- Tu Yogh-Urt z Bluźnierczej Otchłani. Czy mnie słyszeć? Nigdy nie mogę sobie poradzić z tą cholerną techniką. Gdzieś tu miałem instrukcję obsługi... - powiedział hologram.

- Słyszeć. O co chodzi?

- Chciałem rozmawiać z Kleofasem Miksem. Jeśli to możliwe, oczywiście.

- Chwilowo jest, ee... niedostępny. Zajmuje się, ee... jajecznicą. Czy coś przekazać?

- Raymondowi było już wszystko jedno.

- Czekam na raport z operacji „Wakacje”. - Wizerunek Yogh-Urta poruszył mackami i poprawił okulary. - Inwestorzy zaczynają się niepokoić. Grożą, że wycofają kapitał.

- Przekażę mu wiadomość, kiedy tylko będzie to możliwe - powiedział diabeł i zatrzasnął księgę. Sylwetka władcy otchłani rozmyła się w powietrzu Raymond podszedł do wciąż nieprzytomnego szeryfa i kopnął go w zębra.

- Wstawaj. Pogadamy.

Miks jęknął, ale nie otworzył oczu. Wolał pozostać w swoim własnym wszechświecie, pełnym bólu. Raymond poważnie zaczął zastanawiać się nad tym, czy oszalał już do tego stopnia, by zepchnąć szeryfa ze skały, gdy za jego plecami rozległo się delikatne kasznięcie.

- Przeszkadzam? - zapytał Lovecraft.

Diabeł odwrócił się błyskawicznie.

- Jak się tu dostałeś?

- Normalnie, windą - doktor wzruszył ramionami. - Poprosiłem kilka pterodaktyli, żeby przez jakiś czas pośpiewały TKZWDP, i jestem.

Detektyw popatrzył na umieszczone w ścianie duże, trudne do przeoczenia drzwi windy. Poczuli się jak wtedy, gdy miał osiem lat i przez cały tydzień oszczędzał

pieniądze z kieszonkowego na jajko z niespodzianką, które w końcu okazało się puste.

- Och, to nasz szeryf! Ktoś go obezwładnił! - wykrzyknął Lovecraft i przypadł do Miksa.

- Na twoim miejscu bym się odsunął. - Diabeł oparł się o ścianę i zapalił papierosa.

- Czemu? - Doktor próbował ocucić szeryfa, uderzając go po twarzy. Miks otworzył oczy i wybełkotał coś niewyraźnie.

- Bo zły facet jest. A raczej był. Facetem. - Raymond nie mógł odmówić sobie odrobiny satysfakcji.

- O czym my mówimy? - Lovecraft podniósł się i uniół brwi.

- O niespełnionym planie szeryfa i burmistrza pewnej nadmorskiej miejscowości.

Miejscowość ma bowiem to nieszczęście, że omijają ją turyści. Co zrobić, zero atrakcji.

Chociaż jednak Insmouth jest smutną, zatęchłą dziurą, można wykrzesać z niego pewien potencjał, że się tak wyrażę, historyczny. Prawda, Miks? - Diabeł zaciągnął się papierosem aż po same końce obolałych płuc.

- Udałoby się - odezwał się falsetem szeryf. - Są możliwości! Jaki turysta nie przyjechałby odwiedzić nawiedzanej piramidy... Wystarczyłby odpowiedni marketing.

I infrastruktura. Wesołe miasteczko, sieć restauracji, hotele...

- Tylko co zrobić, kiedy ci zacofani rybacy nie chcą sprzedać gruntów i wolą żyć w spokoju, łowiąc ryby - przerwał mu Raymond.

- Zabić ich! - zapiszczał Miks. - Oczywiście z przyczyn społecznie i ekonomicznie uzasadnionych! - zastrzegł.

Diabeł zgasił papierosa i wolnym krokiem podszedł do leżącego szeryfa.

- Miałem ci przekazać wiadomość. Inwestorzy się wycofują. - Detektyw celnym kopnięciem pozbawił Miksa przytomności i popatrzył na Lovecrafta.

- Tym razem to ja jadę windą.

XVI

Sztorm był już tylko wspomnieniem. Rybacy łatali swoje łodzie, śpiewając jakieś okropnie brzmiące piosenki, a Raymond wygrzewał się w ciepłych promieniach słońca. Leżał na miękkim kocu, sączył mlecznego drinka z wysokiej szklanki i patrzył na błękitne morskie fale, chlupiące o ściany piramidy.

Mieszkańcy Insmouth szybko dogadali się z pterodaktylami. Nie trzeba być turystyczną miejscowością, żeby czerpać zyski z turystyki. Drukarnia piekielnych gadów pracowała pełną parą, produkując setki tysięcy ulotek, zachęcających do pobytu w okolicznych miasteczkach. Spory procent od zleceń pterodaktyle przekazywały rybakom za - jak to zostało ujęte w umowie - wynajem przestrzeni morskiej. I choć był to już koniec sezonu, wszyscy zacierali ręce i szpony, czekając na następny.

Diabeł poczuł, że coś zasłania mu słońce. Otworzył leniwie oko i spojrzał w rudą, wyraźnie przejętą twarz Józwy.

- Nie chcieliby przeszkadzać, ale jest propozycja.

Detektyw westchnął i dolał sobie mleka do szklanki.

- Nie ma w naszym mieście szeryfa tera. Znaczący, etat zwolnił się. - Rybak jąkał się i miał w rękach czapkę. - Pomyślelim, że taki bohater jak wy...

- Bohater jak ja? - zdziwił się Raymond.

- No. Dobry by był. Bylibyście wy, znaczący. Na zachętę chciałbym córkę moją przedstawić. Dobra jest, robotna. Pożenicie się, chałupę się postawi, zadbacie o porządek w mieście, a i ród swój przedłużycie.

Diabeł zakrztusił się mlekiem, spojrzał na wyglądającą zza pleców Józwy nieśmiałą żabią mordkę trzepoczącą zielonymi rżęsami i po sześciu sekundach siedział już w samochodzie. Docisnął gaz do dechy i mknął w stronę Miasta.

Mknął, dopóki nie utkwiał w korku. Ten dzień wybrało sobie na powrót do domu jakieś kilka tysięcy wczasowiczów.

„Czytadło o Poranku”, 14 września br. :

Na deskach Teatru Całkiem Dużego mieliśmy okazję oglądać wczoraj zadziwiający debiut emigranta z Przeróżających Głębin. Młody tancerz o wdzięcznym imieniu Ten, Który Zabija Wchodzących do Piramidy podbił serca publiczności niezapomnianą rolą księcia Zygfryda w Jeziorze łabędzim. Jego taniec z pewnością jest godzien szerszego opisu, ale zważywszy na to, że w naszym szmatławcu i tak nikt nie czyta rubryki kulturalnej, po prostu oddajmy głos menadżerowi TKZWDP, doktorowi Lovecraftowi. „Ten chłopak ma duszę wypełnioną tańcem. No dobra, on nie ma duszy, ale wiecie, o co mi chodzi. A odpadająca noga w drugim akcie z pewnością przejdzie do historii nowoczesnego baletu. Pamiętajcie, że to ja go odkryłem” - powiedział Lovecraft naszemu reporterowi.

Jak dowiedziało się „Czytadło”, urzeczony wschodzącym talentem TKZWDP

znany producent filmowy Dan T. Alighieri zaproponował mu rolę w nowym musicalu, do którego przymierza się jego wytwórnia. Tytuł brzmi Romeo i żulia.

Według nieoficjalnych informacji rolę kochanki Romea zagra Kleofas „Farinelli”

Miks, objęty programem resocjalizacji więźniów poprzez sztukę.

Kompania Straceńców

Niektóre wojny zaczynają się w dość elegancki sposób. Dwóch siwowłosych panów w cylindrach ujmuje w dłonie wieczne pióra, by podpisać deklarację o wzajemnej agresji. Zdarza się nawet, że potem ściskają sobie dłonie i wymieniają kilka uprzejmych uwag. Wtedy w krajach obu panów zaczyna się coś, co wygląda jak święto narodowe. Z okien powiewają sztandary, na patriotycznych festynach sypie się konfetti, a w niebo wzbija się kilka tysięcy baloników.

Kolejny etap to wyczyszczone do połysku dworce kolejowe i perony pełne młodych kobiet wystrojonych w niedzielne sukienki. Dziewczyny są uśmiechnięte i machają koronkowymi chusteczkami, żegnając swych dzielnych chłopców, którzy ruszają w bój. Chłopcy puszą się z dumy, wypełniając nią każdy cal czystych mundurów. Z

okien lśniących wagonów przesyłają buziaki swoim dziewczynom i są pewni, że już niedługo, po kilku bohaterskich potyczkach, jako prawdziwi mężczyźni wrócą do domu, gdzie na kuchennym parapecie czekał będzie na nich gorący placek z jabłkami.

Niektóre wojny zaczynają się w ten sposób. Ta była zupełnie inna.

Było ich tylko dwóch, ale sprawiali wrażenie, że wypełniają sobą całą klatkę schodową. Ten wyższy, w szarym garniturze bez krawata, żuł wykałaczkę i studiował napisy, które jakieś dzieciaki wyskrobały na ścianie. Niższy uśmiechał się nieładnie spod runda kapelusza.

Bobo Lichowlazło uklonił się grzecznie, odwzajemnił uśmiech, obrócił na pięcie i zbiegł po schodach. Nie wiedział, o co chodzi, ale widok tych dwóch czekających pod drzwiami jego mieszkania kazał mu przeskakiwać kilka stopni jednocześnie. W

korytarz na parterze wszedł eleganckim ślizgiem i błyskając podszewkami w stronę pędzących za nim facetów, ruszył do wyjścia. Wtedy okazało się, że było ich trzech.

Trzeci też miał szary garnitur. I bardzo długie ręce. Złapał go i zamknął w wyćwiczonym chwycie. Dwaj pierwsi dobiegli w sekundę potem.

- Lichowlazło, Bobo. Przynależność rasowa chochlik. Wykształcenie niepełne, zawód wykonywany dziennikarz. Zgadza się? - wyrecytował ten z wykałaczką. Nawet się nie zadyszał.

- Nie - odpowiedział szybko Bobo. - Jestem listonoszem, Pokropko moje nazwisko.

- Sprytne. - Wykałaczką sięgnął do jego kieszeni i wyciągnął portfel z dokumentami. - Ale nie za bardzo - dodał, przeglądając papiery.

Ten niższy, który uśmiechał się na korytarzu, wyjął lśniące kajdanki i zatrzasnął je na przegubach Bobo.

- Idziemy - rzucił wesoło.

- Idźcie. Nie zatrzymuję panów.

- Kawalarz. - Uśmiechnięty szturchnął go lekko w brzuch. - Idziemy - powtórzył.

Poszli, trzymając chochlika między sobą. Prowadzili go do szarej, zaparkowanej przy ulicy furgonetki.

- A właściwie gdzie się wybieramy? Bo ja, że pozwolę sobie podkreślić, jestem porządnym obywatelem - zaznaczył Bobo.

Odpowiedziała mu cisza.

- Może się wylegitymujecie? W ogóle to bardzo dobrze znam komendanta policji.

Wiedzieliście o tym? - kontynuował.

Ten z wykałaczką otworzył drzwi furgonetki i wepchnął chochlika do środka. Bobo upadł dość miękko na tłustawego faceta, który wydał z siebie zduszone kwiknięcie.

Rozejrzał się szybko i dostrzegł kilka wlepionych w niego par przestraszonych oczu.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

II

Dziewczyna tańcząca na barze miała bardzo ładny uśmiech, niebieskie oczy i prawie białe włosy. Kolor naturalny - co mógł stwierdzić Dukka, patrząc na jej strój. A właściwie brak stroju. Blondynka zakręciła się na chromowanej rurce, zafalowała pełnymi piersiami i puściła oko do ciemnoskórego dzinna. Dukka nie mógł oderwać od niej wzroku. Potarł dłonią wygoloną na łyso czaszkę i z kieszeni drogiej marynarki od Vesuvia wyjął banknot. Kocim ruchem wsunął go za sznureczek pełniący funkcję majtek dziewczyny i wlał do gardła pół szklanki aromatycznej, korzennej whisky.

Życie było naprawdę dobre.

Przez ostatni rok awansował w gangsterskiej hierarchii, chłopaki z miasta kłaniali mu się na ulicy, pieniądze płynęły szerokim strumieniem. Gładko przesuwiał się w górę łańcucha pokarmowego i choć nad nim wciąż było kilka ogniw, to znacznie ich więcej widział pod sobą, w dole.

Uśmiechnął się do dziewczyny i do swoich myśli. Może zabierze ją dziś do nowego apartamentu na Dziesiątej Ulicy, tego z widokiem na Styks i Most Westchnień. Miał

chyba jeszcze w lodówce butelkę szampana i jakieś kosztowne świniństwo do żarcia.

Rybie jaja czy coś w tym stylu. Trzeba też wypróbować nowe obrotowe łóżko. Ale to później. Jest czas na miłość i czas na picie.

Dopił whisky i przywołał barmana, stukając w pustą szklankę złotym sygnetem.

Nalane do pełna. Zdrowie pięknych pań.

Coś w wyrazie twarzy barmana kazało mu zatrzymać szklankę w drodze do ust.

Błyskawicznie obrócił się na stołku i rozbił szkło na głowie pierwszego z facetów czających się za jego plecami. Drugiego kopnął w nieogoloną szczękę, z bólem rejestrując, że lśniąca skóra buta zarysowała się na jego zębach. Krzyk jasnowłosej dziewczyny wibrował mu w uszach, kiedy przetaczał się po ziemi, zaciskając palce na krytej kością słoniową kolbie rewolweru.

Wtedy ten trzeci, ten z obślinioną wykałaczką w zębach, poczęstował go drewnianą pałką. Dukka wymamrotał jakieś przekleństwo i stracił przytomność.

III

Faceci w Szarości odwiedzili podczas tych gorących, letnich dni jeszcze wiele mieszkań i knajp. Zwiedzili ciche, ciemne zaułki i hałaśliwe bazary. Stadiony piłkarskie, biura i sklepy. Było ich wielu, lecz zawsze chodzili trójkami. To dobra liczba dla facetów, których celem jest pojedynczy człowiek. Jeden może nie wystarczyć, dwóch wydaje się być liczbą odpowiednią, ale trzech daje pewność.

Do szarych furgonetek pakowali oburzonych księgowych, bluzgających złodziejasków, graczy w trzy karty, zwiniętych z targu handlarzy. W czeluściach nie rzucających się w oczy samochodów lądowali młodszy i starsi, bogaci i biedni, chuligani i uczciwi obywatele. Różniło ich wiele, lecz to nie było ważne. Istotna była jedyna wspólna dla nich rzecz. Ich nazwiska zapisane na szarym papierze, na liście spoczywającej w kieszeni szarej marynarki.

Część osób z listy stała właśnie wewnątrz betonowego hangaru. Mimo panujących na zewnątrz upałów było tam dość chłodno. I dość brudno.

Bobo rozejrzał się dookoła. Otaczały go przestraszone i nieznajome twarze. Do tej pory zdołał przelotnie poznać tylko jedną z nich - należała do tłustego faceta, który zamortyzował jego upadek w furgonetce. Właśnie wycierał sterczący dumnie świński ryjek w kraciastą chustkę wielkości boiska do siatkówki. Po prawej ręce Bobo stał

rudawy goblin w okrągłych okularach. Nerwowo strzelał wzrokiem na wszystkie strony i trzęsącymi się, chudymi dłońmi przeszukiwał kieszenie.

- Masz papierosa zapalić, masz? - Słowa wystrzeliły z jego ust z prędkością kul z karabinu maszynowego.

Chochlik wyciągnął paczkę „Wystarczająco popularnych”. Ruchliwe rączki porwały z niej papierosa, błysnął płomień zapalniczki i głowę okularnika otoczyła chmura dymu. Wszystko to nie trwało nawet sekundy.

- Wiewiór - przedstawił się goblin.

- Bobo - powiedział Bobo zgodnie z prawdą.

- Będzie jakieś trzepanko? - zapytał rudzielec. Jego oczy żyły własnym życiem, wierciły się i patrzyły we wszystkie strony równocześnie.

- Trzepanko? - Chochlik też zapalił papierosa i rozglądał się po hangarze.

- Trzepanko, pały, bić, policja bić nas będzie?

Bobo przyjrzał się stojącym przed nimi facetom w szarych garniturach i trzymanej przez nich broni. Wojskowej broni.

- Nie sądzę. Nie policja - powiedział, akcentując ostatnie słowo. - Patrz tam - dodał, wskazując ruchem głowy ułożone równo pod ścianą zielone plecaki.

- Przepraszam, czy też mógłbym dostać papierosa? - zahuczał basowy głos obok lewego ucha chochlika.

Bobo spojrział na pytającego grubasa. Amator cudzych fajek przypominał bardzo smutny kawałek bekonu. Jednak ten bekon był przynajmniej trzy razy szerszy od Bobo, a skórę pokrytą czarną szczecinią rozpychało tyle samo mięśni co tłuszczu.

- Nie żałuj sobie. - Chochlik wyciągnął paczkę w jego stronę.

- Właściwie to nie palę - usprawiedliwił się prosiak. - Mama uważa, że szkodzi mi to na cerę. Ale w tych okolicznościach, gdy stajemy w obliczu niewiadomego, jeden papieros chyba nie zaszkodzi. Ot, imperatyw chwili - dodał, umieszczając popularnego między potężnymi kłami.

- Co, co, co, co? - zagadał Wiewiór.

- William Bosfor Kolejny - przedstawił się grubas, miażdżąc w prawicy dłoń Bobo i goblina.

- Kolejny? - zainteresował się chochlik.

- Tak, to całkiem interesująca historia, choć przystająca do innych okoliczności, innej scenografii... - w tonie Williama dało się słyszeć tęsknotę za lampką koniaku i wygodnym skórzanym fotelem. - W tej chwili dość, jeśli wyjawię, że moja rodzina z racji swej liczebności utraciła przed laty dokładność w rachunkach. Zdarzało się na przykład, że równolegle funkcjonowało kilku Williamów Bosforów Czternastych.

Możecie sobie wyobrazić, do jakich doprowadzało to nieporozumień, zwłaszcza na gruncie towarzyskim. Mój ojciec, jeden z Williamów Bosforów Trzydziestych Trzecich, postanowił położyć temu kres.

- U nas wszystkie są Wiewióry, nie przeszkadza to nikomu, tylko czasem policjanty zwiną dziadka zamiast wujka - poinformował goblin.

Dalszą część historii rodzinnej przerwał zgrzyt metalowych drzwi i stukot kroków kolejnych Facetów w Szarości. Prowadzili przed sobą skutego, czarnoskórego mężczyznę ubranego w siniaki i podarty garnitur.

- Ja go znam - szepnął Bobo.

Dukka natychmiast wyłowił z tłumu jego spojrzenie i mrugnął opuchniętą powieką. Szarzy ustawili go na skraju szeregu i przestali się nim interesować.

Dołączyli do kolegów pod ścianą, po chwili dobiegł stamtąd chóralny rechot. Dukka przesuwiał się wolno wzdłuż szpaleru więźniów, aż dotarł do chochlika.

- Co słychać, mały? Znów kłopoty, co? - zagadnął cicho.

- To wojsko. Nie mają mundurów, ale to żołnierze. Patrz, jak trzymają broń, jak chodzą - podzielił się swoimi spekulacjami Bobo.

Dżinn kiwnął głową.

- Też mam takie wrażenie. Zaraz dowiemy się, czego od nas chcą - mruknął, a w jego oczach błysnął przez moment obraz tego, co stanie się z Szarymi, kiedy Dukka już zrobi to, do czego go zmuszą. Pojawiła się tam między innymi sugestia betonowych butów i dna Styksu. Bobo odwrócił wzrok.

Nie czekali długo. Drzwi hangaru ponownie otworzyły się na całą szerokość, a szare garnitury wyprężyły się na baczność. Do środka wtoczył się mały, okrągły człowieczek w galowym mundurze przyozdobionym kilkoma gwiazdkami i kilkunastoma orderami. Towarzyszyło mu trzech ogrów w stopniu porucznika.

Adiutanci ściskali w dłoniach karabiny, które dla osób o mniejszych gabarytach mogłyby pełnić funkcję średniej wielkości armat.

- Czołem, poborowi! - zapiszczał kilkugwiazdkowy hobbit. - Nazywam się generał von Piąstka i mam stopień generała.

Ten stary dowcip nie zrobił oczekiwanego wrażenia na zebranych, więc niziołek skinął dłonią na jednego z Szarych. Ten chwycił karabin i wbił jego kolbę w brzuch najbliższego faceta z szeregu.

- Pan generał raczył zażartować. Śmiać się! - ryknął.

Przez szereg przetoczył się nerwowy chichot, dość spontaniczny jak na te warunki.

Wystarczająco ukontentowany von Piąstka skinął głową i kontynuował:

- Jak widzicie, poborowi, wojsko jest nowoczesną instytucją, w której można się zdrowo ubawić. Zaznać przygody. Realizować marzenia. Macie ogromne szczęście, że wybrano was do reprezentowania naszego kraju za granicą. Na polecenie naszych prezydentów Romulusa i Remusa

zostaliście wybrani z listy obywateli jako ci, którzy wygrają dla nas wojnę!

Przez szereg poborowych przebiegł pełen grozy szmer. Generał powtórnie skinął na Szarego. Ponownie facet stojący jako ostatni zgiął się pod ciosem kolby karabinu.

- Nie szemrzeć! Szemrać! Psia mać, mordy zamknąć! - krzyknął Szary.

- Poborowi! - podjął wątek von Piątka. - Spotkał was zaszczyt. Nasi przywódcy wezwali was do obrony ojczyzny, a wy na to wezwanie odważnie odpowiedzieliście.

Zgłosiliście się na ochotnika, by bronić honoru naszego kraju, a być może oddać za niego życie. Jestem z was dumny.

Znów szmer przetoczył się przez barak i znów twarda kolba uderzyła brzuch ostatniego w szeregu.

- Choć wiem, że palicie się do walki, zmuszeni będziecie wstrzymać jeszcze przez chwilę wasze bohaterskie instynkty. Czeka was bowiem tygodniowe przeszkolenie w bazie Kappa. Po nim będziecie mogli zrobić to, czego najbardziej pragniecie. Obrócić w pył naszych wrogów - zapiszczał generał. - Zostaniecie podzieleni na czteroosobowe pododdziały, do których zostanie dołączony doświadczony żołnierz. Czekam na ochotnicze zgłoszenia.

Bobo skrzywił się i popatrzył na Dukkę.

- Idziemy - szepnął.

- Poczekaj. - William Bosfor Kolejny złapał go za ramię. - Ostatni będą pierwszymi.

- Mylisz się. - Dżinn wskazał głową ostatniego faceta w szeregu. Tego, który zaprzyjaźnił się z kolbą. - Pierwsi będą pierwszymi, a ostatni gryzą piach.

- Panie generale! - zameldował Bobo. - Pododdział pierwszy melduje się!

William i Wiewiór westchnęli jak na komendę. Nie pozostało to bez kary. Po raz kolejny kolba uderzyła w brzuch ostatniego, który nie stał się pierwszym.

IV

Krucjaty są mało skomplikowane tam, gdzie jedna religia ściera się z inną. Dwaj Bogowie, dwie armie, jeden cel - okładać mieczem tego drugiego aż do momentu, gdy nawróci się na naszą wiarę. Lub umrze, co zazwyczaj zdarza się częściej. Jednak to też nie jest problem, bo Bogowie z reguły umieją rozpoznać swoich zmarłych. Oczywiście z wyjątkiem Niedowidzącego Galluksa Dwie Chrząstki, który nie tylko ma bardzo słaby wzrok, ale dodatkowo jest ateistą. Jego znajomi mówią, że po prostu brak mu wiary w siebie. W każdym razie dusza ostatniego z jego wyznawców, który zakrzyknął:

„Zabijcie wszystkich, Bóg rozpozna swoich”, do dziś błąka się od jednej boskiej ambasady do drugiej i prosi o azyl polityczny.

Pomijając Galluksa i jego nielicznych już wyznawców, krucjaty nie są czymś przesadnie złożonym. Przestaje być prosto, gdy w sprawę wtrąca się trzeci Bóg.

Sytuacja zaczyna wtedy przypominać prywatkę, rozwijającą się przyjemnie, dopóki nie pojawił się na niej nieproszony gość, który w dodatku puścił wyjątkowo głośnego bąka. Gospodarze imprezy są zbyt dobrze wychowani, żeby poprosić go o opuszczenie lokalu, a on - ten trzeci - rujnuje atmosferę do tego stopnia, że powoli, kłaniając się grzecznie w progę i dziękując za miłą zabawę, ulatniają się wszyscy goście.

Natomiast krucjata, w której bierze udział niepoliczalna ilość wyznań oraz sekt i silna reprezentacja Bogów osobiście rzucająca piorunami w pierwszej linii frontu, wygląda jak prywatka, na której są wyłącznie nieproszeni goście, gospodarz zaginął

około północy, puste butelki pękają w zderzeniu z pustymi głowami, a wybite zęby sypią się jak konfetti. Zwykle na taką imprezę, nad ranem - zmęczony hałasami - wpada sąsiad z dołu i szczuje wszystkich psem.

Wojsko nie przejmowało się jednak takimi niuansami, wcielało w swe szeregi każdego i niezależnie od wyznawanej przez niego religii tłumaczyło mu, że walka toczy się właśnie za jego wiarę.

Gdyby Bobo był w stanie wykrzesać z siebie choć trochę energii, mógłby się zastanawiać, kto odegra rolę psa podczas krucjaty, w której zmuszony był wziąć udział. Niestety, mógł myśleć tylko o następującym problemie: co jest bardziej brudne

- szmata, na której leżał, czy podłoga, na której leżała szmata.

Bobo, tak jak reszta przymusowego wojska, był szczęściarzem. Uświadomił go w tym nowy znajomy, wojskowy pełniący obowiązki Głównego Sadysty Bazy Kappa.

Nazywał się Borewicz, a na imię miał Porucznik. Na pierwszy rzut oka składał się z góry mięśni, zielonego munduru i łysej czaszki. Drugi rzut oka pozwalał dostrzec wyłupiaste ślepia i rozdartą w dzikim wrzasku gębę. W jego żyłach zamiast krwi płynęła Dyscyplina.

- Jesteście szczęściarzami! - wrzasnęła zielona gęba na powitanie dowiezionych do bazy poborowych. Było to kilka godzin wcześniej, zanim jeszcze ledwie przytomny Bobo runął na brudne szmaty.

Zebraли ich na dziedzińcu otoczonej wysokim murem bazy treningowej. Każdy dostał coś na kształt munduru - zielone drelichowe kurtki, rozciągnięte portki i najbardziej niewygodne buty, jakie w życiu mieli na nogach. Całość nie była pierwszej świeżości. Bobo z lekkim niepokojem zauważył trzy zakrwawione dziury na plecach swojej bluzy. Do tego mundur uszyty był na kogoś znacznie wyższego i szerszego w barach, więc wisiał na chochliku jak na wieszaku. Bobo z zazdrością

spojrzał na stojącego obok dżinna. W jakiś tajemniczy sposób wojskowe szmaty leżały na nim zaskakująco dobrze. Dukka nosił je, jakby były szytym na miarę garniturem.

Smutniejszy widok przedstawiali sobą Wiewiór i William Bosfor. Mały goblin tonął w zielonym drelichu jeszcze bardziej niż Bobo, za to prosiak nie był w stanie dopiąć kurtki na imponującym owalu brzucha.

- Jesteście szczęściarzami! - powtórzył Główny Sadysta bazy, wybijając chochlika z myśli o modzie i urodzie. - Jesteście nimi, bo większość z was przeżyje tę wojnę.

Przez szereg rekrutów przetoczyło się cichutkie westchnienie ulgi. Każdy z nich czuł, że kto jak kto, ale on z pewnością należy do większości.

Miny zrzedły im trochę, gdy Porucznik Borewicz wyjaśnił, dlaczego właściwie uważa, że ta wojna pochłonie jedynie nieliczne istnienia. Całość sprowadzała się do osobliwie pojętej statystyki. Do tej pory podstawową komórką sił zbrojnych Zaświatu były Parszywe Dwunastki. Tuziny żołnierzy starannie wyselekcjonowanych w ten sposób, by był wśród nich przynajmniej jeden psychopata i kilku gości wywołujących między sobą konflikty na tle etnicznym.

System ten, co zaskakujące, dość dobrze się sprawdzał - żołnierzom zazwyczaj udawało się wykonać powierzone im zadania. Ubocznym efektem była jednak śmierć większości z nich. Wojskowi statystycy wyliczyli, że na polu bitwy ginęło średnio dziewięciu członków każdej Parszywej Dwunastki.

Wtedy generał von Piątka, którego marzeniem było przejść do historii jako świątły reformator armii, wpadł na pomysł. Po kilku długich nocach spędzonych nad liczydłami wykombinował, że skoro podczas misji ginie dziewięciu żołnierzy na oddział, trzeba stworzyć oddziały mniej liczne, co o połowę ograniczy straty. W ten sposób powstały Parszywe Piątki, w których choćby wróg najbardziej się starał, nie miał szans zabić dziewięciu żołnierzy. Ich bojową sprawność mieli przetestować nowi rekruci.

- Jeden i ćwiartka - wyszeptał William Bosfor Kolejny, kiedy już przyswoił sobie zawiłości wojskowej matematyki.

- Co ćwiartka? Nie lepiej pół litra, lepiej? - chrząknął Wiewiór.

- Mówię o stosunku strat. Z moich wyliczeń wynika, że teraz ma szansę przeżyć jeden i ćwierć żołnierza na pięciu - wyjaśnił arystokrata.

- To ja odpadam - zasmucił się goblin. - Stryjka mojego ćwiartowali za recydywę i żaden kawałek nie przeżył.

- Zamknąć ryje! - wydarł się Główny Sadysta bazy. - Padnij, chamy, i pompować!

Tak zaczął się wojskowy trening w Bazie Kappa.

Przez pierwsze dwa dni to były właściwie wakacje. Dość ekstremalne, ale jednak. Są przecież ludzie, którzy przeznaczają urlopy i duże pieniądze na ciężkie ćwiczenia fizyczne połączone z taplaniem się w błocie.

W Bazie Kappa czasowicze w mundurach te atrakcje mieli za darmo. Borewicz kilkakrotnie przeczołgał ich przez kilometry okopów, przegonił po poligonie i ogólnie zadbał o ich kondycję. Oczywiście była też nieśmiertelna zabawa w „padnij, powstań”.

Godzinami ćwiczyli ją w wypełnionych brudną wodą dołach. Jak wyjaśnił im Główny Sadysta, padanie w wojsku jest bardzo ważne. Chodzi o to, że gdy rekrut padnie już na polu chwały, nie może przynieść wstydu swojemu przełożonemu.

Trzeciego dnia Borewicz wydał im karabiny i rozpoczął się kolejny etap treningu elitarnych Parszywych Piątek. Jego pierwszą ofiarą śmiertelną był młody krasnolud, do tego stopnia zmęczony padaniem i powstawaniem, że w akcie desperacji próbował

zastrzelić Borewicza. Biedak nie wiedział, że rekruci, w odróżnieniu od poruczników, dostają na początku ślepe naboje.

Czwartego dnia, kiedy nadszedł transport ostrej amunicji i uzbrojonych granatów, Dukka się zdenerwował. Miało to miejsce na piaszczystym skraju poligonu. Dżinn i trzech jego towarzyszy ćwiczyli właśnie strzelanie do tarcz. Duce zabawy z bronią wychodziły zdecydowanie najlepiej. Kule bezbłędnie trafiały we właściwe miejsca na tekturowych sylwetkach. Bobo i William też radzili sobie jako tako. Trochę problemów sprawił Wiewiór, który opróżnił cały magazynek w pierwszą tarczę, po czym z wydobytym z cholewy nożem rzucił się na dwie kolejne, szatkując je na drobne kawałki. Ten akt spontanicznej agresji spodobał się Głównemu Sadyście, więc nagroził całą czwórkę dodatkowym pakietem ćwiczeń „padnij, powstań”.

Dukka przyjął to ze spokojem. Zdenerwował go dopiero rekrut Drozd, nieśmiały chłopaczek z przedmieścia, który niechcący cisnął odbezpieczony granat prosto pod nogi dżinna. Dukka zareagował naprawdę szybko. Odrzucił granat daleko na poligon, zaraz potem w ślad za nim poleciał rekrut Drozd.

- Pozabijają nas tutaj, zanim pójdziemy na tę cholerną wojnę - warknął.

Jeszcze tego samego wieczoru załatwił sobie i chłopakom przydział w garnizonowej kuchni. Dzięki temu - przynajmniej na razie - kule nie świstały im nad głową, a Główny Sadysta mógł cieszyć się nowym złotym zegarkiem.

Teraz siedzieli we czterech pośrodku baraku o bielonych wapnem ścianach i obierali kartofle nad pełną wody balią.

- Niedobrze jest - jęknął Bobo, wiercąc się na niewygodnym taborecie. - Jakoś nie widzę się w charakterze mięsa armatniego.

- Wiać trzeba - zaproponował Wiewiór, strzelając na boki ruchliwymi oczkami.

- Fizycznie niewykonalne - smutno odparł William.

- Co fizycznie? Wiejemy i już - nie ustępował goblin.

- On niestety ma rację - mruknął Dukka, wrzucając do balii kolejnego kartofla. -

Ta baza chroniona jest lepiej niż niejedno więzienie, a uwierzcie mi, że znam się na tym. Zresztą w nocy zrobiłem mały rekonesans. To miejsce otacza pięciometrowy płot obsadzony strażami. Praktycznie nie do przejścia. Gdy przeszedłem na drugą stronę...

- Przeszedłeś? - wtrącił Bobo.

- Przeszedłem. Za murem, po pasie gołej ziemi biegają wściekłe psy...

- Ach, to stąd się wzięły kotlety na obiad!

- Za psami znów mur i strażę, ale dalej nie szedłem.

- Dlaczego? To spacerek taki przecież - uśmiechnął się chochlik.

Dukka miał bardzo poważny wyraz twarzy.

- Pole minowe. Bez sprzętu nie przejdziemy - oznajmił.

Jego słowa zawisły ciężko nad balią z kartoflami.

- Jaki jest sens pilnować tak dobrze zgrai rekrutów? - zastanowił się Bobo.

- Sens jest, jeśli wojna zapowiada się naprawdę ciężka. Jak myślicie, czemu nie powiedzieli nam nawet, z kim mamy walczyć? - chrząknął William Bosfor.

- Mam pewne obawy - westchnął Dukka.

- U nas na dzielnicy też był taki jeden, co nikomu nigdy nic nie mówił - wszedł mu w słowo Wiewiór. - Kacperka Niemowa go zwaliśmy. I jak żeśmy raz jednego wódkę pili, on się nagle pyta, gdzie ogórki. My do niego, że jak to, że Kacperku, ty mówisz!

Czemuś wcześniej mordy nie otwierał? A on na to, że do tej pory to ogórki zawsze były.

VI

Obawy Dukki potwierdziły się ostatniego dnia ich pobytu w bazie Kappa. Zwykle zajęcia zostały odwołane, a rekrutów spędzono na plac apelowy, gdzie karnie zajęli swe miejsca w szeregu. Reprezentacyjna orkiestra bazy odegrała jakiś pompacyjny marsz wojskowy, po czym na środek placu wkroczył otoczony wianuszkami adiutantów, zniechęcony powszechnie generał von Piąstka.

Karzełek podparł się pod boki i zlustrował szeregi młodego wojska. Pod jego dziobatym nosem wykwitł krzywy uśmiezek.

- Czołem, żołnierze! - kwiknął.

- Czołem, panie generale - odkrzyknęli rekruci nauczeni, że za łamanie wojskowych konwenansów karą jest ból i błoto w każdej szczelinie ciała.

- Staliście się mężczyznami. Sprawnymi, silnymi maszynami, jakich potrzebuje w tej trudnej chwili nasza ojczyzna. - Hobbit pogłaskał się po tłustym brzuchu. - Mi przypadł zaszczyt przekazania wam słów otuchy przed misją, której z ochotą się podejmiecie. Oczywiście część z was polegnie na polu chwały. Ale wiem, że gdyby stało się inaczej, gdybyście mieli szansę odwrócić się na pięcie i wrócić teraz do domu, której to szansy, nawiasem mówiąc, nie macie, to umierając we własnych łóżkach, za wiele lat, chcielibyście zamienić te wszystkie dni, od dziś do wtedy, za jedną szansę, jedną jedyną szansę, aby tu wrócić i powiedzieć naszym wrogom, że mogą odebrać nam życie, ale nigdy nie odbiorą nam wolności! Wracajcie więc zwycięzcy lub nie wracajcie wcale. Jakies pytania? - zakończył.

W szeregu rozległy się ciche chrząknięcia, żołnierze nerwowo przestępowali z nogi na nogę. Bobo rozejrzał się po twarzach towarzyszy i napotkał wzrok Dukki. Dżinn skinął głową. Chochlik westchnął i wolno uniosł w górę szczupłą rękę. Generał spojrział na niego i gestem zachęcił do zabrania głosu.

- Nie powiedział nam pan, z kim właściwie mamy walczyć, panie generale, sir! - odezwał się Bobo.

Von Piąstka popatrzył na niego dziwnie rozbawionym wzrokiem i podrapał się po swoich trzech podbródkach.

- Och, oczywiście z tymi wściekłymi psami z Babilonii - odparł, odwrócił się na pięcie i wraz z gromadą adiutantów podreptał w stronę opancerzonego dżipa. Po chwili została po nim jedynie chmurka niebieskawych spalin.

Zanim jeszcze rozwiła się w powietrzu, na środek placu wmaszerował Główny Sadysta wraz z żołnierzem objuczonym nieprawdopodobną ilością makulatury.

- Tu macie ulotki i druki patriotyczne. Rozejść się - ryknął w kierunku rekrutów.

Bobo i jego kompani chwycili jedną paczkę i zabunkrowali się w kuchni. Dukka wydobył z ogromnego kotła skradzioną z zapasów Sadysty butelkę wódki. Pociągnął z niej zdrowo i puścił w obieg.

- Jest tak źle, jak myślałem - westchnął cicho, wyciągając z paczki egzemplarz gazety „Zaświat Zbrojny”.

- Właściwie ten Babilon to co, właściwie? - zapytał Wiewiór, ujawniając swe braki w dziedzinie składni i geografii.

- Królestwo Babilonii. Mój kraj. - Dżinn ponownie napił się wódki.

Przez chwilę w milczeniu przeglądali ulotki i wojskową prasę. Mieszkańcy kraju, który mieli zaatakować, przedstawieni w nich byli jako prymitywni debile z prześcieradłami na głowach. Nie

musieli pytać, by wiedzieć, że jest to wizerunek nie do końca zgodny z prawdą.

- Jak to możliwe, że do tej pory nie zostałeś uznany za szpiega i rozstrzelany? -
zastanowił się William.

- Nie wiem, stawiałbym na ogólny burdel. Mam w końcu obywatelstwo, jestem także stąd, z Zaświatu. Gdyby armia miała odrzucać wszystkich obcych, to o ropę walczyliby chyba osobiście tylko von Piastka z Głównym Sadystą.

- O ropę? - zainteresował się Wiewiór. - Tu jest inaczej. - Pokazał kolegom ulotkę i powoli, na głos odcyfrował: - Za wolność naszą i waszą. Czyli czyją? I jeszcze coś o wojnie o pokój i terrorystach piszą dodał.

- Prasa kłamie - mruknął Bobo, podpierając się autorytetem byłego dziennikarza.

Spojrzał na kolejną ulotkę, gdzie wydrukowane było wezwanie do walki za wiarę.

Obok zostawiono puste miejsce z adnotacją, żeby wpisać tam nazwę własnego wyznania. Chochlik skrzywił się i zaczął przypominać sobie to, co wiedział o Babilonii.

Prawdopodobnie teoria przyciągania przeciwieństw sprawiła, że przed wiekami pustynnym i słonecznym krajem zainteresowała się mroczna kasta, w prostej linii pochodząca od hrabiego Nosferatu. Być może wrodzona gościnność mieszkańców tamtych stron i fakt, że wampiry były w odległych czasach czymś zupełnie w Babilonii nieznanym, sprawiły, że autochtoni przyjęli je z otwartymi ramionami i niezabezpieczonymi niczym gardłami. Potomkowie Nosferatu szybko się tam zdomowali i po kilku przewrotach przejęli władzę. Rządzili zdalnie ze wspaniałych, ocienionych pałaców, wybudowanych rękami swych nowych poddanych. Co zaskakujące, zdołali wprowadzić nie liczące się do tej pory królestwo do ścisłej czołówki najbogatszych państw. Zjednoczyli skłócone i zwalczające się nawzajem pasterskie plemiona. Pustynię pocięli szlakami tranzytowymi, obniżyli cła i podatki.

Postawili na rozwój duchowy i edukację, co po kilkuset latach zaowocowało ciekawą kulturą i wizerunkami rodziny królewskiej wykutymi w pustynnych skałach.

Obywatele Babilonii byli z tego rozwoju dość zadowoleni i bardziej narzekali na klimat niż na konieczność poświęcenia od czasu do czasu kilku łyków krwi.

Obecnie królestwem władał całkowicie zasymilowany z lokalną tradycją książę Hussein. Był dość dobrym dyplomatą, więc współpraca z sąsiadami, w tym z Zaświatem, układała się prawie wzorowo. Z pustyni płynęły na zachód rzeki ropy naftowej, a w drugą stronę ciekła cienka strużka czerwonego płynu ze specjalnie zorganizowanych w tym celu banków krwi.

I właśnie wtedy rozpoczęła się niesławna kampania: „Żadnej krwi za ropę”.

Oficjalnie organizowała ją grupa zatroskanych o suwerenność narodu obywateli przy znacznym wsparciu wpływowej Młodzieży Wszechzaświatowej. Wiadomo jednak, że w rzucanym przez nich cieniu stał nienawidzący obcych Koklusz-Klan. Klimat polityczny akurat sprzyjał tego typu ruchom, kraj powoli pogrążał się w kryzysie, a gospodarka kulą coraz bardziej. Linie przyszłych zmian streścili w jednym zdaniu prezydenci Zaświatu, bliźniacy Romulus i Remus, wypowiadając je chórem w orędziu do narodu: „Jeśli już nasi obywatele muszą przelewać krew, niech robią to w sposób zgodny z tradycją przodków: na wojnie”.

- No i stało się - podsumował Bobo swój wykład.

W garnizonowej kuchni zapadła głucha cisza.

- Spylamy stąd? - zaproponował Wiewiór.

- Jestem za - mruknął arystokrata William.

- A pole minowe? A nawet jeśli je przejdziemy, co dalej? Będziemy się ukrywać w nieskończoność przed Facetami w Szarości? - oponował Bobo.

- Spróbujmy. - Dukka otarł z potu łysą czaszkę. - Załatwię nam lewe papiery, nie będzie problemu. Zresztą w Mieście pomoże nam pan Hieronim Bosch.

- Ten gangster? - Oczy Bosfora Kolejnego rozszerzyły się ze zdumienia. Wiewiór jedynie wzruszył ramionami.

- Wolisz gangstera, który poda ci pomocną dłoń na wolności, czy bandytę w mundurze, który zagna cię na front? - zapytał dzinn.

- Punkt dla ciebie - odparł arystokrata po chwili zastanowienia.

- Idziemy dziś w nocy - podjął decyzję Bobo.

- Nie idziecie nigdzie - warknął Główny Sadysta, stojący w drzwiach kuchni.

Tego ruchu nie można było dostrzec gołym okiem. Zielona smuga przemknęła przez pomieszczenie. W tej samej sekundzie rozległ się głuchy brzęk. Potem kolejny i jeszcze jeden.

- Idziemy teraz, już - zawołał Wiewiór, stojąc nad nieprzytomnym Porucznikiem i ściskając w rękę pogiętą żeliwną patelnię.

Bobo podbiegł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

- Czysto - szepnął.

Baza tętniła przygotowaniami do wojny. Wszędzie kręcili się mundurowi dźwigający mniejsze i większe pakunki, powietrze rozdzierał ryk wydawanych rozkazów.

Dukka i William skończyli wiązać Borewicza i wrzucili go do komórki z kartoflami.

Cała czwórka ostrożnie wyszła na zewnątrz.

- Poczekajcie - polecił Bobo i wrócił do budynku.

Po chwili pojawił się ponownie, dźwigając kilka skrzynek i worków. Z paczkami na plecach szybko wmieszali się w tłum i przemknęli do ogrodzenia.

- Tędy - syknął Dukka, prowadząc ich w stronę ustawionych pod płotem wychodków.

- O nie. Co to, to nie - sprzeciwił się William, marszcząc swój arystokratyczny ryjek.

- Nie marudź. - Dzinn zrzucił niesiony na ramieniu worek na ziemię i otworzył drzwi środkowego ustępu. - Droga do wolności nie zawsze pachnie różami.

Po kolei, krzywiąc się od wszechobecnego smrodu, opuszczali się w czeluść latryny. Dukka zapalił latarkę i skierował snop światła na ziejącą w ścianie dołu dziurę.

- Przekopałem się tędy - wyjaśnił i ruszył przodem.

Tunel ciągnął się przez kilkanaście metrów i kończył wyciętymi w ziemi, prowadzącymi w górę schodkami. Dzinn wspiał się na nie, odchylił zbudowaną z kilku desek klapę, ostrożnie wystawił przez nią głowę i zaklął. Zaraz potem zniknął, pociągnięty w górę tajemniczą siłą. Bobo i jego pozostali towarzysze popatrzyli po sobie i rzucili się do ucieczki. Nie zdążyli. W otworze pojawiły się długie łapska, chwyciły ich za ramiona i wyciągnęły na zewnątrz.

- Ja pierdykam, to są... są... - wyjąkał Wiewiór, rozejrzawszy się wokół.

- Smoki - dokończył grobowym głosem Bobo.

Przestrzeń za ogrodzeniem bazy zamieniono na polowe lądowisko dla powietrznych sił zbrojnych. Na wytyczonych kredowym pyłem pasach startowych odpoczywały właśnie ogromne gady. Dezerterzy wpatrywali się zdumieni w cielska pokryte mieniącą się w słońcu łuską i najeżone setkami ostrych kolców. Szok był tak duży, że dopiero w drugiej kolejności zwrócili uwagę na trzymających ich za ramiona żołnierzy w skórzanych kurtkach.

- Patrzcie, jak im spieszno na front - zarechotał przysadzisty krasnolud z naszywkami chorążego.

- Polecicie w pierwszym rzucie, nie bójcie się - dodał chudy elf w pilotce i goglach.

Silne ręce popchnęły ich w stronę drewnianego baraku. Gdy weszli do środka, zobaczyli kilkudziesięciu rekrutów, siedzących na ławkach ustawionych w poprzek pomieszczenia.

- Zajmować miejsca - poleciał krasnolud.

Niedoszli dezercerzy wcisnęli się pomiędzy postacie w zielonych drelichach.

- No to się nauciekaliśmy - westchnął Bobo. - Ciekawe, co teraz?

William Bosfor ruchem głowy wskazał wąskie okienka wycięte w ścianach z bali.

Wyjrżeli na zewnątrz. Na szerokiej łące stało jeszcze kilkanaście podobnych baraków.

- Jakaś poczekalnia chyba - zasugerował chochlik, odwracając się do kompanów. -

Posiedzimy tu, przyjdzie funkcyjny i wyda rozkaz wymarszu...

W chwili, gdy wypowiadał te słowa, dłoń Wiewióra z ogromną siłą zacisnęła się na jego ramieniu. Goblin bez słowa wpatrywał się w wąskie okienko.

Na polu potężny czerwony smok podniósł się z ziemi i rozprostował kości. Na jego szyi dostrzegli siodło, a w nim pilota w skórzanej kurtce. Gad rozwinął skrzydła, machnął nimi parę razy na próbę i wzbił się w powietrze. Zatoczył koło i zanurkował

w dół, kierując się wprost na jeden z baraków.

- Co on robi? - zdążył wyszeptać William, gdy szpony czerwonego potwora wczepiły się w dach budynku i uniosły go w powietrze. Bestia wyrównała. Z pasa startowego zaczęły wzbijać się w powietrze kolejne smoki, po chwili już połowa baraków szybowała w ich szponach po niebie.

Bobo dostrzegł kawałki sznura przytroczone do ławki, na której siedzieli.

- Lepiej się przywiążcie. Może trochę szarpnąć - ostrzegł.

Po kilku sekundach ich barak zatrzęsł się w posadach i uniół w górę.

Lecieli na wschód, do dalekiego królestwa Babilonii.

VII

Po prawie dobie spędzonej w powietrzu byli tak zmęczeni, że nie mieli nawet ochoty oglądać widoków na zewnątrz. Jedynie Dukka usiadł przy małym okienku i patrzył na przesuwaną się pod nimi pustynię.

Dolecieli przed południem. Z silnym szarpnięciem barak uderzył w piasek i znieruchomiał. Niosący go smok wydał z gardła pożegnalny ryk i odleciał, machając skórzastymi skrzydłami.

Drzwi baraku otworzyły się z hukiem i stanął w nich prawie kwadratowy ogr w pustynnym mundurze i przeciwsłonecznych okularach.

- Wypad! - ryknął. - W dwuszereguuu, zbiórka!

Młode wojsko wyszło na zewnątrz i mrużąc oczy od blasku bijącego z białego nieba, rozejrzało się dookoła. Znajdowali się w forcie wykutym w żółtym piaskowcu.

Nie był wielki - mury z otworami strzelniczymi, budynek dowództwa, kuchnia, lazaret i namioty dla żołnierzy. Pośrodku dziedzińca stała samotna palma.

Ogr w okularach popatrzył na nowo przybyłych i uśmiechnął się lekko.

- Jesteście teraz częścią oddziałów pustynnych. Zakwaterujcie się, żołnierze.

Potem dostaniecie mundury i obiad. Odmaszerować - powiedział.

Bobo z chłopakami zajęli prycze w namiocie stojącym przy samym murze. Tam przynajmniej była niewielka plama cienia i niższa o jakieś dwa stopnie temperatura.

- Nie mówili nam, że tu jest tak gorąco. - William, ciężko dysząc, zwałił się na łóżko. Spływały po nim strumienie potu.

- Nic nam nie mówili - sapnął Bobo. On także był mokry, jakby właśnie wyszedł spod prysznic.

- Przesada - wzruszył ramionami Wiewiór. Był suchy jak pieprz i nawet lekko się ożywił. Jego chude, żyłaste, pokryte grubą skórą ciało najwyraźniej dobrze znosiło upały.

- Przyzwyczajcie się - odezwał się Dukka. - Najważniejsze to pić dużo wody.

- Przydałyby się chłodne drinki z parasolkami i kilka tancerek. - Bobo zdjął koszulę i wyżął ją przed namiotem.

Po godzinie dźwięk gongu wezwał ich na obiad. Po chudej zupce i kawałku niewiadomego pochodzenia mięsa z sucharami stawili się u kwatermistrza, gdzie pobrali wyposażenie - lekkie mundury w pustynnych barwach, hełmy, bagnety, broń krótką i długą. Ledwie zdążyli się przebrać, zanim poznali ostatniego członka ich Parszywej Piątki.

Nadszedł od strony latryny i gdy przepisowo ustawili się przed nim w szeregu, wciąż próbował zapiąć zwisające w okolicy kolan spodnie.

- Basznosć... Szpocnij. Snajdujecze sze pod moje komendo - wybełkotał ich nowy przełożony, zionąc smrodem przetrawionego alkoholu, po czym potknął się o przytroczoną do pasa szablę.

- Właśnie kogoś takiego potrzebujemy... - szepnął Bobo, spoglądając na pełzającą w piachu postać. Z pewnością był najmniejszym minotaurem jakiego widzieli do tej pory. Był minotaurem. Osobniki jego rasy zwykle wyglądały jak byki wychowane w magazynie ze sterydami. Ten na pierwszy rzut oka przypominał cielaczka. Na drugi jednak dostrzegano się twarde węzły mięśni zarysowane pod skórą. No właśnie, skóra

- o ile wśród minotaurów przeważała ciemna maść, ich nowy szef był egzemplarzem białym w uroczym czarnym łaty. I z wilgotnym różowym noskiem.

- Jesztem szerżant Szprot - czknał łaciaty karzeł gdy już udało mu się stanąć na kopyta. - Chioccie na fódkę.

- Właśnie kogoś takiego potrzebujemy! - powtórzył Bobo, tym razem z entuzjazmem.

Po nocy spędzonej w towarzystwie minitaura Szprota i jego baterii przemyconego alkoholu powitanie z porankiem było szczególnie przykre. Zwłaszcza że poranek miał rozdartą w krzyku twarz wojskowego trepa.

- Zbiórka! - ryczał mundurowy.

Parszywa Piątka wyczołgała się z barłogów, starając nie poruszać zbyt obolałymi głowami. Nie musieli wciągać na siebie ubrań, bowiem zasnęli w pełnym umundurowaniu.

Na apelu dowiedzieli się, że znów mają ogromne szczęście, bo nadszedł wreszcie dzień, w którym mogą oddać życie za ojczyznę.

Cel wydawał się prosty - zdobyć i utrzymać wzgórze o niewielkim znaczeniu strategicznym. Wzgórze Golem.

VIII

- No, połowa zadania wykonana. Zdobyć poszło nam całkiem nieźle - uśmiechnął się Bobo, gdy wraz z setką innych żołnierzy wylądowali się z ciężarówek na kompletnie pustym wzgórzu.

Zaczerpnął w płuca gorącego powietrza i rozejrzał się wokół. Z porośniętego rzadką trawą wzgórza rozciągał się doskonały widok na pustynię bielejącą w promieniach słońca. Znaczyły ją ciemniejsze plamy twardej, suchej roślinności.

Gdzieś w oddali dało się dostrzec kilka samotnych palm sugerujących obecność wody i trzy krążące nad nimi sylwetki padlinożernych ptaków.

- I to jest twój kraj? - zapytał Bobo, patrząc wymownie na Dukę.

- Niby ładnie, ale pusto, nie? Sucho, gorąco. Najlepsze życie, jakie mógłbym tu prowadzić, to życie poganiacza wielbłądów. Nienawidzę wielbłądów - skrzywił się dzinn i splunął na piasek.

Rozważania o perspektywach mieszkańca pustyni przerwał im łopot skrzydeł, jaki rozległ się nad ich głowami. Mały czarny smok, ledwie rozmiarów dobrze odżywionej krowy, zapikował w dół. Żołnierze jak na komendę padli plackiem na ziemię. Gad wyrównał lot i łagodnie osiadł na piasku, wzbijając chmurę pyłu. Łypnął spod oka na gramolących się na nogi mundurowych i wypuścił z nozdrzy obłoczek pary. Nieco dalej na ziemi wylądowały dwa kolejne smoki. Cała trójka dźwigała na grzbietach potężne siodła z wygodnie ulokowanymi w nich jeźdźcami.

- Starzy znajomi - mruknął Bobo, patrząc spode łba na zeskakujących na piasek oficerów. Gdy widział ich ostatni raz, nie mieli na sobie mundurów, ale był pewien, że te gęby zapamięta do końca życia.

Wysoki facet, od niechcenia żujący wykałaczkę, popatrzył na żołnierzy. W taki sam sposób ludzie patrzą na karaluchy, biegające po ich nowej kuchni.

- Jestem pułkownik David Berkowitz, kontrwywiad. Przejmuję tu dowodzenie - oznajmił. - Kapitanowie Jeffrey Dahmer i Albert Fish są moimi zastępcami - przedstawił nieogolonego chudzielca i krępego osiłka stojących za jego plecami.

Pułkownik ponownie powiódł wzrokiem po żołnierzach, wypluł na ziemię przeżutą wykałaczkę i na jej miejsce wetknął w usta nową.

- Do wieczora macie się okopać, zająć pozycje i czekać na dalsze rozkazy.

Pojęliście czy wyrażam się niezrozumiale? - zapytał.

- Słyszeliście pułkownika! - zabelkotał sierżant Szprot poprzez wypalone podłym bimbrem struny głosowe.

W jednej z ciężarówek znaleźli łopaty i karnie zabrali się do roboty. Po dwóch godzinach machania szpadlami Wzgórze Golema pokryły blizny okopów. Osypujące się ściany dołów wzmacniali deskami. Praca była ciężka, a zmęczenie potęgował lejący się z białego nieba skwar.

Zaczynali właśnie wygrzebywać kolejną dziurę w ziemi, kiedy szpadel Williama Bosfora uderzył w coś twardego.

- Drewno - zakomunikował arystokrata.

Reszta Parszywej Piątki zebrała się wokół niego i rozgarnęła piach. Ich oczom ukazała się długa, zmurszała deska.

- To okop jest, jakiś stary - błysnął inteligencją Wiewiór. - Łatwiej nam kopać będzie, do roboty.

Posłuchali jego rady. Faktycznie, praca przy odsłanianiu już gotowego okopu była mniej męcząca. Pod wieczór odgarnęli już piach z całkiem sporego kawałka.

Porucznik Berkowitz, który wolnym krokiem obszedł linię umocnień, niechętnie skinął głową.

- Wystarczy na dziś. Zająć pozycje, ustalić warty - mruknął i znikł we wnętrzu obszernego oficerskiego namiotu.

Setka żołnierzy noc spędzić miała w mniej komfortowych warunkach, wprost na ziemi, pod gołym niebem.

- Wzgórze Golema. Ładna nazwa. Ciekawe, jaką ma genezę? - odezwał się Bosfor, kiedy już wyciągnęli się na dnie okopu i wbili wzrok w miliony świecących w górze gwiazd.

- Lokalna legenda. Nie pamiętam jej dobrze. Chodziło o jakieś zamieszanie z jedną z żon sułtana Abrukka, podstępny wezyrem i jakimś zaklęciem - Dukka wypuścił nosem smugę dymu z papierosa.

- Opowiadaj. - Bobo również zapalił i oparł się wygodniej o ścianę z desek.

- Co tu opowiadać? Na imię miała chyba Jutta czy Jatta...

- U wasz wszyscy mata te podwójne litery? - zainteresował się sierżant Szprot, puszczając w obieg manierkę z gorzałą.

- Wszyscy. W każdym razie panna była podobno całkiem całkiem. Oczywiście kochał się w niej wezyr. Stary pryk umyślił sobie mieć ją tylko dla siebie. Stworzył

jakiegoś pustynnego golema, ze skał, piasku czy z czego się je robi, i kazał mu porwać dziewczynę. Golem, jak tylko ją zobaczył, też się zakochał i przestał słuchać swojego pana. Wezyr stworzył następnego i następnego. Skutek podobny. W końcu golemów była już cała masa, a panienska zaczynała mieć dosyć starucha. Kazała swoim piaskowym kochankom rozpieprzyć jego więź i jego samego. Co też się stało. - Dżinn zakończył opowieść i przeciągnął się.

- Też mieliśmy taką jedną na dzielnicy - włączył się Wiewiór. - Czarna Lolka się zwała. Też ją chciały, na ten przykład, wszystkie chłopcy wyobrać, a ona, że nie. Do tego był taki Maniś, co ją kochał najbardziej i nikogo nie dopuszczał do niej. No, ale jednej nocy czarnej pili trochę więcej, ona wzięła ostry nóż i w jego serce miłosne wbiła. Koniec był taki królowej dzielnicy, bo obwiesiła się zaraz po tym. Na całym świecie na baby trza uważanie mieć - westchnął ciężko mały goblin i zwinął się w kłębek.

- Pewnie jest to jakiś morał - powiedział cicho Bobo.

Zasnęli.

IX

Przebudzenie nie było przyjemne. W nocy potwornie przemarzli, a teraz znów smażyli się jak kawałki bekonu na patelni. Zwłaszcza William Bosfor wyglądał tak, że miało się ochotę dorzucić do niego dwa jajka sadzone i kilka grzanek, żeby przygotować porządne śniadanie. Na razie jednak musieli zadowolić się manierką zbożowej kawy i sucharami.

Słońce przypiekało ich z wyraźną satysfakcją. Siedzieli w okopach z bronią gotową do strzału i wyglądali niewidzialnego wroga w ciągnącym się po horyzont morzu piachu. Około południa przed oczyma wirowały już im kolorowe kropki. Nagle jedna z nich poprawiła turban. Bobo przetarł oczy i spojrzał jeszcze raz w tamtą stronę. Nie mylił się. Na odległej wydmy leżał owinięty białym prześcieradłem kształt.

- Sierzancie, proszę dyskretnie spojrzeć w tamtą stronę - powiedział.

Szprot poprawił hełm i rzucił okiem w kierunku wydmy.

- Obszerwują nasz. Udawajcie, że wszystko jest w porządku - sapnął.

Minitaur na czworakach pokonał sieć okopów, by dotrzeć do miejsca zajmowanego przez pułkownika Berkowitza. Ten siedział wygodnie rozparty na składanym krzeselku, a jakiś gnom pucował jego oficerki.

- Panie pułkowniku. Mój oddział zaobszerwował zwiad wroga - zameldował sierżant.

Berkowitz poderwał się na równe nogi, czubkiem buta kopiąc ordynansa w czoło.

- Doskonale - uśmiechnął się blado, wkładając w usta nową wykałaczkę. - Zająć pozycje! - zawołał.

- Pułkowniku! - syknął Szprot. - Zorientuj się, że wiemy...

- Zamknij się, cielaku - warknął dowódca. - Gdzie ten zwiad?

- Tam. - Zrezygnowany minitaur machnął ręką w stronę wydmy.

Berkowitz złapał oparty o ścianę okopu karabin i złożył się do strzału. Palec błyskawicznie ściągnął spust. Huknęło. Biała sylwetka na górze piachu znieruchomiała.

- No to mamy wojnę! - ucieszył się pułkownik.

Szprot patrzył przez chwilę w jego szalone oczy, odwrócił się i biegiem wrócił do swoich żołnierzy.

- To debil! - krzyknął, waląc się na piach w okopie zajmowanym przez Bobo i resztę. - Szykowacz sze, chopaki, będzie bolało.

Ledwo przebrzmiały jego słowa, a powietrze rozdarło przerażające wycie setek gardeł. Otaczające Wzgórze Golema wydmy zaroily się od ubranych na biało postaci.

W sekundę potem gruchnęła pierwsza salwa.

Nie wszyscy zdążyli przypaść do ziemi. Grubego Williama ochlapała krew stojącego obok młodego elfa, któremu kula roztrzaskała szczękę. Nieco dalej kilka pocisków gładko weszło w brzuch wielkiego i trochę zbyt powolnego trolla, siedzącego w gnieździe karabinu maszynowego.

Bobo leżał na ziemi, w panice walcząc z zamkiem karabinu. Obok niego przykucnął Dukka. W jego dłoniach broń śpiewała pieśń wojny, kładąc trupem kolejnych jego rodaków.

- To kafaleria! - zawył Szprot i rzucił się biegiem w kierunku gniazda karabinu.

Odepchnął drgające w konwulsjach cielsko trolla i pokrył ogniem teren przed wzgórzem.

Synowie Babilonu galopowali przez pustynię. Kopyta koni i wielbłądów ryły piach, kule świszczwały, a z gardeł wojowników dobywał się przerażający ryk.

Tak musi wyglądać śmierć - pomyślał Bobo, patrząc na zbliżające się sylwetki.

Jego palec oparty o język spustu był jak wyciosany z drewna. Nie mógł zmusić go do współpracy. Nie potrafił strzelić, zabić, zabrać komuś życie tylko po to, by uratować swoje.

- A właściwie dlaczego ja mam do nich strzelać, do tych beduinów strzelać? -

pisnął Wiewiór, którego myśli biegle widocznie w tym samym kierunku.

- Bo oni strzelają do ciebie - wyjaśnił z flegmą William.

Pokryty krwią, z błyszczącymi dziko oczyma, w niczym już nie przypominał dobrze odżywnego chłopca z dobrego domu. Klęczał z opartą o biodro kolbą karabinu i wciskał naboje do ładownicy. Gdy skończył, poderwał broń do ramienia i powoli, nie spiesząc się zdjął z siodeł pięciu jeźdźców.

Wiewiór zacisnął zęby, zamknął oczy i również wystrzelił w galopujący na nich tłum. Nawet trafił.

Bobo obserwował to wszystko, siedząc oparty plecami o ścianę okopu. Karabin położył na kolanach i drżącymi dłońmi sięgnął po papierosa. Świat tańczył przed jego oczyma. Czuł, że zaraz, już za chwileczkę straci przytomność. To zbyt wiele. Smród krwi, ludzie walący się na ziemię jak marionetki z przeciętymi sznurkami. Nie był

żołnierzem, nie prosił się o to. Jeśli tak ma wyglądać jego koniec, to proszę bardzo.

Zginie, ale nie będzie strzelał. Chyba że w polu widzenia pojawiłby się generał von Piastka albo miłościwie trzymający władzę prezydenci.

Z otępienia wyrwał go ryk sierżanta Szprota. Minitaur wciąż z wirtuozerią grał symfonię na karabinie maszynowym. Wystrzelone przez niego kule wypruwały wnętrzości, roztrzaskiwały kości, poły krwią spragniony piasek pustyni. Drugie i trzecie skrzypce w tej orkiestrze grali Dukka z Williamem. Linia szarżujących wrogów załamała się, wierzchowce synów Babilonu płoszyły się, stawały dęba, zrzucając jeźdźców.

- Nie dojdą! - cieszył się Wiewiór, strzelając z karabinu.

Bobo uśmiechnął się smutno, widząc, że mały goblin strzela tak, aby nie trafić.

Zapalił kolejnego papierosa, mając nadzieję, że nikotyna wytłumi szum w jego głowie.

Tępy wzrokiem wpatrywał się w horyzont, nad którym niebo upstrzone było rosnącymi szybko w oczach czarnymi plamkami. Mnóstwem czarnych plamek.

Gdy dotarło do niego, co to oznacza, zaniósł się nerwowym chichotem i krzyknął.

Jego głos przedarł się nawet przez wycie żołnierzy, jęki konających huk strzałów.

- Sierzancie! Lecą! - wołał, nie mogąc opanować śmiechu. Widział już z bliska twarz tej starej szmaty, Śmierci. Wiedział, że za chwilę ona weźmie go za rękę i poprowadzi gdzieś daleko, że potem zbliży do niego swoją pomarszczoną, pokrytą grubą warstwą makijażu twarz i obdarzy nieprzyjemnym, wilgotnym pocałunkiem.

- Nalot dywanowy - wyszeptał pod nosem całkiem już trzeźwy Szprot i skierował w górę lufę karabinu.

Wtedy w okopy uderzyła pierwsza bomba zapalająca. Faceci w turbanach, siedzący wygodnie na latających dywanach, mieli ich wiele. Gliniane dzbany wypełnione płonącym olejem spadały z nieba, siejąc spustoszenie wśród obrońców wzgórz. Eksplodowały ciężarówki, żołnierze przeraźliwie wyjąc, płonęli żywcem.

Bomba uderzyła tuż obok Wiewióra i zmieniła jednego z szeregowych w podpałkę do grilla. Całkowicie czarny goblin, z dymiącymi jeszcze brwiami, wyrzucił z siebie wyjątkowo brzydkie przekleństwo i przeszył serią powietrze. Jeden z pocisków rozbił dzban z olejem i latający dywan momentalnie stanął w ogniu.

Bobo kątem oka dostrzegł trzy wzbijające się w niebo sylwetki. Smoki pułkownika Berkowitza i jego kapitanów. Przez chwilę miał nadzieję, że gady zaatakują beduinów na dywanach, lecz te, unikając walki, pomknęły przez białe niebo w stronę granicy.

Chochlik ponownie przywołał na twarz blady uśmiech i chwycił porzucony wcześniej karabin. Wycelował w środkowego ze smoczycz jeźdźców i pociągnął za spust. Nie trafił.

Bobo odwrócił się w stronę resztek szarżującej kawalerii. Byli bardzo blisko.

Dokładnie widział ich ciemne, ogorzałe twarze. Sierżantowi Szprotowi skończyła się już amunicja. Dukka, William i Wiewiór jeszcze strzelali, lecz we trzech nie byli w stanie powstrzymać natarcia. Kiedy dwa pierwsze wielbłądy dobiegły do linii okopów, Bobo opróżnił w ich stronę cały magazynek. Martwe zwierzęta zwały się do okopu z impetem rozpędzonych kilkuset kilogramów. Tracąc przytomność, chochlik ujrzał ponownie twarz starej kobiety, Śmierci.

Gdy otworzył oczy, było już ciemno. Jego usta wypełniał piach zmieszany z zaschniętą krwią. Ledwie mógł oddychać. Nie pomagało w tym przygniatające go ogromne kudłate cielsko. Nacisk na żebra sprawiał ból.

Nie umarłem. Jeszcze nie - przemknęło mu przez myśl.

Spróbował odwrócić głowę. Udało się. Wypluł zalegający w krtani brudny piach i zakaszał. Obolałymi dłońmi zapał się o leżące na nim ścierwo wielbłąda i powoli wysunął spod niego. Przez chwilę leżał na plecach, badając stan swego ciała. Bolało jak po porządnej bijatyce, ale nie znalazł żadnych otwartych ran. Ostrożnie stanął na nogi. Było bardzo cicho. Płomienie trawiące stojącą nieopodal ciężarówkę dawały trochę światła. W jego blasku dostrzegł dziesiątki leżących na ziemi ciał. Ciał

rozerwanych kulami, poszatkowanych bagnietami, zwęglonych od zapalających bomb.

Ciał zastygłych z poskręcanyimi kończynami, z wytrzeszczonymi z bólu oczyma.

Bobo złamał się wpół i zwymiotował. Wkrótce żołądek był pusty, lecz skurcze wciąż szarpały jego obolałymi trzewiami. W końcu ustały, chochlik wyprostował się i otarł usta wierzchem dłoni. Popatrzył na cielsko wielbłąda, który runął na niego podczas bitwy. Gdzieś tam głębiej leżą pogrzebani Dukka i reszta. Musiał do nich dotrzeć. Rozejrzał się gorączkowo w poszukiwaniu czegoś, co pozwoliłoby mu przesunąć ścierwo.

Nagle dostrzegł odcinającą się na tle nieba ciemną sylwetkę. Ktoś klęczał na piasku, zwrócony do niego plecami.

- Hej! - zawołał Bobo. - Chodź tu i pomóż!

Postać nie odpowiedziała, nie poruszyła się nawet. Chochlik wyszedł z okopu i na chwiejnych nogach przeszedł kilka kroków. Z bliska dostrzegł, że plecy i głowa postaci drgają i trzęsą się w dziwny sposób. Być może to złudzenie - pomyślał.

Przestępując kilka rozciągniętych na ziemi trupów, zbliżył się i położył dłoń na ramieniu klęczącego.

- Hej, kolego... - zaczął.

W tej samej chwili zrozumiał, że nie dotyka zwykłej żyjącej istoty. Jej ciało było dziwnie twarde, jakby wyciosane z kamienia. Odkoczył jak oparzony, gdy postać odwróciła się i ryknęła.

W twarzy szarej jak piasek pustyni jarzyły się czerwienią niewielkie wściekłe ślepie. Rozdartą w ryku paszczę wypełniały rzędy ostrych jak igły kłów. Spomiędzy nich zwisały strzępki okrwawionego mięsa. Mięsa żołnierza, którego ta bestia jeszcze przed chwilą pożerała.

Bobo rzucił się w tył, jego noga zagłębiła się w coś miękkiego, co całkiem niedawno było czyimś mózgiem. Pośliznął się i runął na plecy. Potwór poruszał się błyskawicznie. Naprężając mięśnie wybił się w górę i wylądował na klatce piersiowej chochlika. Twarde jak kamienie ręce zacisnęły się na szyi Bobo, a paszcza przybliżyła do jego twarzy. Oddech monstrum cuchnął jak wnętrze starego grobu. Pięść chochlika zatoczyła łuk i wyrznęła przeciwnika w szczękę. Potem jeszcze raz i jeszcze. Stwór potrzęsął łbem, lecz nie poluzował dławiącego gardło chwytu. Bobo oddałby teraz wszystko za haust świeżego powietrza. Niestety, w tej sytuacji było ono towarem ściśle reglamentowanym.

Nie miał już siły walczyć, jego ręce trzepotały jak skrzydła rannego ptaka, bijąc w uwalany krwią piasek pustyni. Wtem lewa dłoń uderzyła w coś twardego i ostrego. Ból otrzeźwił go na chwilę. Bagnet. Chciwie zacisnął palce na rękojeści. Pysk potwora zbliżył się jeszcze bardziej do

jego twarzy, jeszcze sekunda i zęby rozerwą skórę.

Szarpnął głową i uderzył czołem. Cios nie był silny, ale na mgnienie oka powstrzymał spożywcze zapędy monstrum. To wystarczyło. Chochlik poderwał w górę dłoń ściskając bagnet, jego ostrze wbiło się prosto w czerwone ślepie. Potwór ryknął, a Bobo z satysfakcją odczytał ból wibrujący w tym dźwięku. Oburącz chwycił rękojeść sterczącego w oczodołu noża, mocno pchnął i przekręcił. Ostrze zazgrzytało o wnętrze czaszki, ryk urwał się, a bezwładne, śmierdzące cielsko oklapło. Chwył na gardle zelżał.

Bobo oderwał nieruchome łapy od swej szyi i głęboko odetchnął. Choć zmaltretowana krtań powitała bólem wpadające doń powietrze, było to najcudowniejsze uczucie na świecie. Jeszcze dwa, trzy oddechy i mógł wyczołgać się spod leżącego na nim trupa. Wstał, wyprostował z trzaskiem obolałe plecy, zaparł się stopą o głowę bestii i wyszarpnął bagnet z jej oka. Potem szybkim ruchem rozplątał jej gardło. Dla pewności.

- Gratulacje. Zaskakujecie mnie, szeregowy - powiedział ktoś za jego plecami. Głos miał szorstki i jakby znajomy.

Bobo odwrócił się powoli i spojrzał w twarz kapitana Jeffreya Dahmera z kontrwywiadu. Lufa trzymanego w jego dłoni rewolweru mierzyła prosto w brzuch chochlika.

- Szkoda, że to już koniec niespodzianek. Przynajmniej dla ciebie. - Nie ogolona twarz skrzywiła się w brzydkim grymasie.

Bobo ścisnął śliską od krwi potwora rękojeść bagnetu i spojrzał oficerowi w oczy.

Dahmer zaniósł się nieprzyjemnym, szczekliwym śmiechem.

- Myślisz, że zdążysz dobiec do mnie z tym swoim śmiesznym nożykiem? - wycedził przez zęby.

Jego palec delikatnie objął język spustu. Bobo przygotował się do skoku. Huk wystrzału i łoskot walącego się na ziemię ciała zabrzmiały niemal jednocześnie.

Chochlik rozluźnił mięśnie i nic nie rozumiejąc, patrzył, jak z roztrzaskanej czaszki Dahmera wylewa się czerwonoszara maź.

- Szkurwyszyn - powiedział sierżant Szprot i przeładował karabin.

Pierwszy raz w życiu Bobo miał ochotę uściskać krowę.

- Sierzancie... - wyszeptał, próbując opanować drżenie kolan. Powoli opadł na ziemię, obiecując sobie, że nie wstanie, dopóki świat nie przestanie wirować.

Minitaur podbiegł i przykucnął obok.

- Trafił cze? - zapytał z troską.

- Nie, to tylko... to chyba szok. Za dużo przeżyć.

- Przeżył jeszcze dobre. Gorsze jeszcze nieprzeżył.

Bobo uśmiechnął się, patrząc w pochylony nad nim łaciaty pysk.

- Dzięki.

- Nikt nie będzie szczelał do moich żołnierzy. - Szprot wzruszył ramionami.

- Właśnie zabił pan oficera, sierzancie.

- A bo to pierwszego? Myślisz, że za czo kibluję w karnej kompanii?

Minęła dłuższa chwila, zanim te słowa dotarły do umysłu Bobo. Podniósł się i usiadł obok sierżanta.

- Jak pan powiedział? Karnej?

- Nie powiedzieli wam? To jeszcze... była Kompania Sztraczeńców. Chłopaki na pszemiał. Ale tego, żeby oficer zabijał żołnierzy, to nawet tu jeszcze nie było.

- Oficer i jeszcze to. - Bobo wskazał leżącego obok potwora.

Oczy minitaura rozszerzyły się ze zdumienia. Bestia była wzrostu dobrze wyrosniętego dziecka i na tym kończyło się jej podobieństwo do jakiegokolwiek znanej im istoty. Lśniący w blasku księżyca tułów i kończyny sprawiały wrażenie wykutych z czarnego wypolerowanego kamienia. Imponująca rzeźba mięśni przypominała posągi sporządzone dłutem antycznych artystów. Całe wrażenie psuła głowa: miękka, skórzasta, o szarej karnacji. W miejscu gdzie zwykle znajduje się twarz, stwór miał jedynie dwie małe kropki oczu i ogromną okrągłą paszczę uzbrojoną w setki ostrych kłów.

- Obsydlistfo. To jeden z tych beduinów? - Szprot splunął na ziemię.

- Raczej nie. To był jeden z nich. - Bobo wskazał walające się na piasku strzępy mięsa, niedoszłą kolację bestii.

- Tszeba sprawdzić, co z chłopakami. - Sierżant kopnął martwe ścierwo i ruszył do okopu. Bobo potruchtał za nim.

We dwóch, sapiąc ciężko i dysząc, odsunęli cielsko wielbłąda przygniatające ich towarzyszy. Byli nieprzytomni, ale żyli. Szprot pochylił się nad nimi i sprawnie obwiązał bandażami co poważniejsze obrażenia. Potem odkręcił manierkę i poił

leżących cuchnącą i z pewnością wysokoprocentową substancją. W tym czasie chochlik zmusił się do zbadania kilku otaczających go martwych ciał. Po chwili był już bogatszy o dwa rewolwery, karabin i kilka granatów. Znalazł też pełen wody bukłak i jakieś suszone mięso.

Pacjenci sierżanta Szprota powoli odzyskiwali przytomność i starali się ze wszystkich sił odsunąć od podtykanej im pod nos manierki.

- Zabierz to świństwo! - Dukka zaniósł się kaszlem.

- Na czym to pędziłeś? Na starych skarpetach? - William Bosfor Kolejny usiłował powstrzymać torsje.

- Na skarpetach tesz. Nie chcecie, nie pijcie - nieco urażony Szprot zakręcił manierkę.

- Mi smakuje. Trochę jak zacier tatusia - pocieszył go Wiewiór.

Bobo popatrzył na nich i poczuł, jak kamień spada mu z serca. Żyli. Na razie - upomniał się w myślach.

- Słuchajcie, wpadliśmy jak śliwka w gówno - westchnął i pokrótce streścił im ostatnie wydarzenia. Po ponownych oględzinach ciała kamiennego stwora zapadła głucha cisza.

- I mówisz, że dowództwo uciekło? - upewnił się William.

- Jeden wrócił - Bobo wskazał stygnącego trupa Dahmera. - Może pozostała dwójka też.

- Ta cała impreza śmierdzi bardziej niż woda Szprota - mruknął Dukka.

Przykucnął nad kilkoma zwłokami żołnierzy i badał aż nazbyt widoczne ślady ugryzień. - Tych koleżków z zębami było na pewno więcej. Proponuję uzbroić się i ruszyć z powrotem do fortu - dodał.

- W nocy? - zapytał Wiewiór.

- W dzień się usmażymy. Poza tym nie wiem, czy obozowanie tutaj jest dobrym pomysłem.

Skompletowanie uzbrojenia zajęło im kilka minut. Za radą Szprota dwukrotnie sprawdzili stan amunicji i posilili się przed drogą. Sierżant miał wyraźnie lepszy humor, odkąd przytroczył sobie do pasa oficerską szablę zabraną martwemu Dahmerowi. Ale nawet dla niego późna kolacja pośród setki trupów nie była czymś przyjemnym. Jednak z prostego rachunku wynikało, że lepiej mieć siły do walki.

- Jeszcze muszę na stronę - odezwał się przeproszającym tonem William i oddalił

się o kilka kroków. Stał w rozkroku, rozpiął rozporek i wpatrzył się w rozgwieżdżone niebo.

Wtedy ziemia uciekła mu spod nóg.

- Gdzie on się podział? - zawołał Bobo, gdy gruby arystokrata zniknął z ich pola widzenia.

Poderwali się na nogi i podbiegli. W miejscu, w którym jeszcze przed chwilą Bosfor oddawał dług naturze, ziała sporych rozmiarów dziura; W głębi, pomiędzy ziarenkami osypującego się piasku, w bijącej z dołu żółtawej poświacie dało się dostrzec kamienne, okrągłe ściany.

- Studia na pustyni to fajna sprawa. W normalnych okolicznościach... - jęknął Bobo.

Odczepił od siodła leżącego nieopodal konia pęk liny, mającej pierwotnie służyć do pętania jeńców.

- Chcesz tam zejść? - zapytał Wiewiór konspiracyjnym szeptem.

- Nie chcę. Ale zejdziemy. Wszyscy.

Po krótkim zastanowieniu mały goblin wzruszył ramionami.

- Dobra. W końcu nasz kolega to był.

- Jest - powiedział z naciskiem Bobo. - Jest naszym kolegą.

Nie mówiąc nic więcej, po kolei opuścili się w czeluść.

XI

Kamienna studnia kończyła się po kilku metrach, przechodząc w rozległy korytarz. Na jego środku, na kupie piachu leżał nieprzytomny arystokrata.

- Budzimy go i spieprzamy - zaproponował nerwowo Dukka.

Pozostali bez dyskusji przyjęli jego plan. Szprot przykucnął przy głowie Bosfora i wyciągnął swoją cuchnącą manierkę. Po kilku łykach wlanych siłą do gardła grubas zakrztusił się i otworzył oczy.

- Upadłem i nie mogę wstać - zakomunikował.

- Lepiej, żeby ci się jednak udało, bo mam złe przeczucia, jeśli chodzi o starożytne lochy ukryte pod pustynią - odparł Bobo, łapiąc Williama pod ramiona.

W końcu z pomocą Szprota i Wiewióra udało mu się postawić do pionu tworzące go kilogramy.

- Chyba złamałem rękę - jęknął grubas, trzymając się za bezwładne ramię.

- To akurat twoje najmniejsze zmartwienie. Wracamy - zawołał Dukka i chwycił linę.

Sznur nie stawiał żadnego oporu. Jego drugi, gładko ucięty koniec wylądował obok nóg dzinna.

Patrzyli na niego w milczeniu.

- Co teraz? - Wiewiór w końcu przerwał ciszę.

- W górę nie damy rady. Wspiąłbym się jakoś do miejsca, gdzie kończy się cembrowina. Potem, po lecącym w dół piachu, bez szans - powiedział zrezygnowanym tonem Dukka.

- Robimy rozpoznanie - Szprot przypomniał sobie, że wciąż jest formalnym dowódcą. - Bobo, za mną - rozkazał.

Z odbezpieczoną bronią ruszyli w wybraną losowo stronę. Korytarz był stary. Jego ściany pokrywał kurz. Zbudowany był solidnie, lecz bez użycia zaprawy. Szare, chropowate kamienie dopasowane były do siebie tak idealnie, że tworzyły zwartą całość.

- Zastanawiam się, skąd się bierze to światło, sierzancie - szepnął Bobo.

Szprot przejechał dłonią po ścianie i pokazał chochlikowi zakurzony palec.

Drobiny pyłu lśniły nikłym blaskiem.

Po kilkudziesięciu metrach natrafili na zagradzające przejście rumowisko.

Osypało się z pewnością przed wielu laty. Świadczył o tym przygnieciony ogromnym głazem szkielet.

Szprot kucnął przy nim i delikatnie zbadał strzępy materiału, opinające pożółkłe kości.

- To mundur - powiedział. - W takie wdzianka ubierali naszych żołnierzy ze szto lat temu.

Bobo popatrzył na szczerzące zęby kościotrupa i głośno przełknął ślinę.

- Wracamy? - zaproponował.

Po zrelacjonowaniu efektów krótkiej wyprawy reszcie oddziału nastroje - co wcześniej wydawało się niemożliwe - znacznie się pogorszyły.

Pozostał im już tylko jeden kierunek marszu. Szprot wystawił na czujce Dukkę, sam w towarzystwie Bobo szedł w odległości kilku metrów za nim. Pochód zamykał

Wiewiór i Bosfor z ręką obwiązaną strzępami mundurowej koszuli i usztywnioną pochwą od bagnetu.

Po kilku minutach ostrożnego marszu doszli do zakrętu. Dukka zatrzymał

kompanów gestem uniesionej dłoni i wyjrzał zza winkła. Po sekundzie cofnął głowę i patrząc na Szprota, pokazał dwa palce. Sierzant przytknął owłosiony, gruby paluch do ust, nakazując ciszę, po

czym bezszelestnie dołączył do dżinna.

Za zakrętem, twarzą do ściany, kołysząc się lekko na ugiętych nogach, stały dwie postacie bliźniaczo podobne do stwora, który wcześniej zaatakował Bobo. Szprot zacisnął dłonie na karabinie, Dukka chwycił rękojeść noża. Uderzyli razem.

Krepy sierżant biegnąc pochylił głowę i bykiem wyrznął w brzuch pierwszą z postaci. Jeden z jego rogów pękł w zderzeniu z twardym jak granit ciałem, impet uderzenia zrobił jednak swoje. Szprot uniósł broń i szybkim uderzeniem kolby zmiażdżył głowę powalonego potwora. Drugi stwór miał tak samo pechowy dzień.

Dukka przemknął pod ścianą, pojawił się za jego plecami i zamknął w mocnym uścisku. Ostrze bagnetu wgryzło się głęboko, Broczące czarną juchą ciało upadło, odcięta głowa poturlała się po pokrytej piachem posadzce.

Dżinn uśmiechnął się do sierżanta. - Trzy do zera. Nasi górą - szepnął.

Jego uśmiech zbladł, kiedy popatrzył na ścianę korytarza. Wisiała tam ogromna, wyciosana z piaskowca tablica, pokryta tysiącem znaków. Szprot spojrział spode łba, nic nie rozumiejąc. Dla niego wykute na ścianie litery - jeśli w ogóle nimi były - wyglądały jak banda pijanych dżdżownic.

- Pójdę po resztę - powiedział cicho.

Kiedy oddział wyłonił się zza zakrętu, Dukka wciąż studiował tablicę. Miał minę dziecka, które odkryło nagle, że tata lubi przebierać się w sukienki mamusi.

- Co to za robaczki jakież? - zapytał Wiewiór, lustrując dziwne hieroglify.

- Pismo - odparł dżinn. - Pierwotna wersja mojego języka. Stara, ale chyba umiem to odczytać.

Zamilkł i przez dłuższy czas bezgłośnie poruszał ustami. Kiedy skończył, odwrócił się do Szprota i zapytał:

- Sierżancie, macie jeszcze tę swoją gorzałę na skarpetach?

Minitaur ze zdziwionym wyrazem pyska podał mu manierkę. Dżinn, krzywiąc się potwornie, pił długo. W końcu oderwał naczynie od ust.

- Pamiętacie tę bajeczkę o księżniczce, wezyrze i golemach? - zapytał. - Wyszło na to, że to była wersja ocenzurowana. Przeczytam wam.

W miarę, jak Dukka odcyfrowywał zapis, twarze przymusowych żołnierzy bladły.

Na ścianie umieszczono coś w rodzaju fragmentu religijnej księgi. Opowiadał on o przepięknej dziewczynie, Jattce, nazwanej później przez potomnych Krwawą. Od dzieciństwa, wychowana w zdominowanym przez mężczyzn społeczeństwie, cierpiała w roli kucharki, sprzątaczkii, córki, potem żony. Miała ambicje. Gdy została żoną sultana, na jej drodze stanął wezyr Arrakis. Znanymi tylko sobie sposobami potrafił

on wejrzeć w przyszłość, a to, co tam zobaczył, sprawiło, że spędził pięć długich lat, tworząc armię. Jego żołnierze, zrobione z krwi, gliny i kamienia golemi, miały tylko jeden cel - zniszczyć wojska sultana Abrukka i zamordować jego żonę. Okazało się jednak, że czytanie przyszłości jest jak chwytanie kół powstałych na tafli jeziora po wrzuceniu doń kamienia. Arrakis zrozumiał to dopiero wtedy, kiedy armia zauroczonych przez Krwawą Jattkę golemów wyrznęła w pień pół królestwa. Wezyr, zanim zginął od klów potworów szturmujących jego pustynną wieżę, zdążył

wypowiedzieć jeszcze słowa klątwy. Słowa, które na wieki uwięziły Jattkę i golemi w podziemnych korytarzach.

- Co sto lat setkę mężczyzn złożyć w ofierze trzeba, inaczej Krwawa Jattka w pył pustyni się zmieni - odczytał ostatnie słowa Dukka.

- Ale sam powiedziałeś, że to bajka była, legenda. - Bobo sięgnął do kieszeni po papierosy.

Dżinn zmierzył go ponurym wzrokiem i kopnął w jego stronę odciętą głowę golema.

- Jemu to powiedz - mruknął.

- Nasza kompania miała szetkę chłopa. Do tego trza liczyć beduinów. Ta szuka ma szpokojnie naszstępne szto lat w kieszeni - odezwał się sierżant.

- Znajdźmy jakąś drogę na zewnątrz i spieprzajmy. Starożytne historie zostawmy pod ziemią - zaproponował Bobo.

Poszukiwanie drogi nie jest trudne, jeśli do przodu prowadzi tylko jeden korytarz.

Posuwali się ostrożnie, nie wydając niepotrzebnych dźwięków. Nie niepokojeni przez nikogo przemierzili około kilometra, aż natknęli się na prowadzące w górę schody.

- Przynajmniej to dobry kierunek - szepnął Bosfor, gdy wspinali się na strome stopnie.

Widok, jaki rozciągał się na szczycie, wcale nie poprawił im humoru.

Schody wychodziły na małą skalną półkę, zawieszoną nad przepaścią wypełnioną czarną bulgoczącą mazią. Na drugą stronę otchłani wiódł chybotliwy, spróchniały most. To wszystko nie było jeszcze takie złe. Depresję wywołać mógł jednak widok wycinka nieba, błyskającego gwiazdami w skalnej szczelinie u sklepienia jaskini.

Wysoko nad ich głowami. Zbyt wysoko.

- Nie dostaniemy się tam. Chyba że umiecie latać - westchnął Bobo.

- Czasem wolność jest zbyt blisko, by można było po nią sięgnąć - stwierdził filozoficznie William, poprawiając opatrunek na złamanej ręce.

Rzucili ostatnie tęskne spojrzenie w stronę widocznego w szczelinie nieba i wkroczyli na most. Deski trzeszczały niebezpiecznie pod ich nogami, posuwali się więc bardzo wolno. Kipiąca w dole czarna substancja nie zachęcała do kąpieli.

W połowie przeprawy przez przepaść Wiewiór pociągnął nosem.

- Śmierdzi jak na stacji paliw u mojej ciotuni - powiedział.

Bobo poczuł, jak odpowiednie trybiki w jego umyśle wskakują na właściwe miejsca.

- Ropa - stwierdził. - Nie palić, nie strzelać, bo wylecimy wszyscy w powietrze.

W milczeniu przebrnęli na drugą stronę mostu. Powitały ich tam wykute w skalnej ścianie wrota. Zacisnęli mocniej palce na broni i ruszyli naprzód. Korytarz zaprowadził ich do kolejnej ogromnej grotty. Na jej środku tkwiło usypane z kamieni wzgórze. Wierzchołek wieńczył kilkumetrowy posąg z czarnego granitu, przedstawiający kobietę z rozłożonymi na boki rękoma.

- To chyba serce świątyni tej morderczej paniusi. Cofać się nie ma sensu, więc... -

Dukka zawiesił głos.

Jego towarzysze popatrzyli po sobie.

- Idźmy - zdecydował Szprot.

Wędrówka po osypującym się zboczach nie była łatwa. Pierwsi na szczycie stanęli dżinn z miniaurem, potem Bobo z Wiewiorem. Bosfor, któremu złamana ręka dokuczała coraz bardziej, włókł się na szarym końcu.

- Witam was, o męskie plemię - odezwała się Krwawa Jattka, czekająca na nich u stóp czarnego posągu.

Stwierdzenie, że była piękna, wobec jej urody wydawało się prostackim bluźnierstwem. Była jak chleb dla głodnego i woda dla spragnionego. Kwintesencja boskich kształtów, harmonijnych rysów twarzy i tego czegoś, co - choć nie nazwane -

sprawia, że serce zaczyna bić coraz szybciej.

- Czekałam na was - dziewczyna zmrużyła swe migdałowe oczy i uśmiechnęła się.

Bobo czuł, że jego dusza dostała skrzydeł, chciał śmiać się i płakać jednocześnie, śpiewać o

szczęściu, jakie go spotkało, gdy ujrzał najpiękniejszą istotę stającą po Zaświecie. Obok niego Dukka z dziwnie zamglonym wzrokiem opadł na kolana i pochylił głowę w geście poddania. Wiewiór stał jak sparaliżowany i zastanawiał się, czy powinien wyłupić sobie niegodne tak cudownego widoku oczy. Szprot potrząsał w otępieniu głową, a strużka śliny ściekała z kącika jego ust.

- Uczynię was swymi małżonkami, doświadczyć rozkoszy nie danych żadnemu śmiertelnikowi. Oddajcie mi hołd - kusila kobieta głosem słodszy od najśłodsze miód.

Nie wszyscy lubią miód. William Bosfor Kolejny, który właśnie dotarł na szczyt zbocza, zamachnął się zdrową ręką i wyrzucił Jatkę w sam środek jej przepięknego czoła.

- Dziękuję, już byłem żonaty - sapnął, gdy upadła u jego stóp. Wyjął z kabury rewolwer, odciągnął kurek i wystrzelił kilkakrotnie, okrutnie dziurawiąc doskonałe ciało.

Powietrze rozdarł przeraźliwy krzyk. Jattka wyła, jej czerniejąca w oczach skóra pokryła się setkami brodawek i liszajów. Białe zęby zżółkły i wydłużyły się. Migdałowe oczy zapalały czerwienią.

Pierwszy z otępienia ocknął się Szprot. Złapał królową golemów w pół, podniósł w górę i przełamał na kolanie. Jej kręgosłup trzasnął. Ostatnim, rozpaczliwym ruchem Jattka machnęła szponiastą łapą, kalecząc twarz sierżanta. Minitaur zawył, uniósł

kobietę nad głowę i cisnął w dół.

- Moja królowo! - rozległ się pełen rozpacz krzyk u wejścia do jaskini.

Kapitan Albert Fish stał bez ruchu, obserwując całą scenę przerażonymi oczyma.

- A ten tu skąd? Jeszcze jego brakło - warknął Wiewiór i poderwał karabin do ramienia. Kula roztrzaskała mostek kapitana.

Za plecami usłyszeli chrobot osypujących się kamieni. Z dziur, którymi usiana była ściana jaskini, wypęzły dziesiątki czerwonych golemów.

- Oddziaaaa! w tył zwrot! Czel, pal! - wydarł się sierżant.

Pięciu straceńców otworzyło ogień w nadziei, że drogo sprzedadzą swoją skórę.

W takich chwilach zwykle każdy żałuje, że nie jest religijny. Krótka modlitwa zmówiona na chwilę przed śmiercią i ucałowanie noszonego pod koszulą świętego medalika nie zmienia biegu wydarzeń, ale mogą wzmocnić ducha w ostatnich sekundach życia. Mogą na chwilę odwrócić uwagę od ostrych szponów, które właśnie zamierzają rozplatać ci gardło.

W takich chwilach zwykle żałuje się wielu rzeczy. Tych, które robiliśmy ze strachu, i tych, których nigdy nie mieliśmy odwagi zrobić. Kiedy śmierć zagląda ci w oczy, żal jest po prostu naturalną reakcją organizmu.

Dukka nie żałował niczego. Dlatego wolał umrzeć tak, jak żył, po gangstersku, z hukiem i dużą liczbą trupów. Jego palec zacisnął się na spuście tak mocno, że nie oderwałaby go od niego nawet ciężarówka z napędem na cztery koła. Lufa karabinu płuła ogniem, masakrując szturmujące ołtarz golemów.

Nie żałował niczego. No, może tego, że nie wziął ze sobą większej ilości amunicji.

Kiedy iglica jego karabinu szczękła w pustej komorze zamka, kiedy opadł dym, ujrzał kilkanaście wyszczerzonych w dzikiej furii pysków. Potwory błyskawicznie przeskakiwały ciała swych rozszarpanych kulami braci, wspinając się po kamienistym zboczu.

Bobo wciąż jeszcze strzelał, roztrzaskując łby zbliżających się szybko golemów.

William, z jedną opuszczoną wzdłuż ciała złamaną ręką, walił z rewolweru w nadciągającą falę wrogów. Szprot i Wiewiór ciskali granaty. Ich los zdawał się jednak być przesądzony.

Karabin chochlika umilkł, wyrzucając z komory gorącą łuskę. Bobo sięgnął do kieszeni po

ostatni magazynek, gorączkowo szepecąc coś pod nosem.

- On musiał jakoś tu wejść, musiał tu wejść... - bełkotał.

Zamek szczęknął i wrócił do właściwej pozycji. Strzał, eksplodująca głowa potwora, który podszedł zbyt blisko.

- On tu jakoś wlaź! - wrzasnął Bobo. - Kapitan Fish! Jakoś tu wszedł! Możemy uciec!

Szprotowi nie trzeba było dwa razy powtarzać.

- Odwrót! - ryknął, dobył zdobyczej szabli i popędził po zboczu.

Część golemów zablokowała dojście do mostu. Zarzynali je w biegu. Szabla sierżanta wypruwała z nich wnętrzności, kule Bobo i Williama roztrzaskiwały czaszki.

Byli już przy wrotach, kiedy Wiewiór potknął się i upadł. Jeden z potworów skoczył na niego i wgryzł mu się w kark. Dukka dopadł go odrobinę zbyt późno. Ciął bagnetem przez obrzydliwy łeb, kopniakiem wybił zęby. Wiewiór leżał bez ruchu. Dżinn podniósł szczupłe ciało i zarzucił sobie na plecy. W otwór wrót wbiegł jako ostatni.

Szprot i reszta zatrzasnęli za nim ciężkie drzwi i zasunęli kamienny rygiel.

- Tam! - zawołał Bobo.

Po drugiej stronie mostu ze szczeliny w sklepieniu jaskini zwisała sznurowa drabinka, pozostawiona tam przez Alberta Fisha.

Pobiegli nad czarną, kotłującą się otchłanią.

- One chodzą po skałach pionowych. Dopadną nas na pustyni, dogonią - szeptał w ucho Dukki odzyskujący przytomność Wiewiór.

- Może dopadną, może nie. - Dżinn próbował skupić się na biegu po chybottliwych deskach mostu.

- Dojdą nas. To tak samo jak u nas na dzielnicy. - Goblin zakaszłał krwią. -

Robiliśmy hurtownię jedną. Heniek Gołowąs, ja i jeszcze paru. Cichy alarm był, gliny podjechały. Mieli nas. I wtedy... wtedy Heniek mówi: Idźcie, wyroki macie, ja z kartoteką czystą. Zostawcie mnie, mówi.

- Nikogo nie zostawimy - burknął Dukka. Dotarł już do połowy drogi nad przepaścią.

- Tak też mu żeśmy mówili. - Głos Wiewiór a był coraz słabszy. - A on śmieje się i powiada... powiada, jak wrócicie na dzielnicę, powiedzcie ojcu, żeby gar zacieru wstawił, że wracam za lat trzy do pięciu. I wyrwał deskę ze skrzyni, i poleciał sam na tych gliniarzy. Myśmy uciekli.

Dżinn zacisnął zęby i przyspieszył kroku.

- Jak wrócicie na dzielnicę, Dukka, to nikomu nie mówcie, żeby czekał na mnie. A zacier sami wypijcie.

- Nikogo nie zostawimy - powtórzył dżinn.

- Ja za dużo krwi straciłem, nie dotrzymam. Jak Edek Pistolet, co to go pies użarł, jak sklep jubilera robiliśmy. - Goblin wyciągnął chudą rękę i wetknął coś w dłoń Dukki. - Masz, pamiątka taka - szepnął.

Dukka dobiegł do drabinki. Bobo i reszta wspięli się już wysoko. Dżinn rozwarł dłoń i spojrzał na leżący na niej mały przedmiot.

- Teraz musisz mnie zostawić - uśmiechnął się blado Wiewiór. - Połóż mnie tu, na mostku połóż.

Dżinn spełnił jego prośbę.

- Wrócisz na swoją dzielnicę, mały. W sercu moim wrócisz - powiedział.

Otarł spływającą po policzku łzę i schował do kieszeni podarowaną przez małego opryszka zawleczkę. Zsalutował mu i wspiął się szybko po drabince.

Wiewiór leżał na spróchniałych deskach pomostu, nad jeziorem pełnym ropy, i tulił do piersi

odbezpieczony granat.

Uśmiechał się, kiedy czarne kamienne drzwi pękły i runęły pod naporem golemów. Uśmiechał się, kiedy bestie dobiegły do niego, szczerząc oślinione kły.

Uśmiechał się również wtedy, kiedy granat eksplodował, zamieniając grotę w płonące piekło, a on, goblin zwany na dzielnicy Wiewiorem, trafił do raju dla chuliganów.

XII

Następny miesiąc wojny z Babilonem spędzili w lazarecie, gdzie sympatyczne pielęgniarki leczyły ich rany odniesione w walce i podczas morderczego marszu przez pustynię. Za szczególne zasługi Bobo, William i Dukka zostali awansowani na kaprali, a Szprot dochrapał się stopnia sierżanta sztabowego. W końcu - według raportu sporządzonego przez minitaura - byli bohaterami wojennymi, którzy dzielnie przeciwstawili się przeważającym siłom wroga, broniąc ważnego dla Zaświata przyczółku na Wzgórzu Golema. Raport wspominał też o poległych na barykadach wojny o demokrację kapitanach Jeffreyu Dahmerze i Albercie Fishu oraz zaginionym w akcji pułkowniku Berkowitzu. Szprot długo wzbraniał się przed gloryfikowaniem tych „szcierwogłowych gófiem”, ale Dukka podczas długiej nocnej rozmowy wytłumaczył mu, że tak będzie lepiej dla wszystkich.

Wiadomość o zakończeniu wojny i podpisaniu paktu o nieagresji między księciem Husseinem a prezydenckimi bliźniakami uczcili skromnie gorzałą z zapasów Szprota.

Nie mówili wiele, bo i wszystko zostało już powiedziane. Pierwszym transportem wrócili do domu.

XIII

Wiele dni później w podłej spelunie gdzieś na obrzeżach Miasta wysoki mężczyzna w nasuniętym na czoło kapeluszu dopił piwo i wsadził w usta wykałaczkę. Rzucił kilka oboli łysemu barmanowi w siatkowym podkoszulku i skierował się do wyjścia. W

drzwiach zderzył się z krępym, gładko ogolonym krasnoludem w kraciastej marynarce.

- Potrąciłeś mnie - odezwał się krasnolud spokojnym głosem. Za jego plecami wyrosły dwa ćmiące papierosy gobliny w przekrzywionych zawadiacko czapkach oprychówkach.

- Przepraszam - powiedział facet z wykałaczką i spróbował wyminąć natrętów.

Jeden z goblinów wyprowadził prosty cios w jego szczękę. Mężczyzna zdążył się uchylić, ale wtedy ten drugi uderzył go drewnianą pałką pod kolano. W dłoni krasnoluda błysnął nóż, którego ostrze gładko przecięło krtań. Trójka to dobra liczba dla facetów, których celem jest pojedynczy człowiek. Jeden może nie wystarczyć, dwóch wydaje się być liczbą odpowiednią, ale trzech daje pewność.

Były pułkownik kontrwywiadu David Berkowitz konał na brudnej podłodze, dławiąc się własną krwią. W takiej spelunce jak ta nikt nie zwrócił uwagi na jego śmierć. Nikt z wyjątkiem czterech facetów siedzących przy wciśniętym w róg knajpy stoliku. Jeden z nich, wysoki czarnoskóry przystojniak w dobrze skrojonym garniturze, podniósł się i podszedł do drgającego w agonii ciała. Schylił się i podniósł

leżącą na ziemi wykałaczkę. Skinął głową Heniowi Gołowasowi oraz jego dwóm kolegom z dzielnicy i wyszedł w mrok. Za nim opuścił spelunkę szczupły chochlik w skórzanej kurtce, potem gruby elegancki gość pod krawatem i łaciaty minitaur z ułamanym rogiem.

XIV

Wiele dni później generał von Piątka bawił na raucie u ministra obrony narodowej.

Jedzenie było doskonałe, trunki przednie, ale generał nie miał najlepszego nastroju.

Przeprosił uprzejmie pomarszczoną damę, którą przez chwilę zabawiał rozmową, i skierował się do toalety. Minał mężczyznę w białym uniformie łazienkowego i skropił twarz chłodną wodą.

Wciąż nie mógł uwierzyć, że ona, jego królowa i władczyni, nie żyje. Służył pod jej rozkazami prawie przez całe życie, od czasów manewrów na Wzgórzu Golema, w których brał udział jeszcze jako prosty chorąży. Wykonał zadanie, dostarczył jej żołnierzy, o których prosiła. Nie było łatwo przekonać prezydentów do wojny, ale przecież zrobił to! A jednak gdzieś wkradł się błąd. Selekcja i wysłanie na front nieprzydatnych dla społeczeństwa obywateli okazała się dobrym pomysłem, ale chyba trzeba było wywieźć tam samych starców i kaleki.

- A niech tam. Wojna wojną, ale żyć trzeba - powiedział głośno hobbit do swego odbicia w kryształowym lustrze.

- Pan wołał, sir? - zapytał łazienbny, wyrastając przed nim jak spod ziemi.

- Nie - odpowiedział generał. - Zostaw mnie samego.

Mężczyzna w białym uniformie nie poruszył się jednak.

- Głuchy jesteś? - ryknął von Piątka. Nie znosił niepokornej służby.

Łazienbny zacisnął pięść i wyrznął niziołka prosto w kartoflany nos.

- Ty... ty mnie uderzyłeś! - wyjąkał zszokowany generał, patrząc na krople krwi kapiące na białą podłogę.

- Nie - powiedział Dukka. - Ja cię zabiłem.

Niewielki pistolet z tłumikiem trzasnął dwukrotnie, dziurawiąc pierś przystrojoną orderami za ofiarność i odwagę. Dżinn schował pistolet i zacisnął palce na ukrytej pod koszulą, wiszącej na srebrnym łańcuszku zawleczce od wojskowego granatu.

XV

Do dziś na cmentarzu na Krzykach stoi niewielki, ale zadbane nagrobek kryjący pustą trumnę. Co roku spotyka się przy nim czterech facetów - wysoki czarnoskóry przystojniak, szczupły chochlik, gruby gość pod krawatem i minitaur z ułamanym rogiem. Mówią niewiele, puszczają tylko w obieg butelkę albo dwie. Nie potrzeba wielu słów, jeśli przeżyło się razem wojnę. Potem resztkę karnej Kompanii Straceńców rozchodzi się do swoich zajęć, każdy w inną stronę. W końcu wojna wojną, ale żyć trzeba, jak mawiał pewien generał.

Dopóki śmierć nas nie połączy

Bernard Koksik nie lubił swojej pracy. To znaczy kiedyś, jeszcze za starych czasów, nawet ją tolerował. Ale to było, zanim zwiększyli mu ten cholerny zakres obowiązków.

Teraz musiał siedzieć tu po nocy, zaciskać grube, pokryte rudawymi włoskami paluchy na stylisku łopaty i czekać. Najgorszy w tym wszystkim nawet nie był jesienny chłód, igielki zimnego deszczu kłuszące w wygolony kark i to, że dawno już skończyła się wódka. Dla Bernarda najgorsze było to, że wcześniej czy później wreszcie się doczeka.

Stary krasnolud westchnął i brudnym paznokciem podrapał się w jedną z brodawek zdobiących jego łysinę. Księżyc przyświecał tak jasno, że Bernard mógłby przeczytać napisy na otaczających go nagrobkach. Oczywiście gdyby umiał czytać. Ale gdyby umiał, nie tkwiłby każdej nocy na tym ponurym cmentarzu, więc wykute w kamieniach nagrobnych słowa też pozostałyby dla niego tajemnicą.

- I na cholere byłoby mi wtedy to całe czytanie? - mruknął Koksik, jakby usprawiedliwiając swoje braki w edukacji przed pochylającym się nad nim kamiennym pomnikiem płaczącego anioła.

Pomnik nie odpowiedział. Jedynie wzruszył ramionami.

Krasnolud przestąpił z nogi na nogę i obserwował przez chwilę trzepoczące na wietrze liście starego dębu. Jak mógł, odwlekał rozpoczęcie kolejnego tej nocy obchodu Krzyków. Doskonale wiedział, że nazwa cmentarza - być może myląca dla kogoś, kto ujrzałby go w tak spokojnej chwili jak ta - była upiornie stosowna.

- Kiedyś zawód grabarza cieszył się dużym szacunkiem - wyjaśnił posągowi, pakując palec do ogromnego nosa. - Szło się z trumienką, potem ją do dziury. Kilka łopat ziemi, kwiaty ładnie ułożyć. I wszystko w takich fikuśnych białych rękawiczkach.

Kultura, wiadomo. I finito, na flaszkę można było z kolegami iść. A i dorobić się dało na boku. I czy to komuś przeszkadzało?

Anioł ziewnął demonstracyjnie, ale Koksik jakby nie rozumiał tego gestu.

- Powiem ci, kolego, że przeszkadzało! Teraz te nowe, tfu, obowiązki wpisali w etat. I rękawiczki też psie krwie zabrali. - Ruda broda krasnoluda zatrzęsa się z gniewu tak mocno, że aż obudziły się mieszkające w niej ćmy. Zaczęły fruwać dookoła latarni, którą Bernard zawiesił na wbitym w ziemię drągu, i z nieprzyjemnym stukiem uderzały w jej szybki.

Frustracja Koksika trwała już z górą trzy lata. Wciąż pamiętał, kiedy zarządca cmentarza - albo Brudny Syn Suki, jak lubił nazywać szefa Bernard - wezwał go do siebie i przeczytał mu nowe rozporządzenie burmistrza Miasta, Dobka Skrzeli.

- Niech go piekło pochłonie, bym powiedział, ale on zdaje się właśnie stamtąd wylazł - poskarżył się krasnolud pomnikowi i niezrażony brakiem jakiegokolwiek reakcji, znów pogrążył się we wspomnieniach.

- Burmistrz Skrzela wyszedł naprzeciw mieszkańcom, którym przeszkadzają nieumarli - powiedział mu wtedy zarządca, a Koksik zrozumiał, że oznacza to dla niego coś niedobrego.

Faktycznie, wstające z grobów trupy coraz bardziej denerwowały mieszkańców Miasta. Oczywiście nie każdy drogi zmarły wstawał po własnym pogrzebie i wszczynał

zadymy na stypie. Sowiecie opłacani statystycy zgodnie orzekli, że samoczynny nawrót szczątkowych reakcji życiowych - bo tak oficjalnie nazywało się rozgrzebywanie grobu od środka - dotyczy jedynie tak niewielkiego odsetka zmarłych, że aż nie warto umieszczać go w statystykach. Odsetek jednak o tym nie wiedział i tłumnie opuszczał

groby, by potem szwendać się bez celu po ulicach i zaczepiać przechodniów. Wreszcie nadszedł dzień, kiedy trzech półnagich zombich - za życia striptizerów w klubie „De Sade”, zmarłych w wyniku pewnego nieporozumienia z panem Boschem - wdarło się na spotkanie Klubu Moralnych Mieszczek Po Czterdziestce i mając nadzieję na darmowy alkohol, zrobiło to, co umiało najlepiej. Po tym traumatycznym przeżyciu mieszczki, wspierane przez radykalny odłam Koklusz-Klanu, zorganizowały pod oknami burmistrza szereg demonstracji, domagając się ostatecznego rozwiązania kwestii nieumarłych. Burmistrz Skrzela, biorąc pod uwagę fakt, że mieszczki, w odróżnieniu od zombich, mają prawa wyborcze, wydał dekret.

- ... i oznajmia się, że każdy nieumarły, który przekroczy bramę cmentarza, ma prawo egzystować w społeczeństwie. Jednocześnie zobowiązuje się pracowników nekropolii do chwytania i dekapitacji każdego zmarłego, który wygrzebie się z miejsca pochówku, zanim do bramy dobiegnie - przeczytał Koksikowi przed trzema laty zarządca.

Potem wyjaśnił uprzejmie, że chodzi o to, by każdemu zombiemu upierdzielić łeb łopatą. Nawet za bramą, jeśli nikt nie widzi. I że za każdego, którego Koksik przepuści, pojedzie mu po pensji. Albo i gorzej.

- I tak skończyły się złote dni - poinformował krasnolud anioła, patrząc smutno na szpadel pokryty rudawymi zaciekami.

- Ty idź już, co? - Głos kamiennego posągu przypominał dźwięk osuwających się po zboczu skał. - Codziennie musisz do mnie gadać?

- Tylko co noc - westchnął zrezygnowany krasnolud, zarzucił łopatę na ramię i poczłapał wolno między groby.

Kopczyk ziemi, który wystrzelił na lewo od ścieżki, nawet go nie zaskoczył.

Pierwszy tej nocy krzyk wypełnił Krzyki. Bernard od niechcenia machnął łopatą, odcinając głowę staruszce, która widocznie zostawiła jakieś niedokończone sprawy na tym świecie. Potem było już tylko gorzej. Nieumarli byli nieliczni, ale za to szybcy.

Krasnolud musiał naprawdę się starać, żeby za nimi nadażyć. Ścigając żywe trupy, przebierał nogami w gustownych gumiakach jak gwiazda olimpiady. Szpadel unosił

się i opadał, podczas gdy grabarz zarabiał na swoją pensję. Po wszystkim, gdy na ziemię opadło już ostatnie bezgłowe ciało, Koksik oparł się o nagrobek i otarł spocone czoło.

- Fajrant - wydyszał, wkładając do ust wymiętego papierosa.

Za jego plecami chuda postać cicho wspięła się na płot okalający Krzyki i znikła po drugiej jego stronie.

II

Normalnie nie zabierał autostopowiczów. Ale tej nocy zaczął zimny deszcz, a mgła oblepiała krajobraz jak wata cukrowa. Tyle że bez cukru. I do tego ten cmentarz.

Dlatego diabeł zatrzymał się na poboczu i pozwolił, żeby ciemna, drżąca z chłodu sylwetka zajęła miejsce w jego samochodzie.

- Dokąd? - zapytał, przyciszając radio, które nadawało „Listę Wildsteina”, czyli sto największych muzycznych przebojów jesieni.

- Mmmhhmma - usłyszał w odpowiedzi.

Jak na autostopowicza facet wyglądał całkiem schludnie. Włosy tylko trochę powalane ziemią, ubranie eleganckie, w niewielu miejscach przeżarte przez robaki.

Cera zdrowo zielona, chuch zamiast podłym winem czuć było świeżym grobem.

- No to ładnie - zreflektował się Raymond. - Widzę, że mamy ucieczkę.

- Nnni zabbbija - zombi wytrzeszczył prosząco oczy.

- Nie bój nic. Jesteś za bramą. Ciesz się półzyciem.

Diabeł uśmiechnął się pod nosem. Zawsze był przeciwko dyskryminacji. Zwłaszcza jeśli dyskryminacja sprowadzała się do tego, że ci, których jest więcej, obcinają różne części ciała tym, których jest mniej. Tylko dlatego, że tym ostatnim czasem odpadnie ucho i zepsuje atmosferę proszonej kolacji.

- Dzeeeki - struny głosowe nieumarłego zaczęły przyzwyczajając się do drugiego życia. Raymond czytał kiedyś w „Świecie Paranauki”, że to uczucie podobne do pobudki na ciężkim kacu. To mógł zrozumieć.

W świetle mijanych latarni przyjrzał się dokładniej swojemu pasażerowi. Facet widocznie zmarł dość młodo, wyglądał na dwadzieścia pięć, trzydzieści lat. Spośród rzadkich szarawych włosów przebłyskiwały zaczątki śladów łysiny. Wąskie ramiona, szczupłe, długie ręce i zgarbiona sylwetka przywodziły na myśl mokrego bociana.

Wieńczący smutną twarz długi nos tylko potęgował to wrażenie.

- Jak się zwiesz? - zainteresował się diabeł.

Przez twarz zombiego przebiegł pełen namysłu grymas. Po chwili zastąpił go strach, czający się w szarych, wodnistych oczach. Usta otworzyły się i zatrzasnęły, nie wydając żadnego dźwięku.

- Nazwę cię więc Dziobakiem - zaproponował wesoło Raymond. - Tymczasowo, oczywiście.

Nieumarły westchnął ciężko i oparł głowę o szybę samochodu.

- To nie jest złe imię. Oryginalne - zapewnił szybko diabeł.

Odpowiedziało mu milczenie i stukot deszczu bijącego w dach samochodu. W końcu truposz odezwał się cichym głosem:

- Nie o to chodzi. Ja... nie jestem sobie w stanie niczego przypomnieć. Niczego!

Nawet tego, jak mam na imię. Choć na pewno nie Dziobak - zaznaczył.

- Znaczy nic a nic? Pechowo. Zawsze mówiłem, że to całe zmartwychwstanie jest przereklamowane.

- Panu łatwo się śmiać. To było straszne. Nagle obudziłem się w kompletnie nieznanym mi miejscu, z potwornym bólem głowy i brakami w pamięci - powiedział

Na-Pewno-Nie-Dziobak.

- Znam to.

- Ale panu nikt nie próbował odrąbać głowy łopatą!

- Przynajmniej nie w ciągu ostatniego tygodnia. - Diabeł wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Zombi zrezygnował z dyskusji i ukrył twarz w dłoniach. Lecz dający ulgę płacz zarezerwowany jest wyłącznie dla żywych. Trupom zostają jedynie suche spazmy.

Jeśli mają szczęście, nie odpada im przy tym głowa.

- No już, już. W porządku, kolego. - Raymond niezdarnie poklepał go po uwalanym ziemią ramieniu. Nie miał praktyki w pocieszaniu zwłok.

Na-Pewno-Nie-Dziobak popatrzył na niego, a spod powieki wyfrunęła mu mała mucha.

- Pomóż mi - wyszeptał.

- W czym niby?

- W odnalezieniu tożsamości.

- Są różne organizacje religijne, które...

- Chodzi mi o pamięć! - wykrzyknął zombi.

- Ale po co pamiętać? - burknął Raymond, zastanawiając się, czy nadmiernie podekscytowane truposze stanowią zagrożenie. - Pomyśl w ten sposób. Dostałeś nową szansę, nowe życie. No, może to akurat niewłaściwe słowo. Ale pewnie miałeś jakąś okropną teściową, kredyt w banku...

- Teściową? To znaczy, że gdzieś czeka na mnie żona! Musimy zawrócić, na nagrobku będzie przecież napisane, jak się nazywam! Niech będzie i Dziobak, ale chcę wiedzieć. - Ubłocona dłoń truposza złapała Raymonda za łokieć.

- Wyluzuj - warknął diabeł, strącając ją delikatnie. Tak, by nie odpadł od niej żaden palec. - Wrócimy i będziemy się ganiać dookoła cmentarza z jakimś maniakiem ze szpadlem? Mam lepszy pomysł - dodał, zatrzymując auto przy krawężniku.

Zza strug deszczu mrugał do niego wesoło neon, reklamujący usługi baru o pretensjonalnej nazwie: „Od zmierzchu do świtu.

Chyba mięknię na starość - pomyślał Raymond, wysiadając z samochodu. - Albo po prostu chcę się napić - dodał, wyciągając Możliwe-Że-Już-Dziobaka z kałuży, bo jego nogi jeszcze nie działały we właściwy sposób.

III

Choć obsługa i klientela leżącej przy Cmentarnym Trakcie knajpy przywykła do niecodziennych gości, mokry truposz wkraczający do środka w towarzystwie szczerzącego zęby diabła nie wywołał u niej entuzjazmu. Kilka zmęczonych, zarośniętych twarzy uniosło się niechętnie znad szklanek i kuflów. Wyjątkowo chuda tancerka, której najlepsze lata przypadły gdzieś w połowie ubiegłego wieku, omiotła ich pustym spojrzeniem i powróciła do tańca na rurze. Nawiasem mówiąc, rura też widziała już lepsze czasy.

Tłusty, pokryty brodawkami barman, który najwyraźniej postawił sobie za cel wyhodowanie nowej formy życia na przepoconym podkoszulku, też popatrzył w stronę nocnych gości. Raymond lubił się uważać za znawcę charakterów, uchylił więc uprzejmie kapelusza i błysnął wyjętą z kieszeni monetą. Barman był wampirem, a jego tusza nie świadczyła raczej o wegetariańskich gustach.

Grubas ziewnął, prezentując długie, lecz zżarte przez próchnicę kły i dźwignął cielsko z barowego stołka.

- Podać coś?

- Mleko z lodem i jakieś niedrogie piwo dla mojego kolegi.

- Nie lubimy tu takich - syknął tłusciuch, mierzając Być-Może-Dziobaka złym wzrokiem. Jego tusza zafalowała niebezpiecznie. Wyglądał jak tygrys szykujący się do skoku. Oczywiście jak tygrys, który zeżarł wcześniej cztery stada małą i wagon fasoli ze smalcem.

Diabeł westchnął ciężko. Nigdy nie potrafił zrozumieć pewnych rzeczy - polityków, zasad wypełniania zeznania podatkowego i tego, że kiedy już ma dostać w mordę, to zawsze od większego i silniejszego faceta. Ale uprzedzenia rasowe... Jasne, mógł

ostatecznie pojąć motywy białego, który nie cierpi czarnego. Czy zielonego, któremu przeszkadza gatunek małych włochatych kuleczek z Oriona. Ale kiedy zielony chce postawić pod murem wszystkich bladozielonych... Już dawno zauważył, że największe animozje występują wśród podobnych sobie. Kiedyś nawet przeżył krótki okres fascynacji tym zjawiskiem, w czasach, gdy jeździł w delegacje na Ziemię. Najbardziej ciekawili go politycy wycinający w pień dawnych kumpli z opozycji i maniacy religijni, palący na stosach najchętniej tych, którzy odrobinę inaczej interpretują to samo Pismo.

Podobnie działo się tutaj. Nie ma większego wroga żywego trupa niż inny trup, różniący się od niego głównie długością zębów. Trzeba było coś zrobić, bo inaczej w przycmentarnej knajpie dojdzie do rękoczynów.

- Bardzo przyjemne miejsce - powiedział szybko Raymond, lustrując wzrokiem pomieszczenie złożone z czarnych cegieł, pajęczyn i martwych szczurów. - Założę się, że nie macie problemów z Sanepidem.

Barman przeniósł spojrzenie małych, wodnistych oczu na diabła i brudnym paznokciem poskrobał się w szczękę. Nazwisko Egona Sanepida, rządowego magika do spraw higieny, nie poprawiało humoru pracownikom branży gastronomicznej.

Podobno nie tolerował nawet brudu za paznokciami. Wyrывał je więc specjalnymi szczypcami.

- Pracujesz u niego? - zainteresował się tłusciuch.

- Nie, ale kilku moich przyjaciół tak - skłamał gładko Raymond. - A właściwie jak się nazywasz?

- Tomasz.

- Tomasz jak?

- Tomasz Cruise. Mówią mi Tom - westchnął barman.

- No więc na pewno byś się ucieszył, gdybym szepnął im o tobie słowo - rzucił diabeł, obserwując podłogę, na której toczyła się bitwa o martwą mysz. Wygrywała dywizja mrówek, kosząc w pień zastępy larw jakichś tajemniczych owadów.

Tom Cruise milczał przez chwilę, lecz w końcu zabrał się za przygotowanie drinków.

- Będzie na koszt firmy. Może coś do jedzenia?

- Obawiam się, że musimy zrezygnować - odparł diabeł, odbierając szklanki. Na podłodze larwy przegrupowały się do ostatniej bohaterskiej szarży.

- O co mu chodziło? - zapytał Chyba-Dziobak, gdy usiedli przy jednym z potwornie zasyfionych stolików.

- Nie wiem. O frytki ze szczura?

- Chodzi mi o to, że nie lubią tu takich jak ja.

- Gadasz, jakbyś się wczoraj urodził - uśmiechnął się krzywo diabeł. - To znaczy wyszedł z grobu. Dzisiaj... Nieważne.

Truposz patrzył na niego bezrozumnym wzrokiem.

- Zapomnij. Przejdźmy do rzeczy - westchnął Raymond. - Masz szczęście w nieszczęściu. Tak się składa, że jestem tak zwanym prywatnym detektywem. To znaczy, że powinni mnie wynajmować ludzie z kupą forsy.

Zombi powoli przeszukał kieszenie. Znalezione w nich spinacz do papieru i żywą stonkę położył na stole.

- Ale zwykle pracuję dla cholernych obdartusów - warknął diabeł, patrząc w pełne nadziei oczy truposza. - Spokojnie, jak się już w to wplątałem, nie zostawię cię w pierwszej lepszej knajpie. Chociaż, po zastanowieniu, to kuszący pomysł.

Dziobak-Nie-Dziobak wyglądał jak ktoś, kogo smutek obrał na swoją letnią rezydencję.

- Dobra. Ale znajdę twoje nazwisko, może adres i się żegnamy. - Diabeł wychylił duszkiem szklankę mleka i kiwnął na barmana. - Jeszcze raz to samo - zaordynował.

Zombi wpatrywał się tępo w stojący przed nim kufel.

- Próbuję sobie przypomnieć - wyszeptał.

- To jest piwo. Dobre. - Diabeł starał się pomóc.

- Nie to. Wspomniał pan wcześniej o teściowej, o żonie. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się, że miałem ją. Małżonkę znaczy.

- Módl się, żeby tylko jedną. Historia zna takie przypadki. Naprawdę, lepiej jest nie pamiętać. Niewielu ma tak miłe życie, by warto było do niego wracać.

- Ale ja chcę!

- Żona okaże się gruba, dzieci głupie. Zaharujesz się na śmierć, żeby je utrzymać.

Znaczy na drugą śmierć. Kolejną.

- Dzieci?

- Już nic nie mówię. Pij.

Truposz wlał w siebie połowę kufła. Diabeł patrzył zdziwiony na mokrą plamę, która wykwitła na piersi umarlaka.

- Zwykle nie proszę facetów o takie rzeczy, ale czy możesz rozpiąć koszulę? - zapytał.

Zombi posłusznie uporał się z guzikami i odsłonił klatkę piersiową. A raczej to, co z niej zostało.

- No to mamy poważniejszą sprawę. Dla mnie wygląda to tak, jakby ktoś miał trochę zbędnych pocisków i postanowił cię nimi poczęstować - mruknął Raymond.

- Jestem ofiarą morderstwa? - zmartwił się Możliwe-Że-Dziobak.

- Może ta gruba żona miała cię już dosyć?

Nieumarły zapiął mokrą od piwa koszulę i wstał.

- Dziękuję za podwiezienie. I piwo. Jednak nie chcę być już ciężarem, zwłaszcza że nie stać mnie na pańskie usługi. Ale możliwe, że to jest ta dobra wiadomość -

powiedział z godnością, odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi.

Diabeł patrzył za nim, czując, jak coś go gryzie od środka. Paskudny, szkaradny stwór mieszkający w jego trzewiach. Sumienie. Postanowił utopić je w jedynym płynie, który nie pozwalał mu utrzymać się na powierzchni.

- Zamawiałem chyba jeszcze jedno mleko, nie? - rzucił w stronę grubego barmana i rozparł się wygodniej na krześle.

IV

Dogonił go na rogatkach Miasta. Truposz brnął poboczem w strugach deszczu, przez zwały błota. Raymond zwolnił, zrównał się z nim i odkręcił szybę w drzwiach auta. Po kilku wypitych drinkach zrozumiał, że jego sumienie nauczyło się już pływać.

- Wsiadaj. Ta pogoda wpędzi cię do grobu.

Umarlak nie odpowiedział. Z wypisaną na twarzy desperacją parł do przodu przez głębokie kałuże.

- Obiecuję, zostawię już twoją żonę w spokoju. Grubasy mnie nie pociągają.

- Proszę mnie nie nachodzić - warknął Potwornie-Mokry-Dziobak.

- Daj spokój. Pomogę ci, przecież obiecałem.

- Sam sobie poradzę. Wracam na cmentarz i odczytam swoje nazwisko. Choćbym napotkał mur przeciwności.

Diabeł wzruszył ramionami.

- Aha. W porządku, skoro tak wolisz... Tylko że to w drugą stronę.

Zombi zatrzymał się gwałtownie. Z jego ust wyrwało się bardzo brzydkie przekleństwo.

- No widzisz? Wreszcie gadasz jak człowiek - ucieszył się diabeł. - Wsiadaj do auta, razem różniej.

- Podwiezie mnie pan na cmentarz?

- Najpierw musimy się tobą zająć. Załatać to i owo. Inaczej po każdym posiłku będziesz musiał lecieć do pralni.

Zrezygnowany umarlak zajął miejsce pasażera. Diabeł docisnął pedał gazu.

Wjechali do Miasta, które, mimo że nigdy nie spało, właśnie się budziło.

Kierownik prosektorium Romero w przeciwieństwie do Miasta spał w najlepsze. Śniły mu się właśnie chrupiące marchewki pływające wesoło po polach soczystej kapusty.

Dlatego nie był najbardziej szczęśliwą osobą w Zaświecie, kiedy jego uszy rozdarł przeraźliwy dźwięk dzwonka. Marchewki rozwiały się w obłokach różowej mgiełki, a podstarzały lekarz ze specjalizacją w medycynie sądowej zmuszony był otworzyć oczy.

Westchnął rozziewając i wysunął się z szuflady na zwłoki, której używał w charakterze tapczanu. Dzwonek nie miał tyle przyzwoitości, żeby się zamknąć, i wciąż, po chamsku wręcz, dawał znać o swoim istnieniu.

Romero narzucił wysłużony szlafrok w zielone grochy i poczłapał przez zimne korytarze kostnicy. Za przeszklonymi drzwiami czekał na niego denerwująco wesoły diabeł i facet, który wyglądał jak ktoś, dla kogo nawet śmierć nie ma czasu.

- Wybacz, że budzimy tak wcześnie - zawołał radośnie Raymond, pakując się do środka prosektorium. - Pozwól, że was przedstawię. Zombi - ghul. Ghul - zombi.

Oba truposze zmierzyły się wzrokiem. Facet-Znany-Kiedyś-Jako-Dziobak starał się wyglądać jak najmniej apetycznie.

- Och, daj spokój - rzucił diabeł. - Romero jest wegetarianinem. Skonsumuje cię dopiero, kiedy napchasz się buraczkami i kalarepą.

Kierownik prosektorium skrzywił się brzydko.

- W czym mogę ci pomóc, Raymond? - zapytał. - Ponownie...

- Potrzebujemy obdukcji, autopsji i pomocy medycznej jednocześnie. Pomyślałem, że nadajesz się do tego idealnie.

- Możliwe. Ale jest sobota, a ty nawet nie jesteś moim szefem.

- Ale jestem starym, wypróbowanym przyjacielem, na którym zawsze możesz polegać.

- Tak jak wtedy, gdy prosiłem cię o przypilnowanie prosektorium? Żeby nikt nie wiedział, że urwałem się z pracy?

- Daj spokój. To była świetna impreza. Panienki w bikini w basenie z formaliną.

Chociaż, jeśli pomyślę o tym na trzeźwo...

- No właśnie. Zwłaszcza że część z nich nie była całkiem żywa.

- Ty też nie jesteś - uciął Raymond, który nie miał ochoty roztrząsać błędów przeszłości. - I mój kolega też nie. My właśnie w tej sprawie.

Romero ziewnął, prezentując zęby, w które mało znająca się na gustach kulinarnych ewolucja wyposażyła go z myślą o rozrywaniu zwłok. Łypnął

przekrwionym okiem i przyjrzał się stojącemu w progu umarlakowi.

- Nie wygląda najlepiej.

- Możesz zwracać się bezpośrednio do niego - zachęcił diabeł. - Ma na imię Dziobak.

- Wcale nie - zaprotestował cicho zombi.

Ghul chwycił go za brodę i dokładnie obejrzał jego twarz. Pro forma sprawdził tętno. Ostukał klatkę piersiową. Młasnęło.

- Niech wam będzie - westchnął i owinał się szczelniej szlafrokiem w grochy. -

Zapraszam na pokoje.

Pokoje okazały się jedną, sterylnie białą izbą. Kilka metalowych stołów, szuflady na zwłoki wsuwane w ścianę, zlewy, w których można obmyć strudzone dłonie.

Raymond usiadł na jedynym krześle i wyjął piersiówkę. Zombi zaniepokojony patrzył na ostre narzędzia, leżące w stalowych kuwetach.

Romero wskazał najbliższy stół. Truposz niechętnie położył się na zimnym metalu. Zamknął oczy, zacisnął zęby i wszystko pozostałe, co był w stanie zacisnąć.

Czuł, jak ręce ghula sprawnie zdejmują z niego ubranie.

- Spokojnie. Proszę otworzyć oczy - usłyszał.

Otworzył i zaraz tego pożałował. Pochylająca się nad nim brązowa; pomarszczona postać w szlafroku w grochy szczyrzyła kły. W ostrzu ściskanego przez nią skalpela odbijało się światło jarzeniówek.

- W sumie powinieneś być zadowolony. Nie każdy ma szansę przeżyć sekcję własnych zwłok - szepnął ghul, przykładając ostrze do brzucha zombiego.

Skalpel zagłębił się w miękkiej tkance. Po chwili dołączyły do niego chromowane szczypce, w które lekarz chwycił jakiś twardy przedmiot. Wyciągnął go, obejrzał pod światło i wrzucił do szklanego słoja. Dziobak patrzył na to wszystko błędnym wzrokiem.

- Musisz coś wiedzieć o sobie, kolego. - Romero wyciągnął z jego ciała kolejną grudkę metalu. - Jesteś martwy i ból zostawiłeś po drugiej stronie. To jedna z zalet życia po życiu. Taki dentysta, przykładowo, może ci skoczyć.

Truposz nie odpowiedział. Obserwował tylko, jak szczupłe dłonie w gumowych rękawiczkach kroją go i wyjmują z niego pokryte gęstym śluzem pociski. Nigdzie nie udało mu się dostrzec nawet kropli krwi.

- Twoja krew dawno już skrzepła. Widzisz te plamy na spodzie ud, ramion i pośladków? - Ghul wskazał kilka wyglądających jak siniaki miejsc na jego ciele. - To plamy opadowe. Tu zgromadziła się krew w ciągu pierwszych godzin po zgonie, kiedy serce przestało ją pompować. A teraz proponuję, żebyś trochę się zrelaksował, bo zanosisz się na dłuższe posiedzenie. Masz w sobie sporo ołowiu. Wybacz, że wkraczam w twoją osobistą przestrzeń, ale inaczej się nie da - dodał Romero konwersacyjnym tonem, tym razem grzebiąc w klatce piersiowej.

Zombi westchnął i wbił wzrok w przykurzony, poprzecinany rzędami świetlówek sufit. Gorączkowo starał się ożywić swą pamięć. Najpierw sprawdził, jak mu idzie z rachunkami. Zaczął liczyć fruujące nad głową muchy. Przy trzydziestej czwartej dał

sobie spokój. Zwłaszcza że był pewien, że tę w czapce z daszkiem i okularach policzył

co najmniej dwa razy. Po liczeniu przyszedł czas na wymienianie z pamięci nazw ulic i placów

Miasta. To ćwiczenie okazało się bardzo obiecujące. Pod zaciśniętymi powiekami ujrzał miejskie arterie z wypisanymi na nich nazwami. Nagle zorientował

się, że wie, gdzie zlokalizowane są charakterystyczne punkty metropolii, znał

położenie sklepów, stacji benzynowych, knajp. Podekscytowany, szukał na mapie pamięci tego

jednego miejsca, które powinno być oznaczone jako dom. Odtworzył w myślach centrum Miasta, lecz nie znalazł tam nic, co przywoływało osobiste skojarzenia. Wyobraził więc sobie odleglejsze dzielnice: Chłopskie Krocze, Psie Pola, Krzyki, Wyrwidęby... Nic z tego. Choć znał dosyć dobrze układ ich ulic, na żadnej z nich nie znalazł tego, czego szukał. Jego pamięć okazała się prawie tak martwa jak ciało. Z zamyślenia wyrwał go głos Romera.

- Czterdzieści osiem - uśmiechnął się trupi doktor, wycierając uwalane w lepkim śluzie dłonie w ściereczkę z deseniem polnych kwiatów. - Czterdzieści osiem pocisków z broni maszynowej. Musiałeś kogoś niezłe zdenerwować.

Milczący do tej pory Raymond zakręcił piersiówkę i podniósł się z krzesła. Dokładnie obejrzał kawałki ołowiu leżące w szklanym słoju.

- Będzie prawie dwa magazynki - mruknął.

- Wszystkie weszły od frontu, z odległości od pięciu do ośmiu metrów. I pod dwoma różnymi kątami. Co sugeruje nam dwóch strzelców, ustawionych po prawej i lewej stronie celu - kontynuował Romero.

- Jak dawno?

- Widzisz ten szary nalot? To przekształcone sadło, kwasy tłuszczowe i takie tam.

Skóra ma zielonkawy odcień, ciało w temperaturze otoczenia, ustąpiło stężenie pośmiertne. - Ghul szturchnął palcem brzuch i ramiona swojego pacjenta, po czym chwycił go za rękę i wykonał nią kilka ruchów. - To nam daje trzy do pięciu tygodni.

- Nie będzie trudno dowiedzieć się, kogo rozpruli w tym czasie ogniem maszynowym - powiedział wesoło diabeł i poklepał Dziobaka po ramieniu. - Widzisz?

Ze mną nie zginiesz.

Zombi próbował przyswoić sobie wszystkie nowe dla niego informacje. Doszedł do wniosku, że lepiej zrobi to w pozycji siedzącej.

- Spokojnie - odezwał się ghul, przytrzymując go za ramię. - Jeszcze nie skończyłem.

W ciągu następnej godziny Dziobak wielokrotnie obiecywał sobie, że już nigdy nie pójdzie do lekarza, a nienaturalnie blady Raymond, mruczając coś o wezwaniu w nagłej potrzebie, wyszedł na długi spacer.

Romero zaczął od odpiłowania pokrywy czaszki i wydobycia mózgu. Zważył go, zmierzył i włożył z powrotem na miejsce. Potem długimi cięciami rozplatał skórę na klatce piersiowej pacjenta i odwinął ją na boki. Pogmerał chwilę w narządach wewnętrznych i znów chwycił za piłę, która szybko uporała się z żebrami. Obejrzał i ostukał płuca, zbadał - od środka - gardło i język. Wyjął niepotrzebne już organy wewnętrzne i wrzucił je do plastikowego wiadra. Osuszył ciało Inianą ściereczką, pocięte kości połączył na powrót za pomocą drutu. Skórę zszył eleganckim ścięgiem, załatał także wszystkie dziury po kulach. Na koniec wstrzyknął w żyły dużą porcję zielonkawego płynu.

- To na muchy. Dadzą ci spokój przez pewien czas - wyjaśnił.

Dziobak popatrzył na niego z wyrzutem. Czuł się jak wywrócona na lewą stronę rękawiczka.

- Całe to cięcie i krojenie... Po co? - wyszeptał.

- To standardowe badanie. Jesteś zdrowy, choć za życia mogłeś ograniczyć palenie. I zażywać więcej ruchu.

- Zmasakrowałeś mnie tylko po to, żeby mi to powiedzieć?

- I po to, żeby nie przyczepiła się do mnie Naczelna Izba Lekarska. Gdyby się okazało, że zmarłeś na zapalenie płuc, a dopiero po śmierci zrobiono z ciebie strzelnicę, to co? Błędna diagnoza. I kara finansowa.

- Na drugi raz zapłacę ci tę karę, bylebyś mnie nie kroił.

Ghul spojrzał na niego z krzywym uśmiechem.

- Nie będzie drugiego razu. Nieżyje się tylko raz.

VI

Zapowiadał się naprawdę ładny dzień. Nocny deszcz zmył do rynsztoków większość śmieci i martwych szcurów, spłukał zwyczajny, zatechły smród ulic i zaułków, więc Miasto wyglądało na prawie czyste. Do tego słońce wyjrzało zza chmur, obdzielając wszystkich sprawiedliwie swoimi promieniami. Wydawało się, że nikt w taką pogodę nie ma prawa być nieszczęśliwy. A jednak.

- Powiedział, że każdy materiał ma swoją wytrzymałość i wcześniej czy później zgniję i rozsypię się. A poza tym wystarczy uciąć mi głowę i cześć pieśni - żalił się Dziobak, siedzący na miejscu pasażera w czarnym aucie, z trudem przebijającym się przez poranne korki.

- No proszę. Ledwie zmartwychwstał, a już chce być nieśmiertelny. Nie za dużo wymagasz? - skrzywił się Raymond.

- Ten twój Romero nie umiał mi też wytłumaczyć, dlaczego w ogóle wstałem z grobu. Mówi, że nikt tego do końca nie sprawdził, bo jakiś urząd obciął fundusze na badania. W każdym razie moja amnezja to rzecz podobno naturalna, choć niektórzy coś czasem pamiętają. Ja nie - westchnął zombi i wyciągnął się na fotelu.

- Ale czujesz się lepiej?

- Trochę... stabilniej. Dokąd jedziemy?

- Tam, gdzie chciałeś wrócić w nocy. Na cmentarz. Ale wcześniej coś zjemy.

- Nie jestem głodny.

- I nie będziesz, ale żarcie jest potrzebne. Musisz co jakiś czas zapchać żołądek.

Inaczej w końcu dopadnie cię ten drugi, gorszy rodzaj głodu.

Dziobak pytająco uniósł brwi. Jedna z nich oderwała się i upadła na jego kolana.

- Mówię o apetycie na flaczki i mózdzki. Te, które żywi wciąż mają w środku. Dla wspólnego dobra skus się więc czasem na jakiegoś kebaba - wyjaśnił Raymond, trzymając kierownicę jedną ręką, a drugą wyciągając z kieszeni rolkę plastra. - I przyklej sobie tę brew. Głupio wyglądasz.

Na Krzyki dotarli po niespełna godzinie, dwóch hamburgerach i zaliczeniu trzech objazdów - ze względu na zbliżające się wybory w całym Mieście ruszyły roboty drogowe.

Słońce przypiekało i nos Raymonda był wdzięczny, że Romero poświęcił chwilę na zabalsamowanie zwłok Dziobaka. Diabeł zaparkował w cieniu cmentarnego muru, wysiadł z auta i otworzył bagażnik.

- Nie możesz się pokazywać w tych trupich łachach - mruknął, patrząc na ubłocone i uwalane płynami ustrojowymi ubranie Dziobaka. - Mam w bagażniku zapasowy garnitur. Powinien pasować. Tylko uważaj, bo to mój najlepszy.

Zombi skinął głową z wdzięcznością i przebrał się szybko w białą koszulę, czarną marynarkę i spodnie. Pod szyją sprawnie zawiązał ciemny krawat. Na głowę nasunął kapelusz.

- Wyglądasz jak przedsiębiorca pogrzebowy - ocenił Raymond. Przyjrzał się zmętniałym oczom zombiego i wyciągnął z kieszeni przeciwsłoneczne okulary. - Załóż jeszcze to.

Po chwili obaj przekroczyli bramę cmentarza i rozejrzeli się niepewnie.

- Pamiętasz, gdzie leżałeś? - zainteresował się diabeł, rozglądając się po nekropolii.

- Jasne. Narysowałem sobie nawet mapkę. Oczywiście w przerwie między rozgrzebywaniem grobu a uciekaniem wariatowi, który miał ochotę odrąbać mi łeb.

- Widzę, że dochodzisz już do siebie. No nic, zrobimy rekonesans - uśmiechnął się diabeł.

Naliczyli kilkanaście świeżo zakopanych grobów. W tym cztery, w których pochowano około

trzydziestoletnich mężczyzn.

- Może to ten? - zapytał z nadzieją Dziobak, stojąc nad eleganckim nagrobkiem z napisem: „Max Power. Nieodżałowany mąż i ojciec”. - Ma dobre nazwisko.

- Tego kamienia nie odwaliłbyś od środka. Poza tym on leży tu już od czterech lat.

Tak jak jego sąsiad, Eryk Krosta. - Raymond wskazał grób z wydrapanymi w kamieniu epitafium: „Pił płyn hamulcowy”. - Tak do niczego nie dojdziemy. Trzeba to zrobić inaczej.

Diabeł sięgnął po łopatę opartą o drzewo.

- W porządku - westchnął Dziobak. - Będziemy kopać na zmianę.

Raymond popatrzył na niego rozbawionym wzrokiem, zarzucił szpadel na ramię i bez słowa ruszył wysypaną białym żwirem alejką. Zombi poczłapał jego śladem.

Chatkę grabarza znaleźli po kilku minutach. Stała wtulona w cmentarny mur i sprawiała wrażenie, że najchętniej znalazłaby się po drugiej stronie. Diabeł otaksował

wzrokiem swego towarzysza, poprawił mu krawat, chwycił pewniej łopatę i załomotał do drzwi. Po chwili w chatce coś zaszurało i zabełkotało. Drzwi skrzypnęły i uchyliły się na kilka centymetrów. W szparze łypnęło przekrwione oko.

- Czego? - zapytał łysy krasnolud, zionąc smrodem przetrawionego alkoholu.

Raymond wyszczerzył zęby, pchnął drzwi i przekroczył próg. Błysnął przed twarzą grabarza wydobyta z kieszeni legitymacją i zaprezentował trzymany w drugiej dłoni szpadel.

- Agent specjalny Max Power. Centralny Urząd Śledczy do spraw Nekropolii.

Macie kłopoty, panie...

- Koksik. Bernard - wyszeptał krasnolud, cofając się o dwa kroki.

- Ta łopata nie spełnia norm ISO, wprowadzonych dyrektywą Unii Zaświatów numer 16/32. Ale to pański najmniejszy problem. Mieliście tu o jedną ucieczkę za dużo.

W ułamku sekundy krew odpłynęła z twarzy grabarza.

- G... g... gdzie? - wyjąkał.

- Nie gęgajcie mi tu - warknął diabeł. - Mój partner, aspirant Krosta, bardzo tego nie lubi - dodał, wskazując na oszołomionego Dziobaka, który właśnie próbował przyjąć groźny wyraz twarzy.

Krasnolud przełknął głośno ślinę.

- Za takie błędy, Koksik, płaci się nie tylko posadą, ale i pobytem w ciężkim areszcie. Nie możemy pozwolić, żeby przez niekompetentnych pracowników żywe trupy niepokoiły porządnych obywateli - kontynuował Raymond.

Grabarz skulił się jeszcze bardziej i chwycił leżący na stole gruby brulion.

- Pracuję bardzo sumiennie - zapewnił, wyciągając zeszyt przed siebie. - Zgodnie z zaleceniem prowadzę rejestr i notuję wszelkie nieautoryzowane próby ucieczki.

Diabeł przekartkował notatnik i pokiwał głową.

- Wynika z tego, że dziś w nocy mieliście trzynaście przypadków samowolnego opuszczenia miejsca spoczynku. Wszystkie wykryte i zneutralizowane. Gratuluję - powiedział łagodnym tonem.

- Bardzo się staram, sir - krasnolud odetchnął z ulgą i otarł spocone czoło.

Raymond uśmiechnął się, zamknął zeszyt i położył go na stole. Jego wyraz twarzy zmienił się w ułamku sekundy.

- Pytam, gdzie jest czternaste ciało! - ryknął. - A za fałszowanie kartotek dołożymy ci kilka miesięcy w pierdłu!

Grabarz pisnął i zbladł jeszcze bardziej. Przypominał teraz jednego ze swoich ułożonych w

trumnach podopiecznych. Do tego poranny kac rozrywał mu głowę od środka. Miał dosyć.

- No fakt... jeden zwiął - przyznał, nie patrząc diabłu w oczy.

- Zamieniam się w słuch.

- Ale tu nie ma czego opowiadać. Za dużo ich było, jestem tu sam. Nie zauważyłem

- westchnął krasnolud.

- Pokażecie nam, Koksik, gdzie leżał - rozkazał diabeł.

Zrezygnowany grabarz poprowadził ich boczną, mało uczęszczaną alejką cmentarza. Zatrzymał się nad niepozornym betonowym nagrobkiem.

- To ten.

Za jego plecami dwie głowy pochyliły się ciekawie, by odczytać niewielki napis:

„Nieznany zmarły”.

- Tu chowamy tych bez... no, tożsamości. Przywożą czasem takich, co to nikt się po nich nie zgłosił, nie rozpoznał. A dokumentów nie ma - wyjaśnił grabarz.

- A ten konkretny? - spytał cicho Raymond.

- Nawet go pamiętam, bo ostatnio niewielki ruch. W papierach stało, że zawałowiec.

- Papiery skąd?

- Jak zwykle, z pogotowia. - Koksik przejrzał małą zatłuszczoną książeczkę. - To mój prawdziwy rejestr. Bez ściem. O tu, data jest.

Diabeł odebrał mu notes, wyrwał wskazaną kartkę i schował ją do kieszeni.

- Na pewno to ten, co zwiął dziś w nocy?

- Sto procent.

- Dziękujemy, obywatelu. Ostatni raz przymkniemy oko na twoje przewinienie.

Tylko pamiętajcie, nikt nie może wiedzieć o tej ucieczce. Urzędowi zależy na całkowitej dyskrecji. Powiecie komuś i idziecie za kraty.

- Oczywiście. - Koksik czuł, że z serca spadł mu kamień nagrobny.

Diabeł poklepał milczącego Dziobaka po ramieniu i poprowadził go do wyjścia z cmentarza.

- Zawałowiec - wyszeptał truposz.

- No. Też bym pewnie dostał zawału, jakby mi wpakowali w brzuch dwa magazynki. Strasznie stresujące przeżycie.

- To poważna sprawa, ktoś sfalszował moje papiery, wykasował nazwisko, a ty sobie żartujesz.

Diabeł wyjął z kieszeni wymiętego papierosa i zapalił.

- Żarty to się dopiero zaczną. Ale wiesz, że w jednym miałeś rację?

- Tak?

- Max Power to faktycznie dobre nazwisko.

W milczeniu doszli do zaparkowanego przy bramie samochodu.

- Mogę o coś spytać? - odezwał się Dziobak, rozkładając się na siedzeniu pasażera.

- Wał.

- Skąd masz legitymację Urzędu Śledczego?

Diabeł uśmiechnął się i zapalił silnik.

- Nie mam. To karta Klubu Przyjaciół Książki.

VII

Chór ochrypłych głosów usłyszeli, zanim jeszcze weszli na dziedziniec miejskiego aresztu śledczego.

- Inspektor Kotek to złoty człowiek! - ryczało rytmicznie kilkadziesiąt gardeł. Co jakiś czas dało się słyszeć głucho łupnięcie i jęk właściciela gardła, które ryczało nierówno.

Dziobak spojrzał pytająco na diabła, lecz ten tylko wzruszył ramionami. Przeszli przez kamienną bramę na otoczony murami, brukowany plac. Na jego środku, w dwuszeregu, stali wyprężeni jak struny więźniowie. Raymond spojrzał na rzędy drobnych złodziejasków, rabusiów i morderców. W normalnej sytuacji, widząc taką ilość złych, poznaczonych bliznami twarzy oraz przekrwionych oczu, wypełnionych obietnicą naprawdę paskudnych czynów, zwykły obywatel pobiłby rekord w biegu z przeszkodami.

W tym jednak przypadku na straży obywatelskiego spokoju stała zwałista postać, ubrana w niemodną marynarkę w kratę. Inspektor Kotek, ogr, na którego cześć wznosił właśnie okrzyki kwiat przestępczego świata, przechadzał się wolnym krokiem po dziedzińcu. By wzbudzić w aresztantach większy entuzjazm, uderzał grubym kijem w swe potężne udo. Czasem uderzał nim w aresztantów.

Raymond podszedł do olbrzymiego policjanta i podał mu rękę na przywitanie.

- Witaj, Kotku. Wcielasz ich do armii? - zapytał.

- Inspektor Kotek to złoty człowiek! - krzyknęli więźniowie.

Ogr machnął kijem, dając im znak, żeby umilkli.

- To w ramach nowej polityki burmistrza - westchnął. - Teraz nie tylko ich karzemy, ale i no... wychowujemy. Resocośćam.

- Resocjalizacja.

- No. Mi przypadło nauczenie ich, co jest dobre, a co złe.

Diabeł spojrzał na składającego się z góry mięśni ogra.

- Chyba rozumiem. Ty jesteś ten dobry i mają się tego nauczyć? - powiedział.

- No! - Inspektor Kotek wyszczerzył kły wdzięczny, że ktoś rozumie jego metody wychowawcze. - Chodź się napijemy - zaproponował.

Diabeł wskazał na rzędy więźniów.

- Nie uciekną?

Policjant wzruszył ramionami i popatrzył na swoich podopiecznych. Pod jego wzrokiem najtwardsi uliczni opryszkowie miękli jak masło, wbijali oczy w ziemię i sprawiali wrażenie gimnazjalistów, którzy chcą zasłużyć na odznakę Wzorowego Ucznia.

- Uciekną? Nie sądzę. - Kotek rozciągnął brzydką twarz w niedobrym uśmiechu. -

Bym ich potem musiał złapać. Osobiście.

Przez rzędy więźniów przebiegł niekontrolowany dreszcz.

VIII

W każdym zakątku wszechświata policyjne knajpy wyglądają tak samo. Oczywiście ich klientela różni się czasem liczbą oczu, rąk czy pletw, ale ogólne wrażenie jest zbliżone.

Zawsze jest tam trochę zbyt ciemno i trochę zbyt duszno. Ściany pokryte są imitacją drewna, a pomiędzy nimi panuje imitacja dobrej zabawy. Barman zawsze jest tłustawy i smutny, a jedyna kelnerka wygląda jak prostytutka na emeryturze. I przeważnie nią jest.

Taki był też „Regulamin”, lokal prowadzony przez smutnego i tłustawego Żbika, byłego kapitana w miejskiej policji. Przed emeryturą Żbik służył w elitarnych kociach oddziałach uderzeniowych. Jednakże zatrudnianie do działań bojowych stada futrzaków z obsesją na punkcie myszy nie było dobrym pomysłem. Oddział okazał się kosztowną porażką, a Żbik i jego koledzy do tej pory nie mogli otrząsnąć się po pamiętnym skoku na Bank Centralny. Podczas akcji odbijania zakładników bezwzględni rabusie rozsypali na podłogę kłębki wełny i gumowe, piszczące zabawki.

To był koniec kociego oddziału. W policji ostało się obecnie tylko kilku z jego członków, wykorzystywanych w czysto samobójczych misjach. Zazwyczaj każdy zaliczał ich dziewięć.

Po wejściu do knajpy Kotek przywitał się z właścicielem, rozejrzał po ciemnym wnętrzu i pociągnął swych towarzyszy do stolika w rogu sali. Raymond spojrział w tamtą stronę i jęknął. Znad kufła ciemnego piwa spoglądała na niego złośliwa barania twarz.

- Ten dzień nie mógł już być lepszy - powiedział diabeł na przywitanie.

Porucznik O'Brian uśmiechnął się krzywo i zrobił im miejsce na drewnianej ławie.

Usiedli.

- Znacie mojego partnera - stwierdził Kotek i z trudem wcisnął ogromny brzuch za stół.

Zamówili kilka piw i butelkę mleka dla diabła.

- To jest mój kolega, Dziobak - przedstawił truposza Raymond. - Jako wzorowy podatnik potrzebuje pomocy policji.

- Niech na komendę pójdzie - mruknął O'Brian, zanurzając wąsy w kuflu.

- Nie chodzi o tego rodzaju pomoc - odezwał się Dziobak. - Raczej o przysługę bardziej nieoficjalną.

- Potrzebne są nam informacje o pewnej osobie, która nieszczęśliwie zeszła z tego padołu. Wy, chłopaki, widzicie i słyszycie różne rzeczy. - Raymond poczęstował policjantów papierosami.

- Możliwe. - Porucznik zaciągnął się dymem. - Ale jest równie możliwe, że nic ci nie powiemy, diabełku. Nie możemy zdradzać tajemnicy służbowej byle prywaciarzowi.

- Daj spokój, niech gada. - Kotek położył ciężką łapę na ramieniu partnera.

Raymond wyjął z kieszeni kartkę wydartą z notatnika grabarza i odczytał datę.

- Nie wiem, kto, nie wiem, gdzie. Wiem, kiedy i co. Równo cztery tygodnie temu.

Facet został podziurawiony kulami z broni maszynowej. Porządnie, dwa magazynki w klatkę piersiową, bliska odległość. Potrzebujemy znać nazwisko i okoliczności - powiedział, bacznie obserwując rozmówców.

Twarz Kotka zmarszczyła się w wyrazie głębokiego zastanowienia. Za to na niewzruszonym obliczu O'Briana można by łupać kamienie.

- Wiesz, to duże miasto. Mogę sprawdzić w archiwach, ale chyba bym słyszał o czymś takim. A raczej nie... - zaczął inspektor.

- Czy ty, chłopaku, nie mógłbyś się wreszcie zająć fotografowaniem żon, co się puszczają, a

poważne sprawy zostawić fachowcom z odznakami? - zwrócił się O'Brian do Raymonda.

Diabeł rozłożył bezradnie ręce.

- Obiecuję, że jak zobaczę twoją żonę, to na pewno zrobię jej zdjęcie. Lotnicze, żeby zmieściła się w kadrze.

Porucznik zmarszczył baranią twarz i wypuścił z nozdrzy kłęb pary. Zacisnął pięści.

- Spokój - warknął Kotek. - Jak już mówiłem, Ray, sprawdzę twojego trupa w archiwum. Ale nie spodziewaj się zbyt wiele. To byłaby raczej głośna sprawa - dodał.

Raymond dopił mleko i wstał.

- Dzięki, Kotku. Pozdrów żonę, O'Brian - powiedział z krzywym uśmiechem i pociągnął Dziobaka do wyjścia.

Na ulicy wbił ręce w kieszenie i ruszył przed siebie szybkim krokiem.

- Tracimy tropy - westchnął. - Jesteś niespotykanie nieznanym trupem jak na kogoś, kto zginął w dość spektakularny sposób.

Dziobak milczał przez chwilę.

- Wiesz, poczułem takie ukłucie w środku - odezwał się w końcu.

- Pewnie Romero zapomniał wyjąć jakiejś igły - wzruszył ramionami diabeł.

- Nie, to metafora taka. To ukłucie znaczy. Chciałem powiedzieć, że poczułem taki... niepokój. Jak ten glina z baraniami rogami powiedział o fotografowaniu puszczających się żon.

- Zdrowy objaw. Ale nie wiemy nawet, czy byłeś żonaty. Daj spokój, muszę pomyśleć - machnął ręką zniecierpliwiony Raymond.

Truposz chciał jeszcze coś powiedzieć, ale popatrzył w nieobecne oczy diabła i zrezygnował. Chociaż czuł, że ukłucie w duszy chciało mu dać do zrozumienia coś bardzo ważnego.

IX

Na pogotowiu trafili na mur nie do przebicia. Nie poradziłyby sobie z nim nawet Trąby Jerychońskie, nawiąknę do kruszenie ścian i demolowania budynków. Mur miał

postać pomarszczonej staruchy, wyglądającej jak wynik namiętności ropuchy do sterty kompostu. Babsko kiwało łbem uwieńczonym kokiem ufarbowanych na różowo włosów i czyściło pazury pilnikiem do metalu. Ale nie to było najgorsze. Jej imię brzmiało: Biurokracja. Naprawdę.

- Upoważnienie - wysyczały po raz kolejny mocno umalowane usta.

- Droga pani, chodzi tu o sprawy dość prywatnej, intymnej wręcz natury. Nie mieszajmy do tego urzędowego aparatu. Potrzebujemy tylko jednej małej informacji. - Raymond usiłował uśmiechnąć się czarująco, co nie było łatwą sprawą po trzydziestu minutach prób przekonania ropuchy do udostępnienia aktu zgonu Dziobaka.

- Upoważnienie - powtórzyła Biurokracja, nawet na jotę nie zmieniając wyrazu pyska.

- A weź się pani ugryź w dupę - nie wytrzymał w końcu diabeł.

- Regulamin nie przewiduje - powiedziała beznamiętnie ropucha. - Upoważnienie

- dodała.

Zrezygowany Raymond wrócił do siedzącego w szpitalnej poczekalni Dziobaka.

- Nic z tego. Zadzwoń do Romera, przecież kończył jakieś tam studia medyczne.

Może kogoś tu zna - westchnął.

Na wyłożonej zgniętymi kafelkami ścianie wisiał aparat telefoniczny. Nawet działał. Diabeł wrzucił monetę do jego zachłannie mlaszczącego wnętrza i wykręcił numer.

Po kilku długich sygnałach w słuchawce odezwał się zachrypnięty głos kierownika prosektorium.

- Halo? - wydyszał i zaniósł się długim kaszlem.

- Romero? Mam jeszcze jedną małą prośbę - powiedział przymilnie diabeł.

- A wiesz, że właśnie o tobie myślałem? Zastanawiałem się, co ci zrobię, jak dorwę cię w swoje ręce - dziwnie zaświszczał głos ghula.

- O co ci właściwie chodzi? - zainteresował się Raymond.

- Wiesz co? Najlepiej sam zobacz. Przyjeżdż. Teraz - szczechnął Romero i rozłączył się.

Diabeł odwiesił słuchawkę i ponownie podszedł do przysypiającego na plastikowym krzeselku Dziobaka.

- Jedziemy - oznajmił.

- Gdzie?

- Do kostnicy. Stało się coś niedobrego.

Do prosektorium dotarli dość szybko, bo coś w głosie Romera kazało diabłu stać się czasowym daltonistą. Nie zważając na czerwone światła, jego wysłużone auto przecinało skrzyżowania wśród ryku klaksonów i huku giętych blach. Z piskiem opon zahamowało przed kostnicą, a diabeł z żywym trupem wbiegli po schodach do środka.

Romero siedział wygodnie na stole do autopsji i palił papierosa.

- Szukali was jacyś znajomi - powiedział, aplikując sobie kolejną uspokajającą dawkę nikotyny.

- Wiesz, że rzuciłem palenie dwa lata temu? Dla zdrowia. Przez ciebie znów zacząłem. - Oskarżającym wzrokiem popatrzył na Raymonda.

Diabeł przyjrzał się uważnie ścianie za plecami ghula. Przez ogromną, postrzępioną dziurę w jego brzuchu. Widoczność utrudniał trochę wydobywający się z niej papierosowy dym.

- Postrzał ze strzelby. Spory kaliber. Taki bardziej na niedźwiedzie - wyjaśnił Romero.

- Co się stało? - Diabeł przeczesał palcami jeżące mu się na głowie włosy.

- Jak już mówiłem. Dwóch typów. Zaciekawieni waszym aktualnym miejscem pobytu. Bardzo nerwowi. Zaczęli do mnie strzelać.

Lekarz wrzucił papierosa do stojącego na podłodze wiadra i zeskoczył ze stołu.

Dziura w jego brzuchu zachlupotała niemiło.

- I co? - wyrwało się Dziobakowi.

- Jeden uciekł.

- Jeden?

Romero rozłożył bezradnie ręce.

- Nie jestem już tak sprawny jak kiedyś. Ech, starość - mruknął i zaprowadził ich do sąsiedniego pomieszczenia.

Na pokrytej białymi kafelkami podłodze leżał słusznego rozmiarów facet w dość eleganckim garniturze. Wrażenie elegancji psuła jednak rozplątana pazurami klatka piersiowa i solidnie nadgryziona czaszka.

- Dwadzieścia lat, psia mać, wytrzymałem w wegetarianizmie. Trzeba zaczynać od początku - odezwał się cicho Romero. - Bądź tak dobry, Ray, sięgnij do jego kieszeni.

W marynarce.

Diabeł posłusznie spełnił prośbę. Przez chwilę wpatrywał się w znaną przy trupie policyjną odznakę.

- Niedobrze - wyszeptał.

- Niedobrze to się zszywa własne flaki - mruknął lekarz, przyglądając się dziurze w swoich trzewiach.

- Co chcieli ci faceci? Ale tak dokładnie? - zapytał Dziobak, ze skupieniem wpatrując się w twarz leżącego na podłodze policjanta.

- Tak dokładnie to dokąd pojechaliście. I czy czegoś u mnie nie zostawiliście.

Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że tylko trochę wnętrzości i smrodu. To zaczęli się denerwować i pytali o jakiś klucz.

- Jaki klucz?

- Żurawi na bezchmurnym niebie, kurna. Klucz, no. Do otwierania czegoś.

Dziobak bez słowa obrócił się na pięcie i pobiegł do głównej sali prosektorium.

Diabeł i ghuł ruszyli za nim.

- Te... rzeczy, które wyjąłeś ze mnie. Flaki znaczy. Masz je jeszcze? - zapytał szybko Dziobak, rozglądając się po pomieszczeniu.

- Nie zdążyłem wyrzucić, wyobraź sobie. We wiadrze są.

Zombi zanurkował pod stołem i gołymi rękami zaczął przetrząsać krwawe strzępy, wypełniające plastikowy pojemnik. Po chwili wydał z siebie radosny wrzask i zaprezentował mały, błyszczący kluczyk z wytłoczonym na nim numerem.

- Pamiętam! Pamiętam, połknąłem go! - zaniósł się szalonym śmiechem.

- Co on otwiera? - zapytał ostrożnie Raymond.

Uśmiech Dziobaka zgasł jak przepalona żarówka.

- Nie wiem. Pamiętam tylko, że był bardzo ważny. Chciałem go ukryć. No i ten facet, tam. -

Wskazał ręką w stronę pomieszczenia z martwym gliniarzem. -

Widziałem go już. Ale gdzie? - jęknął przeraźliwie i zaczął uderzać pięściami we własną głowę.

Diabeł delikatnie wyłuskał klucz z jego dłoni.

- Spokojnie. Dowiemy się, do czego służy.

- Jak? - ryknął Dziobak. - Skoro nawet moja pamięć jest przeciwko mnie?

Raymond bez słowa wskazał mu wygrawerowany na kluczu napis: „Lotnisko im. Ikara”.

- Jedziemy! - zawołał uradowany zombi.

- Poczekaj. - Diabeł złapał go za ramię i popatrzył na Romera. - Potrzebujesz pomocy? Z tym facetem w drugim pokoju?

Lekarz wskazał piec do kremowania zwłok.

- Poradzę sobie - zapewnił.

- Masz u mnie dług.

- Nie pierwszy i nie ostatni - mruknął Romero i zakasał rękawy. - No, idźcie już - dodał i uśmiechnął się smutno, sprawdzając kciukiem ostrość piłki do kości.

Przez tłum wypełniających lotnisko podróżnych przedzierali się ostrożnie, jak myśliwi wypatrujący celu. W końcu dostrzegli go - długi rząd metalowych szafek, służących jako przechowalnia bagażu. Raymond rozejrzał się dyskretnie, ale oprócz spieszących się na odprawę turystów i biznesmenów w delegacji nie zauważył nikogo.

Wolnym krokiem podeszli do schowków i znaleźli ten z właściwym numerem.

Klucz gładko przekręcił się w zamku. Za uchylonymi drzwiami szafki czekała na nich czarna, nie rzucająca się w oczy walizeczka. Dziobak dopadł ją i otworzył po chwili mocowania się ze złoconymi zatrzaskami. Oczy Raymonda rozszerzyły się w zdumieniu, a serce zaczęło łopotać w piersiach jak walczący o wolność gołąb.

Walizka wypełniona była po brzegi zielonymi papierkami o wysokich nominałach.

- No, kolego. Nie znałem cię od tej strony - zaczął Raymond, lecz urwał widząc wyraz twarzy Dziobaka.

Truposz nie patrzył wcale na wypełnioną obietnicą dostatku walizkę. Jego wzrok utkwiony był w leżącej obok małej plastikowej tulei. Szybkim ruchem Dziobak schował ją do kieszeni i zatrzaskał neseser z forszą.

- Spływamy stąd. Szybko - szepnął.

W tym samym momencie Raymond poczuł znajomy ucisk na plecach. Takie wrażenie sprawia wyłącznie lufa rewolweru, bezlitośnie gniotąca kręgosłup.

- Odwróćcie się, bardzo powoli - rozkazał niemiły, skrzekliwy głos.

Spełnili tę uprzejmą prośbę i popatrzyli w dwie twarze zawodowych morderców.

- Oddaj film - polecił ten mniejszy, ze świńskim ryjkiem pokrytym rudą szczeciną.

- Panowie biorą mnie chyba za kogoś innego - uśmiechnął się Raymond.

- Nie ty. Ty zamknij pysk - wyburczał większy z zakapiorów, łysy, przystojny i w krawacie.

- A co mi zrobisz, Ernest? - zapytał głośno Dziobak. - Zabijesz mnie, jak ostatnio?

Facet nazwany Ernestem chwycił truposza i przyciągnął jego twarz do swojej.

- Pokroję cię na pieprzone kawałeczki i zrobię sobie szaszłyka. A potem pójdę do twojego domu i pobawię się z twoją żoną. Pasuje? - wydyszał w chmurze smrodliwego oddechu.

Raymond, niewiele rozumiejąc, rozejrzał się gorączkowo. Niedaleko zobaczył grupę turystów w kwiecistych koszulach i przeciwsłonecznych okularach.

- Przepraszam, proszę się zatrzymać - wrzasnął rozpaczliwie w ich stronę. -

Ponowna rutynowa kontrola. Względy bezpieczeństwa. Proszę podejść tutaj. Ten pan sprawdzi wasze bilety - dodał, wskazując na Ernesta.

Po chwili wokół nich zrobiło się tłoczno od zmęczonych, dźwigających ciężkie walizki osób. Przed twarzami facetów z bronią zaroilo się od kolorowych kartoników, trzymanyh przez spoczone dłonie.

Diabeł wmieszał się w tłum i powoli kierował się do wyjścia, kiedy za jego plecami pojawił się ten mały, z rudym świńskim ryjem.

- Myślisz, że nie zabiję cię na ich oczach? - wysyczał cicho i odchylił marynarkę, ukazując policyjną odznakę.

Raymond uśmiechnął się szeroko. Nie dlatego, że miał jakiś inny plan wyjścia z tej przykłej sytuacji. Nad ramieniem świńskiego kurdupla zobaczył bowiem przebijające się przez tłum ogromne cielsko w niemodnej, kraciastej marynarce. Z drugiej strony biegł, tratując podróżnych, osobnik z

fizjonomią barana.

Pierwszy dopadł ich O'Brian, z rozbiegu wybił się w powietrze i kolbą rewolweru roztrzaskał twarz eleganckiego Ernesta. W sekundę później inspektor Kotek zaczął uderzać Rudym Ryjem w rzędy metalowych szafek.

- Jesteście, w mordę suki, aresztowani - wydyszał O'Brian.

Diabeł uniósł ręce w górę.

- Nie ty, głąbie, oni. - Porucznik lufą rewolweru wskazał rozciągniętych na ziemi Ernesta i Ryja.

- A państwa zapraszam do odprawy. Rozejść się - krzyknął w stronę turystów.

- Przenieśli cię do wydziału antykorupcyjnego, O'Brian? - zapytał diabeł.

Porucznik wskazał rozciągniętych na ziemi facetów, których Kotek właśnie zakuwał w kajdanki.

- To są chłopaki z antykorupcyjnego - mruknął. Zastrzygł uszami, łowiąc w nie odległy dźwięk policyjnych syren. - Gub się - rzucił do zaskoczonego diabła.

Raymond chwycił Dziobaka jedną ręką, a drugą zacisnął na uchwycie czarnej walizeczki. I zgubił się, bo syreny słychać było coraz bliżej.

XI

Wsiedli do auta i ruszyli, mijając zatrzymujące się przy lotnisku radiowozy. Raymond ze złością rzucił walizkę na kolana Dziobaka.

- Wkręcałeś mnie - powiedział.

- Co?

- Jajco - warknął diabeł. - Jestem biednym trupem, nic nie pamiętam! - zadrwił, naśladowując głos zombiego.

- Bo nie pamiętałem!

- A imię tego fleta na lotnisku to znałeś z egipskiego sennika pewnie?

Truposz ciężko wypuścił powietrze.

- Możesz mi wierzyć albo nie. Dopiero jak znalazłem klucz, to coś mi zaświtało, jakaś zapadka w mózgu przeskoczyła. Potem ten Ernest. Jego twarz. On i ten drugi, od Romera. To oni mnie zabili.

- Policjanci?

- Policjanci. Chciałem ich przekręcić... Na pięćset tysięcy oboli.

- Ile? - Raymond prawie zakrzuszył się trzymanym w zębach papierosem.

- Tyle jest w walizce. Zapłacili mi za zdjęcie. Ale ja nie chciałem go oddać.

Myślałem, że wyciągnę z nich więcej forsy.

- Czy ja chcę wiedzieć, co jest na tym zdjęciu? - zapytał szybko diabeł.

- Myślę, że za pół walizki, na które uczciwie zarobiłeś, powinieneś wiedzieć.

Tym razem diabeł naprawdę zakrzuszył się papierosem i tylko cudem uniknęli zderzenia z ciężarówką.

- Po... połowę? - wyjąkał Raymond.

- Tyle ci dam. Mówiłeś, że jesteś detektywem do wynajęcia, który powinien pracować dla facetów z kupą forsy. Ja, okazuje się, jestem takim właśnie facetem.

Diabeł chrząknął i z trudem wydobył z gardła wciąż palącego się papierosa.

Zaciągnął się głęboko.

- Co mam zrobić?

- Doprowadzić moją sprawę do końca. Niewiele zostało, większość pracy już za tobą.

Raymond zamyślił się, skrzył na pobocze i zatrzymał samochód.

- Dwa warunki. Opowiesz mi wszystko, od początku do zasranego końca. I napijemy się - powiedział, wskazując neonowy szyld przydrożnej knajpy.

Zajęli najdalszy, wtulony w kąt stolik i zamówili po dużym mleku z piwem.

Dziobak wbił wzrok w tańczącą w powietrzu smugę dymu z papierosa Raymonda i zaczął swoją najtrudniejszą w życiu spowiedź.

- Nazywam się Ariel Wrona i jestem fotoreporterem. Cztery tygodnie temu przekupiłem portiera na prywatnej imprezie burmistrza Dobrosława Skrzeli, żeby wpuścił mnie do środka. Wiesz, miałem nadzieję, że burmistrz się upije, może szturchnie jakąś panienkę. Plotkarskie gazety chętnie kupują takie zdjęcia. Ale nie, burmistrz to wzór cnót moralnych. Oprócz tego, oczywiście, że bierze gigantyczne łapówki.

- A która z tych gnid nie bierze - burknął diabeł.

- Ty się nie znasz na polityce, co? - zapytał Dziobak-Wrona i nie czekając na odpowiedź, kontynuował. - Są łapówki i łapówki. Jeśli kopertę bierze policjant z drogówki za podarcie mandatu, olewasz to, prawda? Cieszysz się, że ci się upiekło, jeśli mandat był twój, albo wrzucasz

ramionami, jeśli o tym opowiada ci kolega. Ale to, że bierze glina, wynika stąd, że bierze jego przełożony i przełożony przełożonego. A jeśli łapówką bierze facet namaszczony przez miłościwie nam panujących bliźniaków, Romulusa i Remusa? Sam burmistrz Miasta, Dobrosław Skrzela, zwany Dobkiem?

Facet, który powołał do życia wydział antykorupcyjny? Facet przywieziony do Miasta w teczce przez prezydentów Zaświatu? Dosłownie. Może i jest wysoki, ale chudy jak żywiący się dziewicami smok na oddziale położniczym. I bardzo łatwo daje się składać do poręcznych rozmiarów.

- Do rzeczy - ponaglił Raymond.

- W każdym razie bliźniacy potrzebowali kogoś na ważnej stołecznej placówce.

Dzięki ogłupiającej kampanii za kilka milionów oboli Dobek z marszu wygrał wybory.

A wybory, jak opryszczka, zdarzają się co jakiś czas. I właśnie teraz jest chwilę przed.

Jak myślisz, co się dzieje, jeśli wspomniana łapówka pochodzi od najbardziej znanego gangstera Hirka Boscha i trafia w ręce prawego i sprawiedliwego burmistrza na chwilę przed wyborami? Wiesz, co to znaczy przegrać wybory w stolicy?

- I ty zrobiłeś zdjęcie.

- Zrobiłem serię zdjęć, cały pieprzony komplet.

- I zaniósłeś do gazety.

- Nie zaniósłem. Bo widzisz, ja nie byłem takim do końca uczciwym facetem.

- Co ty powiesz? - Raymond popatrzył na niego znad szklanki.

- Poszedłem do nich się układać. Zapłacili z góry, ile chciałem. Ale miałem nadzieję wycisnąć z nich więcej. Myślałem, że sprytny jestem. Ukryłem film, forszę i zażądałem jeszcze trzy razy tyle. Chciałem uciec.

- Od kogo?

Pytanie zawisło w powietrzu razem z dymem tanich papierosów. Zanim zdążyło się rozpląnąć, Już-Wcale-Nie-Dziobak wytrzeszczył oczy i ukrył twarz w dłoniach.

- W mordę... - powiedział niewyraźnie. - Ja naprawdę żonę miałem. Katarzynę. To od niej... od niej uciekłem, uciec chciałem.

- Mówiłem? Gruba z grubą teściową.

Fotoreporter Wrona nie odpowiedział. Gdyby jego walka z myślami była transmitowana w telewizji jak mistrzostwa ekstraklasy w piłce nożnej, przyciągnęłaby przed ekrany miliony widzów. Niestety, widz był tylko jeden. Na szczęście był

cierpliwy.

- Wiesz, ja jej nie kochałem - odezwał się Wrona po dłuższej chwili. - Nie byłem dobry dla niej. Piłem, na dziwki iść się zdarzyło. Ale nie biłem jej - zastrzegł, patrząc w oczy diabła.

Raymond milczał.

- No, raz się może zdarzyło. A ona przecież wiele nie chciała. Żeby być z nią, trwać do starości, kochać. Ja tego nie rozumiałem. Mówiłem, że złym człowiekiem byłem.

Myślałem, że pieniądze mi wystarczą, szczęście dadzą.. I w ten sposób umierałem. Dla pieniędzy, nie dla kobiety, miłości. - Wrona pogładził lśniąca skórę walizki. - Ty wiesz co? Weź wszystko. Całą forszę weź, tylko jeszcze podwieź mnie do domu. Do żony.

Mówią, że nic nie jest w stanie zmienić człowieka. Ale może śmierć?

Diabeł kiwnął głową, zgasił papierosa i podniósł się od stołu.

- I jeszcze to weź. - Wrona wcisnął mu w rękę rolkę filmu. - Jedźmy już.

Pojechali.

XII

Katarzynę znaleźli na jasnych deskach sypialni w pięknym domu na przedmieściu.

Leżała na podłodze z rozrzuconymi rękami, blond włosy w nieładzie taplały się w kałuży zastygłej już krwi. Niewysoka, chuda, z trochę zbyt dużym nosem. Z nic nie rozumiejącymi oczyma, wytrzeszczonymi w wyrazie zaskoczenia i bólu. Siniaki, zadrapania oraz dziura po kuli w sercu świadczyły o tym, że wcześniej znaleźli ją Ernest z facetem o świńskim ryju. Jakies dwa dni temu, jak stwierdził Raymond po stanie zwłok.

Wrona rzucił się na kolana, zachłannie przyciągnął do siebie zimne ciało. Zaniósł się suchym płaczem. Jego martwy organizm nie mógł wycisnąć z siebie nawet jednej łzy, ale to nie było ważne. Płacz czuć było w powietrzu. Diabeł milczał i prawie widział strumienie słonej wody, ściekające po policzkach męża tulącego żonę. Czuł gorzki smak unoszącej się w powietrzu rozpachy. Wiedział, że te tak potrzebne w tej chwili łzy w końcu popłyną. I popłynęły. Najpierw brunatnymi, gęstymi, pełnymi kurzu i brudu strugami.

Potem strumienie czerwone jak serdeczna krew skropiły czoło leżącej bez ruchu kobiety. Wreszcie nadszedł czas na łzy właściwe. Krystalicznie czyste, lśniące w promieniach lampy, której zapomnieli zgasić mordercy. Te łzy miały w sobie wszystko. Żal człowieka, któremu zabrano wszystko, co kochał, a nawet to, o czym jako o przedmiocie swojej miłości nigdy nie myślał. Wściekłość męża, który zrozumiał, że jest już zbyt późno, by wyrazić, co czuł do swej żony. Ból faceta, który nie umiał sprawić, żeby jego kobieta była szczęśliwa. Który krzywdził ją i ranił bez powodu, który nie potrafił docenić jej uczucia, jej przywiązania. Była tam też gorycz zrozumienia, że czasu nie da się cofnąć, że efekt całego uczynionego przez siebie zła trzymał teraz w ramionach. Sprawił, że ona już nigdy nie poruszy się, nie odezwie do niego, że to drobne, zimne kobiece ciało, które potrafiło go kochać mimo jego podłości, będzie już zawsze martwe.

- Skrzywdziłem ją, zabiłem - wył Wrona, a zimne łzy spłukiwały mu wykrzywioną w cierpieniu twarz.

Raymond odwrócił wzrok.

- Mówią, że ci, którzy mieli jeszcze coś do załatwienia, wracają - odezwał się po długiej chwili.

- Co? - Truposz skierował w jego stronę umęczone oczy.

- Po śmierci. Jak ty. Trzeba mieć nadzieję, bo bez niej to wszystko, życie całe, nie miałyby sensu - diabeł wyłuskał z kieszeni papierosa.

Łzy Dziobaka wciąż kapały na podłogę, ale na jego oblicze wypłynął nieśmiały uśmiech.

- Będę na nią czekał. Dopóki śmierć znów nas nie połączy - szepnął.

XIII

Dni mijały, czekanie było dość nudne, więc w międzyczasie Raymond zajął się kilkoma sprawami. Odwiedził znajomego i zaufanego fotografa, który nie zadawał zbyt wielu pytań, i wywołał u niego zdjęcia. Potem te zdjęcia z szerokim uśmiechem położył na biurku O'Briana.

- Przydadzą się w karierze chyba? - zapytał, zapalając papierosa - Śledziliśmy cię i tego truposza - powiedział O'Brian, nie patrząc na fotografię. - Po tym, jak przyszedłeś pytać o faceta rozwalonego z automatu. Nie mogliśmy ci pomóc, mieliśmy śledztwo.

Wiesz, chłopaki z odznakami.

- Wiem, na zdjęcia popatrz. - Diabeł zaciągnął się głęboko dymem.

- Suczy syn suki - wybełkotał porucznik, gdy spojrzał wreszcie na kolorowe obrazki z burmistrzem w roli głównej i poczuł, że znalazł garnek złota ukryty po drugiej stronie tęczy.

- Nie głosowałem na niego - odezwał się Kotek, lustrując wzrokiem fotografię.

- Ty na nikogo nie głosujesz - burknął O'Brian.

- Ale na niego też nie - wzruszył ramionami inspektor. - W każdym razie facio jest tym, którego nam brakowało do zamknięcia śledztwa.

- I wydziału antykorupcyjnego, który zaczął się wam przyglądać, prawda? - zapytał niewinnie diabeł.

- Prawda, ale to, jak mówią, mniejsza z większym - stwierdził wpatrzony w zdjęcia O'Brian.

- Pokusa wykorzystania tych fotek do własnych celów może być duża, ale chciałem lojalnie uprzedzić, że jutro wydrukują je w gazetach, więc musicie się spieszyć. -

Raymond zgasił papierosa, obrócił się na pięcie i wyszedł z posterunku.

Na drugi dzień dwóch oficerów policji, jeden w niemodnej marynarce w kratę, drugi przypominający trochę barana, zakuli burmistrza Skrzelę w kajdanki i wyprowadzili z ratusza wśród błysków reporterskich fleszy.

Na drugi dzień, jak co wieczór, prywatny detektyw Raymond Chwościk zasiadł na zniszczonej drewnianej ławeczce na miejscowym cmentarzu i pociągnął długi łyk z kartonu świeżego mleka. Jak co wieczór, wyjął z kieszeni butelkę wódki i podał ją miejscowemu grabarzowi.

- Myślisz, że to będzie dziś? - zapytał Bernard Koksik, wprawnie odbijając flaszkę.

Na drugi dzień, jak co wieczór, nad grobem młodej kobiety, Katarzyny o włosach blond, pojawił się mężczyzna w trochę już przybrudzonej czarnej garniturze. Jak co wieczór czekał bez ruchu, by dano mu szansę naprawienia błędów przeszłości.

To był ten dzień.

Wątle, ale napełnione siłą desperacji kobiece dłonie rozdarły grób od środka.

Wykrzywiona twarz okolona strąkami zlepionych czarną ziemią włosów wynurzyła się na powierzchnię. Smutny mężczyzna, który co wieczór przygotowywał się na tę chwilę, zamknął ją w objęciu silnych ramion i po raz pierwszy od długich, bardzo długich lat wyszeptał jej do ucha:

- Kocham cię, jestem z tobą, będę prowadził cię przez życie.

Kobieta popatrzyła mu w oczy i uśmiechnęła się.

Siedzący nieopodal diabeł otworzył wypełnioną pieniędzmi walizeczkę. Wyjął z niej kilka banknotów, zamknął i wolnym krokiem zbliżył się do kobiety i mężczyzny.

- To na podróż poślubną. Prezent - powiedział, wręczając im neseser. - Potraciłem dniówki i koszty własne.

Mężczyzna i kobieta popatrzyli z wdzięcznością na siwiejącego już i zmęczonego diabła. Uśmiechnęli się tak, jak dziecko uśmiecha się do lekarza położnika, nie wiedząc, że znajduje się dopiero na początku bardzo długiej drogi.

Odeszli.

- Będzie dobrze? - Bernard Koksik pociągnął z gwinta łyk ciepłej wódki.

- Dobrze będzie - odpowiedział z przekonaniem diabeł, patrząc na kobietę i mężczyznę odchodzących w stronę zachodzącego słońca.

Bo słońce właśnie zachodziło nad Zaświatem.